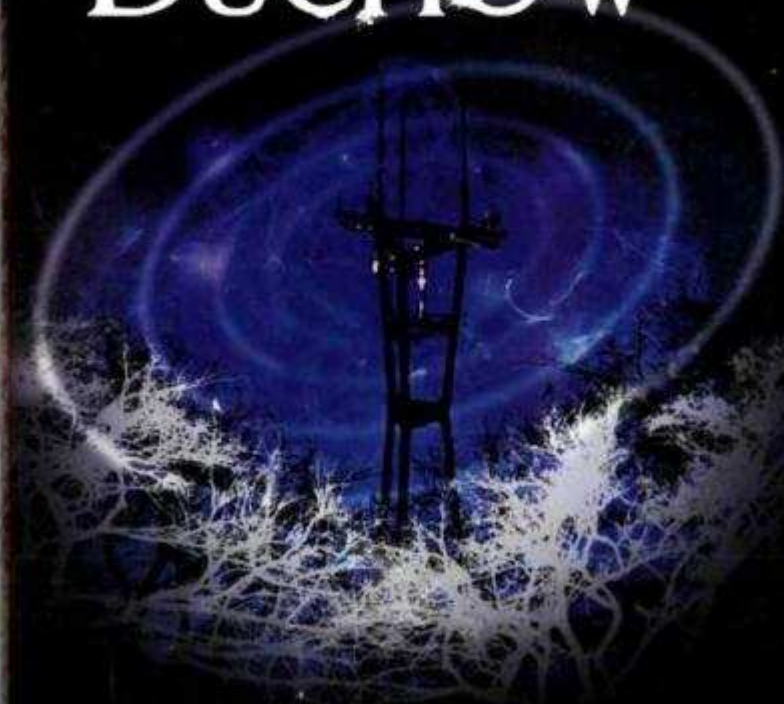


Upiorna powieść dla fanów *Carrie*.  
*Smętarza dla zwierzaków i Martwej strefy*

# RADIO DUCHÓW



LEOPOLDO GOUT

  
AMBER

# RADIO DUCHÓW

*Radio duchów* to audycja, którą Joaquin prowadzi każdej nocy. Siedząc w zagraconym, słabo oświetlonym studiu radiowym, wysłuchuje niesamowitych opowieści ludzi, którzy do niego dzwonią – o wampirach, poltergeistach, zmarłych wstających z grobów. Historii, którymi straszy się dzieci...

Nagle jednak odkrywa, że w tajemniczy sposób jest wciągany w te przerażające opowieści. Granica między rzeczywistością a iluzją zaczyna się zacierać, znika niewidzialna bariera między światem żywych i światem duchów. Jeden fałszywy krok i Joaquin znajdzie się po niewłaściwej stronie...



**LEOPOLDO GOUT** – autor komiksów, kompozytor, reżyser i producent, zadebiutował jako pisarz powieścią *Radio duchów*.

Recenzenci nazwali go niepokojącym nowym głosem gatunku, nawiązującym do tradycji Deana Koontza i Stephena Kinga.

Patronat medialny

carpe noctem  
www.CarpeNoctem.pl



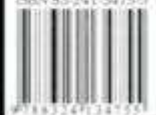
GILDIA.PL



Cena det. zł 29,80

www.wydawnictwoamber.pl

ISBN 83-241-3475-5



# RADIO DUCHÓW

# LEOPOLDO GOUT

Przekład PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI



Redakcja stylistyczna

Lucyna Łuczyńska

Korekta

Katarzyna Pietruszka

Anna Tenerowicz

Projekt graficzny serii

Małgorzata Foniok

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce

Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber

Jacek Grzechulski

Druk

Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału Ghost Radio

Copyright © 2008 by Leopoldo Gout.

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3475-5

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13,620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

*Widma to odciski palców duszy*

Anonim, Babilon, 2500 r. p.n.e.

# PROLOG

Pełzło w ciemności, szukając czegoś namacalnego.

Wyczuwało drogę, słuchało instynktu. Bo instynkt był niemal wszystkim, co mu zostało.

Kiedyś posiadało tożsamość; cechy i fizyczność, które wiązały ze światem. Teraz to było zaledwie pragnieniem; płataniną potrzeb o najlżejszej sugestii formy.

Ale pustka dookoła miała tej formy jeszcze mniej.

Wiedziało, że gdzieś w tej pustce znajdzie to, czego szuka, dlatego parło dalej.

A kiedy brnęło mozolnie, ożywały w nim nieznanne właściwości. W ukrytej fałdzie jego istnienia pojawiło się coś o nazwie „mowa”. Wraz z nią nadeszły wiedza i świadomość. Docierało coraz głębiej.

Przeniknęło przez chmurę czegoś, co umiało już nazwać „smutkiem”, i zapłakało. Przeszło przez „błogość” i powrócił spokój.

Poczuło mrowienie w środku. Znaczy, że to, czego szuka, jest blisko. Rzuciło się w tamtą stronę, napierając z całych sił. Mrowienie przeszło we frontalny atak kłujących igiełek.

Rozkoszowało się tym uczuciem, bo to był sygnał rychłego kresu podróży.

I w chwili, gdy ta myśl powstała, podróż się skończyła. Dotarło do celu. Kiedy chłonęło radość zwycięstwa, pojawiło się nowe słowo: nazwa tego, czego szukało z tak rozpaczliwym uporem i tak długo.

Tym słowem było... radio.

# 1

## MAGICZNE PASMO

Joaquin przekręcił gałkę swojego CB radia, gładząc palcami jej wytartą krawędź.

Grzebał w paśmie sześciu metrów. Magicznym paśmie. Nie nadawał, tylko słuchał. Szukał jakiejś rozmowy, dobrego „żucia szmaty”, jak mówili fanatycy CB, która by go wciągnęła i zapomniałaby o swoich problemach.

Przyjęła się nazwa o nim „magiczne pasmo” z powodu jego niezwykłej możliwości: w sprzyjających okolicznościach można było na nim wysyłać i odbierać informacje na bardzo duże odległości, używając krótkich anten i małej mocy. Dlatego miało wielu miłośników. Od licealistów, którzy usiłowali wydusić jak najwięcej z kiepskiego sprzętu, po maniaków techniki, swobodnie przerzucających się terminami, takimi jak „sporadyczna propagacja E” i „refrakcja w warstwie F2”.

Tego wieczoru pasmo nie było magiczne. Zwyczajne. Rozmowy kulały i były zaskakująco rzadkie.

Ale gdzieś w okolicy 50,24 megahertzów, tuż za nadawanym alfabetem Morse'a ostrzeżeniem o burzach u wybrzeży Cataliny, Joaquin trafił na trzaski, które go zaintrygowały.

Wiele lat temu Gabriel nauczył go wszystkiego o majestacie białego szumu: o ukrytych w chaosie monolitach struktur.

A te trzaski były od struktur aż kanciaste.

Nachylił się do głośnika, nasłuchując. Trzaski ożyły w jego głowie. Wyobraził sobie, że nad nimi wisi, patrzy, jak kotłują się niczym gniewne morze. A potem skotłowane fale znieruchomiały, zgęstniały, zmieniły się w poszarpane skały i góry. I znów stały się dźwiękiem

- celowym, narastającym do celu, dźwiękiem, który dążył do personifikacji.

Pokój zniknął; Joaquin nachylił się bliżej do głośnika.

Dźwięk jakby się z nim drażnił: koronki jego struktur splatały się przelotnie tylko po to, by po chwili znów się rozsunać. A to, czym się stawał w krótkich chwilach spójności, sprawiło, że Joaquinowi ciarki przeszły po plecach.

To był głos.

To był wyraźnie ludzki głos.

Joaquin usiłował sobie wytłumaczyć, że słyszy przebijający się inny sygnał. Ale głos nie był wymieszany z trzaskami. Był z nich zbudowany.

Wychwycił kilka samogłosek i jedną czy dwie spółgłoski, ale nie potrafił ich powiązać. Nie umiał rozróżnić słów.

Nachylił się jeszcze bliżej.

Nasłuchując w skupieniu podnoszenia się i opadania intonacji, rozumiał, że słyszy powtarzane w kółko to samo zdanie. Ale wciąż nie potrafił rozróżnić choćby jednej sylaby.

Nachylił się tak, że jego ucho dzieliły od głośnika centymetry.

Ze zmarszczonym czołem i napiętymi mięśniami, nasłuchiwał znaczenia. Już prawie je miał. Czuł, że zbliża się ku niemu, jak powoli tocząca się kula.

Prawie...

Na świecie nie istniało nic oprócz niego i tych dźwięków.

Prawie...

Nic oprócz jego wysiłku.

Prawie...

Pierwsze słowo było na skraju ukazania się, kiedy poczuł czyjąś obecność w pokoju; coś musnęło jego ramię. Odwrócił się gwałtownie gotów uderzyć i zobaczył roześmianą twarz swojej dziewczyny, Alondry.

- Coś pięknego: gospodarz „najbardziej przerażającego show w meksykańskim radiu” przestraszył się stuknięcia w ramię.

- Bardzo śmieszne. - Joaquin wciąż jeszcze nie ochłonął.

- Kiedy się boisz, to wyglądasz jak postać z kreskówki.

- Widzę, że jesteś dziś w nastroju „drażnimy się”.

- Przypominasz jakieś futerkowe zwierzątko. Może rysunkowego królika.

- I na tym nie koniec.



- Nie, rysunkową mysz! Duże oczki, drżące wąsiki.

Joaquin uśmiechnął się przebiegle.

- Założę się, że gdy byłaś mała, miękły ci kolana na widok rysunkowych futrzaków.

- Być może - odparła Alondra, otwierając szeroko oczy; teraz ona wyglądała jak postać z kreskówki.

- Sprawdźmy tę teorię. - Przyciągnął dziewczynę do siebie i zajrzał w jej wielkie, piwne oczy.

- Ale ty już nie wyglądasz jak rysunkowy futrzak.

- Tak to już jest z nami, futrzakami. W dzień śpiewamy i wygłupiamy się, ale w nocy: pełna powaga. Zero żartów.

- Tę teorię ja bym chętnie sprawdziła - powiedziała Alondra i pociągnęła go do sypialni.

Półtorej godziny później Joaquin leżał na boku, patrząc na smukłe, nagie ciało Alondry obok siebie. Lśniło cienką warstewką potu po stosunku. Przysunęła się do niego bliżej, zaglądając mu w oczy.

- Martwisz się wyjazdem?

- Niespecjalnie.

- Chcesz, żeby było widać, że to dla ciebie przełomowy moment?

- Wiem. Chyba ciągle jestem w trybie „drażnimy się”.

Joaquin się uśmiechnął i przyciągnął ją bliżej.

- Myślisz o Gabrielu? - zagadnęła.

Kiwnął głową. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki Alondra go nie spytała. Ale ostatnio Gabriel często zajmował jego myśli. Może to przez wyjazd do Teksasu; może to przez porę roku. Niezależnie od tego, jaki był powód, przez ostatnie kilka dni wydawało się, że Gabriel jest wyjątkowo blisko.

- Tak myślałam. Miałaś tę minę.

Joaquin nie spytał, o co jej chodzi. Nie był pewien, czy chce wiedzieć.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Pokręcił głową.

Tak naprawdę, to chciał porozmawiać; o Gabrielu i o głosie w radiu, i o niezliczonych innych rzeczach, które krążyły mu po głowie, odkąd się dowiedział o wyjeździe do Stanów. Ale nie mógł tego zrobić w tej chwili - może nigdy.

- Wiesz, że zawsze cię wysłucham. Kiedy tylko zechcesz.
- Wolalbym raczej spróbować zasnąć, z naciskiem na „spróbować”.

Wychylił się, żeby zgasić światło, wciąż przytulając Alondrę do piersi. Kiedy położył się, westchnęła z zadowoleniem. Po kilku minutach jej oddech się pogłębił i mocno zasnęła.

Jemu natłok myśli nie pozwalał zasnąć. Chociaż usiłował sobie wmówić, że to było jakieś złudzenie, wywołane napięciem nerwowym, nie mógł uwierzyć. Wiedział, że to pierwszy znak: wyjazd pozwoli odsłonić tajemnicę, która nie dawała mu spokoju od prawie osiemnastu lat.

Zaczął zasypiać; myśli o głosie i podróży przycichły, a Joaquin przypomniał sobie niedawny telefon od słuchaczki jego programu.

## 2

TELEFON 2344, CZWARTEK, GODZ. 00.23

Musiałam dziś do was zadzwonić. Tak... musiałam zadzwonić do kogoś... do kogoś, kto mógłby zrozumieć moją historię. Wszyscy uważają, że zwariowałam. Ale ja nie zwariowałam, przysięgam. Chociaż, jeśli nie znajdzie się ktoś, kto mi uwierzy, chyba naprawdę oszaleję.

Wszystko się zaczęło, kiedy posypało się moje małżeństwo.

Wiesz jak to jest, im bardziej się do kogoś zbliżasz, tym bardziej oddalony ci się wydaje. Chodzi o mojego męża. Zatrzasnęła w sobie jakieś drzwi i wyrzucił klucz. Każda rozmowa zmieniała się w kłótnię. Każde pytanie było oskarżeniem. Wzdrygał się nawet, gdy go dotykałam.

Pamiętam tę noc, kiedy zrobiło się naprawdę bardzo źle. Powiedzieliśmy sobie rzeczy, których nie powinno się mówić, atakując drugą osobę. Złe rzeczy. Takie słowa uderzają w samo serce.

Wiedziałam, że tak dalej być nie może. Dlatego złapałam moje dzieci, Matea i Josephine, i wybiegłam z domu. Naprawdę wybiegłam, ciągnąc dzieci za sobą jak szmaciane lalki. Krzyczały, płakały, lecz ja musiałam

biec; wiatr smagał mnie po twarzy, ale od wielu miesięcy nie czułam się tak dobrze.

Po kilku przecnicach w głowie mi się przejaśniło i zdałam sobie sprawę z niedorzeczności tego, co robię. Dokąd biegnę? Co zamierzam zrobić?

Zanim zdążyłam pomyśleć, zobaczyłam parę metrów dalej kobietę, która machała do nas. To była Lorenza, koleżanka z pracy. Podbiegła do nas, przejęta.

Usiłowałam jej wyjaśnić, co się stało. Chyba mówiłam bez sensu. Ale Lorenza kiwała głową, wysłuchiwała mnie, objęła mnie ramieniem i zaprowadziła razem z dziećmi do swojego domu.

Położyła Josephine i Matea spać w wolnym pokoju, zrobiła mi herbatę, a ja się porządnie wypłakałam. Lorenza rozumiała moje położenie. Jej małżeństwo też się nie ułożyło. Chociaż nigdy nie poznałam jej męża, z opowieści wydawał się bardzo podobny do mojego: ten sam dystans, ten sam chłód, to samo... no, wszystko.

Po rozmowie z Lorenza zrozumiałam, że nie mogę wrócić. Moje małżeństwo skończyło się wiele lat temu, tylko dopiero teraz to do mnie dotarło. Ale nie miałam dokąd pójść.

I znów na ratunek przyszła Lorenza.

Powiedziała, że jej rodzice mają mały domek pod miastem. Wynajmowali go, żeby sobie dorobić, ale teraz akurat jest wolny, więc mogę tam zamieszkać z dziećmi tak długo, jak zechcę. Mielibyśmy dach nad głową, zanim zdecyduję, co dalej.

Spytała, czy chcę tam jechać. Kiwnęłam głową. Tu w każdej chwili mógł pojawić się mój mąż.

Zapakowałyśmy dzieci do samochodu i ruszyłyśmy nocą w drogę.

Jechałyśmy parę godzin. Dom wcale nie był pod miastem, ale w sennym pustynnym miasteczku jakieś trzysta kilometrów dalej. Wtedy się nie przejęłam. Kołysanie samochodu mnie uspokoiło, a pustynne powietrze wspaniale pachniało.

Około drugiej w nocy Lorenza zjechała z autostrady na żwirową drogę. Jechałyśmy nią jakiś kilometr, a potem zaparkowała na polanie. Wysadziłam dzieci z samochodu i rozejrzałam się. Księżyc był prawie w pełni; zobaczyłam parę kaktusów, niewyraźny zarys gór w oddali, ale żadnego domku.

Odwrociłam się do Lorenzy, ale samochód zniknął. Nawet żwirowej drogi, którą jechałyśmy przed chwilą, nie było.

Co najgorsze... nie było też moich dzieci.

Wołałam je po imieniu, głośno, nerwowo. Ale słyszałam tylko szuranie wiatru po pustyni i przeraźliwe wycie kojota w oddali.

Nie wiedziałam, co robić, po prostu ruszyłam przed siebie. Szłam i szłam, a każdy krok był coraz trudniejszy.

O świcie dotarłam do autostrady, skąd zabrał mnie jakiś samochód i podwiózł do najbliższego dworca autobusowego. Stamtąd zadzwoniłam do męża.

Byłam zszokowana, kiedy odebrała Lorenza. Spytałam ją, czy z Josephiną i Mateem wszystko w porządku. Odparła, że tak, ale zdziwiła się, czemu pytam.

Powiedziałam, że mam prawo wiedzieć, gdzie są moje dzieci.

- Twoje dzieci? - powtórzyła. - Josephina i Mateo to moje dzieci.

Nie pamiętam, co powiedziałam potem. Krzyczałam, płakałam, musiałam się zachowywać jak wariatka.

W końcu Lorenza oddała słuchawkę mężczyźnie, o którym mówiła „mój mąż”. Natychmiast rozpoznałam jego głos. To był mój mąż.

Odezwał się do mnie spokojnie, zachowując dystans, jak zwykle.

### 3

#### WTARGNIECIE PRZESZŁOŚCI

**W**siadaj do taksówki, spóźnimy się na samolot - powiedziała z naciskiem Alondra.

Joaquin chciał wsiąść. Od samochodu dzieliło go parę centymetrów. Ale nie potrafił się poruszyć.

To przez samochód: ford taurus, rocznik 1990. Kolor: zielony metalik.

Przeleciało mu przez głowę pytanie, czemu korporacja taksówkowa używa takiego samochodu. Ale myśl tę szybko przywaliła nawała wspomnień o takim samym samochodzie i podróży sprzed lat.

Poczuł wyboje pod kołami, zapach tapicerki, zobaczył tył głowy ojca. Tak żywe wspomnienie zabolowało. Pamiętał nawet, jaka była w dotyku gąłka głośności na jego poobijanym walkmanie Sony.

- Joaquin, pospiesz się!  
Wziął głęboki oddech i sięgnął do klamki.

## 4

FORD TAURUS '90 ZIELONY METALIK

Joaquin wyglądał przez okno samochodu, słuchając składanki na swoim walkmanie. Słońce, zawieszona na jasnym, bezchmurnym niebie, omiało autostradę ostrym, oślepiającym światłem. Joaquin z trudem powstrzymywał się od mrugania.

Podkręcił maksymalnie głośność.

Kolejny słoneczny dzień, pomyślał; zmrużył oczy i patrzył na mijające ich samochody przez cmentarzysko owadów na przedniej szybie.

Słońce już kiedyś tak świeciło i miało tak świecić w przyszłości. Dzień do zapomnienia, dzień anonimowy.

Ale Joaquinowi to się podobało.

Chciał, żeby ten dzień - ta wycieczka - skończył się najszybciej, jak to możliwe. Chciał wrócić do Meksyku niezaznaczony, niezmienny. W ostatnich kilku tygodniach tyle rzeczy dobrze się ułożyło: rzeczy, które nigdy wcześniej mu się nie układały. Rzeczy, które się liczyły. Rzeczy, z których się cieszył.

Modlił się, żeby nie wydarzyło się nic, co by to zmieniło.

Wielu piętnastolatków zanoszą takie modlitwy. Rzadko się spełniają.

Ta również nie miała zostać spełniona.

Aż do tej chwili wycieczka z Mexico City z rodzicami przebiegała bez incydentów. Z lotniska na lotnisko bez opóźnienia. Przez odprawę bez zgrzytów. Bagaż - jeden z pierwszych na taśmie. I nawet nie było kolejki w wypożyczalni samochodów.

Przekąsili coś w przydrożnym barze, a potem ruszyli do śródmieścia Houston i hotelu.

Joaquin miał nadzieję, że tak będzie dalej. A potem odezwał się jego ojciec:

- Co byś powiedział na przejażdżkę po centrum, Joaquin, zanim pojedziemy do hotelu? Bardzo bym chciał, żebyś zobaczył tego Dubuffeta.

Joaquin zmartwiał. Tata i jego lekcje sztuki. Co za nudy. Dlaczego dorośli zmuszają, żeby inni zajmowali się tym, co ich w ogóle nie interesuje?

- Tato, jestem trochę zmęczony - powiedział, mając nadzieję, że to wystarczy.

Nie wystarczyło.

- Ten Dubuffet zmienił moje życie. Obejrzyjz go.

Joaquin westchnął, zrezygnowany.

W wieku piętnastu lat sam pomysł wycieczki całą rodziną uważał za niedorzeczny. Wszystko to, co różniło go od rodziców, teraz bardziej nawet niż kiedykolwiek, wydawało się ziejącą otchłanią, nieprzebytą jak puste, milczące rubieże dalekiego kosmosu.

Ojciec usiłował rozbudzić w nim zamiłowanie do sztuki współczesnej, ale bez powodzenia. Joaquin nigdy nie zwracał na to większej uwagi, bo miał inne pasje.

Przerzucił kasetę i wcisnął „play”. Składanka punku, metalu, klasycznego rocka i muzyki elektronicznej zmiażdżyła rzeczywistość, przenosząc go do świata dźwiękowego błogostanu.

Kiedy zaczęła się *Phaedra* Tangerine Dream, ojciec zatrzymał samochód na Louisiana Street 1100. Joaquin podniósł wzrok i zobaczył *Monument au Fantôme* Dubuffeta.

Bez słowa wysiadł i podszedł do rzeźby. Dziwne, nieregularne kształty, przywodzące na myśl ludzkie i zwierzęce postacie, były zarysowane grubymi, czarnymi liniami. Syntezator Mooga Christophera Franke pieścił te kontury, a bursztynowe światło słońca, które już zachodziło, wyglądało ostre kanty.

Rzeźba urzekła Joaquina. Wszedł w jej środek i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. Patrzył na chmury, jak płyną po niebie, przez spowijające wszystko dubuffetowskie kształty.

Kiedy niespiesznie zbierał się z powrotem do samochodu, poczuł coś dziwnego, jakby zauważył róg jakiegoś olbrzymiego, ukrytego przedmiotu. Po jego ciele rozszedł się cichutki, nietoperzy pisk rozpoznania. Czyżby lekcje ojca w końcu coś dały? Jeśli to prawda, nie zamierzał tego tracić... nigdy.

- Jak ci się podoba Dubuffet? - spytał ojciec.

- Podoba mi się. Już widziałem jego prace - wymamrotał Joaquin i zamilkł.

To były ostatnie jego słowa przed przybyciem do hotelu. Rodzice przyzwyczaili się już do tych długich okresów milczenia. Joaquin często z nich korzystał, mając nadzieję, że jego młodzieńczy bunt wezmą za coś głębszego. Nie dziś. Dziś nie przywiązywał do tego wagi. Jego myśli zaprzętało coś innego.

Nazywała się Claudia Guerrero.

Uważana za najładniejszą dziewczynę w szkole, była panią jego serca, jeszcze zanim zaczęli ze sobą chodzić. Zamierzali spędzić ten weekend razem... nie pilnowani. Marzenie każdego nastolatka: weekend sam na sam z najgorętszą laską w szkole. Ta wycieczka zniweczyła plany.

Próbował przekonać rodziców, żeby pozwolili mu zostać, ale się nie udało.

- Twoja babcia jest bardzo chora. Kto wie, ile czasu jej zostało? - powiedziała matka.

Na tej samej zasadzie Joaquin nie wiedział, jak długo potrwa jego związek z Claudią i trwanie tego cennego czasu było dla niego druzgocącym ciosem - tym bardziej że rodzice dziewczyny bardzo jej pilnowali po tym, gdy znaleźli zdjęcia porno, na których była także Claudia. Nie pomogło, kiedy tłumaczyła się, że wszystkie koleżanki miały takie fotki.

Argumenty Joaquina coś mu jednak dały. Matka zgodziła się kupić mu niedrogą elektryczną gitarę. Przekupstwo się udało. Przestał się opierać.

Po wyjeździe od razu tego pożałował. Czemu sprzedał się tak tanio? Powinien był się uprzeć na starego stratocastera rocznik 62. Albo przynajmniej fendera.

W hotelu, kiedy rodzice wyszli, zadzwonił do Claudii. Odebrała po drugim dzwonku.

Zaczął od narzekania: ma już dość rodzinnej wycieczki, jedzenie i hotel są okropne. Niczym nie brzydził się bardziej niż szpitalem, a musiał tam spędzić cały następny dzień. Chciał opowiedzieć Claudii o rzeźbie Dubuffeta, ale nie mógł znaleźć właściwych słów, żeby ją opisać, i w końcu zmienił temat. Wstydział się powiedzieć jej, że ją kocha czy że za nią tęskni, czy że chciałby pogłodzić jej piersi, więc zakończył chłodnym *ciao*.

*Ciao*. Świetne zagranie, pomyślał.

Rozmowa go sfrustrowała.

Jakiś czas leżał na łóżku i oglądał telewizję. Program wcale mu się nie podobał. Ci, którzy robili najbardziej bezsensowne sztuczki, jakie można sobie wyobrazić, to po prostu imbecyle! W końcu pogрузzył się w otępiłym śnie, rozmyślając nad pustynią rozkładu nocnej telewizji.

Następnego dnia, po nijakim hotelowym śniadaniu, wsiedli do wynajętego forda i pojechali do szpitala. Joaquin słuchał Dead Kennedys.

Wydajność i postęp znów należą do nas  
Teraz, kiedy mamy bombę neutronową  
Działa ładnie, szybko i czysto, i załatwia sprawę.

Rodzice słuchali radia, jakiegoś talk-show. Przez wrzask Biafry Joaquin usłyszał głos: „Naprawdę powinieneś posłuchać”. Przewinął taśmę i puścił jeszcze raz. Nic. Dziwne, pomyślał, to pewnie moja wyobraźnia. Ale gdzieś w głębi mózgu, w systemie limbicznym, ocknął się ponadnaturalny strach.

Niebezpieczeństwo było blisko.

## 5

CZARNE VOLVO 740 '90

**G**abriel wyciągnął się na tylnym fotelu. Kiedy tylko adidas dotknęły skóry...

- Jeśli chcesz się tam położyć, ściągnij buty.
- Przesunął nogi tak, że stopy zwisały mu poza fotel.
- Gabriel, ja nie żartuję.
- Tato, nie dotykają skóry.
- Gabriel.

Gabriel zachnął się i usiadł.

Tata i jego nieskazitelna tapicerka, szlag by go. To normalnie jakaś obsesja, pomyślał, wyglądając za okno. Potworne nudy. Kolejny dzień z rodzicami. Kolejna przejażdżka „fantastyczną szwedzką maszyną”. Moręga.



Tego dnia mógłby pojamować z kapelą, albo posiedzieć w pokoju, posłuchać płyt i zapalić zioło. Ale znów został zmuszony, by dopełnić ceremonii rodzinnej wycieczki.

To był tylko pretekst, tata chciał się przejechać swoim nowiutkim volvo turbo. Pieprzyć go. I pieprzyć czystą skórę. I pieprzyć szwedzkie konstrukcje.

Gabriel miał dość wysłuchiwanie tych pierdoł.

Jedyne, co go ekscytowało w nowym samochodzie ojca, to dźwięk silnika. Podobał mu się. Wyobrażał sobie, że nagrywa go w najróżniejsze sposoby. Jak by brzmiał, zastanawiał się, gdyby wsypać do baku kilo cukru? A gdyby wybuchł albo został obłany jakimś mocnym kwasem? Jak by brzmiał wtedy? Gabriel wyobrażał sobie wzmocnienie i odtworzenie w zwolnionym tempie prychania benzyny spalanej w cylindrach. Nie lubił samochodów. Jego pasją były muzyka i dźwięki... jego obsesją, na nich znał się najlepiej.

Żyłka do eksperymentów dźwiękowych obudziła się w nim, kiedy odkrył Hansa Heussera i Alberta Savinia, muzyków-dadaistów z początku XX wieku, industrialne zespoły z lat osiemdziesiątych, jak Throbbing Gristle i Coil, i grupy synth-popowe, takie jak Art Of Noise i OMD. Zanurkował głęboko w różne awangardowe kapele, zanurzył się w całym spektrum muzycznym, a potem, centymetr po centymetrze, zaczął formować własne rozumienie tego, czym powinna być muzyka. Jedną z jego pierwszych kompozycji była inspirowana piosenką Diany Ross, puszczoną od końca.

Dźwięk go fascynował - od trzasku wyładowań elektrycznych po brutalne, surowe i makabryczne brzmienia Einstürzende Neubauten. Fascynowały go także kompozycje wesołe, eleganckie collage dźwiękowe i inteligentne parafrazy Pixies, Bad Brains, a nawet The Carpenters. Przypadały mu do gustu utwory Strawińskiego i ludowe pieśni *jarocho* z Veracruz. Często słuchał popu, uwielbiał najbardziej obłąkańcze popisy wirtuozów i wpadał w trans, otoczony głośnymi, dzikimi brzmieniami prog-metalu. Nie miał ulubionego gatunku muzyki. Uważał, że style powinny się łączyć i przenikać, żeby stworzyć coś nowego. Wiedział, że to właśnie chciałby robić.

Był pewien, że zostanie muzykiem, bo to jego przeznaczenie. Szkoły jeszcze nie rzucił tylko dlatego, że tam najłatwiej mógł poznawać dziewczyny. Oczywiście, dochodził do tego drobny szczegół: rodzice nigdy, nawet za milion lat, nie pozwoliliby na to, chociaż wspierali jego muzyczne

ambicje tworzenia rzeczy nowych. A ich wsparcie się liczyło: aranżacje Gabriela były głośnymi kakofoniami niezbornych dźwięków, które mogły doprowadzić do szału - co często się zdarzało. Rodzice zachęcali go, żeby został muzykiem, ale jeśli skończy liceum i dostanie się do konserwatorium. Na tej samej zasadzie, gdyby chciał dalej bawić się w fotografię, musiałby to potraktować poważnie i pewnie pójść do jakiejś artystycznej szkoły. Uważali, że musi mieć czas na dokładne przemyślenie wyboru, żeby nie podjąć decyzji, której by potem żałował.

- Wyobraź sobie, że w wieku czterdziestu lat dochodzisz do wniosku, iż wybrałaś niewłaściwy zawód. Pomyśl tylko, jak ciężko byłoby to zmienić na takim etapie - powtarzał ojciec.

Gabriel wiedział, że to prawda. Życie muzyka nie jest łatwe. Większość kończyła, wykonując jakieś proste prace, żeby zarobić na chleb. Za którymś razem odpowiedział nawet ojcu: „Nie zamierzam tak długo żyć”.

Z powodu tej rzuconej bez zastanowienia uwagi rodzice wysłali go do psychiatry. Doktor Krauss wyglądał, jakby dostał tę rolę z castingu - był łyse i brodaty, miał ściągnięte usta i łagodne, współczujące spojrzenie. Już na drugiej sesji Gabriel go wkręcił. Wmówił mu, że ma halucynacje na tle religijnym, pragnienia homoseksualne, odruchy ojcobójcze, a później, kiedy nabrał wprawę, bulimię i zaburzenie deficytu uwagi.

Gabriel czytał podręczniki psychiatrii, żeby lepiej opanować swoje zmyślane przypadłości. Studiował Freuda, cytował z pamięci przypadki, wprawiając doktora Krausa w coraz większe zakłopotanie. Po sześciu miesiącach zrezygnował z leczenia Gabriela, przyznał, że jest niewrażliwy na jego metody i techniki.

Dla niewprawnego ucha muzyka Gabriela była chaosem, dźwiękowym śmietnikiem. Jednak ktoś cierpliwy i wykształcony odnalazłby tam formę i strukturę. Gabriel miał wrodzony talent do kompozycji. Tworzył dziwnie złożone dźwiękowe krajobrazy: kanony, fugi; wyjątkowe parafrazy i interpretacje najróżniejszych form muzycznych, klasycznych i popularnych. Oczywiście mało kto rozumiał, co on chciał osiągnąć. Ponieważ nie miał odpowiedniego wykształcenia, mógł pisać tylko muzykę najprostszą, która często nie wyrażała w pełni tego, co chciał wyrazić.

Ale to się nie liczyło. Czuł muzykę, była jego językiem. Dźwiękami i metrum potrafił przekazać coś, czego nigdy nie wyraziłby słowami.

Słuchał pracy silnika, a ojciec zadowolony, że ma samochód z bajerami, obracał gałki, wciskał guziki, zmieniał stacje radiowe. Przełączył z muzyki klasycznej na wywiad z astronomem, opowiadającym o teleskopach radiowych, a potem na *Sympathy for the Devil* Rolling Stoneów. Obejrzał się na Gabriela.

- Chcesz posłuchać prawdziwych mistrzów?

- Przestań się bawić i skup się na drodze. Nie podoba mi się ta furgonetka przed nami, dziwnie jedzie - powiedziała matka. Do tej pory nie mówiła.

- Nie szaleję za Stonesami - odparł Gabriel.

- Co to ma znaczyć? To Stonesi wszystko zaczęli.

- Aha - mruknął Gabriel bez zainteresowania.

- Jak chcesz, twoja strata. - Ojciec znów zmienił stację.

Wtedy Gabriel zauważył szarą furgonetkę, o której mówiła jego matka. Zarzuciło ją wściekle na boki.

W radiu rozległ się niski głos: „Naprawdę powinieneś posłuchać...”

## 6

12:34

Furgonetką zarzuciło... koła oderwały się od betonu... przewróciła się.

Joaquin zobaczył w środku kobietę - machała rękami, miała wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy. Wydawało mu się, że czuje zapach iskier, sypiących się spod samochodu. Potem usłyszał pisk, obejrzał się i zobaczył volvo, które pędziło prosto na nich.

- „Zabijemy, zabijemy, zabijemy biednych: dziś wieczorem” - zawył w jego uszach Biafra.

Jego głos sprawił, że wszystko zaczęło się dziać jakby w zwolnionym tempie. Joaquin zapadł w apatię. Wpatrywał się w twarz kierowcy volvo. To była sympatyczna twarz, trochę wykrzywiona grymasem strachu. Wyglądała znajomo. Znam tego człowieka? Nie, to musi być jakiś rodzaj „pamięci przyszłości”, powiedział sobie, nie wiedząc tak naprawdę, co to znaczy.

W tej rozdętej chwili myślał o wielu dziwnych rzeczach. Zrozumiał, że przez wypadek nie zdążą na czas do babci do szpitala. Spóźnią się kilka godzin. Kiepsko. Zastanawiał się, jak opowiedzieć o tym Claudii. Śmiertelnie bała się wypadków. Przestraszyłyby się, słuchając tego, ale on mógłby ją pocieszyć... seksem. Udałoby mu się, na pewno.

Za chwilę dojdzie do wypadku. Ta myśl wydała mu się odległa, nie dotycząca go. Mogę zostać okaleczony. Czy Claudia będzie mnie kochać? Czy zechce mnie z twarzą pełną blizn?

Czy mogła być aż tak powierzchniowa? Całkiem możliwe. Joaquin nie miał pojęcia, jak by zareagowała. A gdyby poranił sobie dłonie albo palce? Ile minęłoby czasu, zanim mógłby gładzić kobiece ciało albo gitarę? A co, jeśli nigdy? Pozostała nadzieja, że wypadek nie wpłynie na obietnicę matki, że kupi mu gitarę, choćby tanią. W piśmie „Guitar player” widział reklamę sklepu na przedmieściach Houston, gdzie sprzedawali używane fendery po niewiarygodnych cenach. Może przynajmniej dostałby fenderà. A nie tanią japońską podróbkę, na którą prawie się już zgodził.

Nie zapisał tego adresu.

Dlaczego zapomniał?

W chwili, kiedy ta myśl przeleciała mu przez głowę, uszy wypełnił dźwięk jak tysiąc akordów elektrycznej gitary. Ze wszystkich stron poleciały na niego kawałki poskręcane metalu.

A, jasne, przypomniał sobie, to właśnie wypadek.

Co się stało z grawitacją? - zdziwił się.

Wszystko załala czerń.

## 7

12:51

**G**abriel otworzył oczy. Przez poczwarkę poszarpanych blach zobaczył kobietę, która zakrywając oczy, powtarzała:

- Cholera, cholera! Skóra mnie pali, skóra mnie pali! Chodź szybko, Roger, pali mnie!

Chciał zobaczyć, co się stało. Obrócił się.

Pałący ból.

Ciemność.

Czternaście minut później Joaquin obudził się na noszach z maską tlenową na twarzy. Widział tylko niewyraźne kształty, a głosy słyszał jak z oddali, zniekształcone.

- Przedni fotel... śmierć na miejscu... jatka...

Dołączył się drugi głos:

- Wyobrażasz sobie? Co byś zrobił, gdyby to twój szef powiedział coś takiego?

Znów pierwszy głos, wyraźniejszy:

- Dobrze zrobiłeś, ale musisz pomyśleć, jak to wpłynie na twoją emeryturę. Podaj nożyczki... dzięki. Nic tu już więcej nie zdziałamy. Kiedy przyjadą z kostnicy?

Nie rozumiał, o czym oni mówią. Zupełnie jakby mówili o kimś nieznanym. Przez chwilę myślał, że słucha jakiegoś medycznego programu w radiu. Słuchał dalej.

- Jak nie zatrzymamy krwawienia, przekręci się nam - powiedział nowy głos, trochę dalej.

Nie lubię takich programów, pomyślał Gabriel. Zmienię kanał.

- Gdzie jest pilot? Niech mi ktoś poda pilota.

Usłyszał śmiech i dowcip o kanapowych ziemniakach, którego nie zrozumiał. Potem osunął się w ciemność. Cudowną, witającą go ciemność.

## 8

GŁOS NA DZIESIĘCIU TYSIĄCACH METRÓW

Ciemność...

Światła zamigotały kilka razy, a potem ożyły, wypełniając kabinę samolotu ciepłym blaskiem.

Joaquin zerknął na Alondrę. Spała. Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów, a ona spokojnie westchnęła.

We śnie wyglądała jak zupełnie inna osoba: spokojniejsza, bardziej zrównoważona. Joaquin żałował, że nie może do niej dołączyć. W samolotach zaśnięcie było dla niego niemożliwe.

Próbował czytać, ale myśli mu się rozbiegały i odkrył, że intryguje go odgłos pracy silnika. To, co było tylko buczeniem w tle, nabrało głębi i konkretności.

Odłożył książkę i przekrzywił głowę, nasłuchując. Kiedy się skupił, usłyszał w ryku silnika organiczny rytm, prawie jak oddychanie. Rozejrzał się po kabinie. Pasażerowie zajmowali się swoimi sprawami: czytali, rozmawiali, pili i jedli. Nie zwracali uwagi na otaczającą ich symfonię dźwięków.

Joaquin odwrócił się, wabiony przez dźwięk, który oderwał go od przyziemnych trosk i wciągnął do świata, gdzie w najdziwniejszych, nieznanymi miejscami czekały warstwy znaczeń, gdzie przeoczone detale życia stawały się tajemnym kodem, ucieleśniającym niewyobrażalne dotąd tajemnice. Wciągało go w głąb tego świata coraz silniejsze wrażenie, że w hałasie silnika czai się świadomość.

Nachylił głowę do okna, żeby być bliżej wibracji. Miał nadzieję, że bliskość pozwoli mu nie tylko wyraźniej słyszeć, ale zjednoczy go z tą świadomością... uczyni go jej częścią.

Kiedy przyłożył ucho do szyby, usłyszał nowe warstwy dźwięku. Pulsujący rytm ukryty w szumie z ledwie organicznego stał się wyraźnie ludzki. Był ciężkim dyszeniem zmęczonego człowieka, który z trudem łapie powietrze i usiłuje coś powiedzieć.

Joaquin rozgniół ucho na szybie jeszcze mocniej i uspokoił swój oddech, całą siłą woli zmuszając silnik, by przemówił, pragnął coś usłyszeć.

Jakaś część mózgu mówiła mu, że to nieprawda, że to dźwiękowa iluzja. Uciszył ją i słuchał jeszcze uważniej.

Wszystkie zewnętrzne dźwięki zniknęły, pozostało tylko to dziwne, utrudzone dyszenie. Joaquin słyszał charkot wyschniętych, spękanych ust. Sugestię języka przesuwającego się po podniebieniu. Jakby widział te usta. Kropelki krwi na wargach, ofiarę jakiegoś wstrząsu. Aktu przemocy, który prawie uniemożliwił mówienie. Wstrzymał oddech i zaczął słać kojące myśli, z nadzieją, że przywróci spokój istocie, do której te poranione usta należały. I pomoże jej przemówić.

Z początku wysyłał swoje prośby jako uczucie, bezkształtną sugestię, lecz pragnienie usłyszenia czegoś więcej przekuło ją w słowa.

Niewypowiedziane, ale równie prawdziwe. Zdanie w jego głowie powstało niesprecyzowane i chaotyczne:

Dalej, proszę, mów! Chcę usłyszeć twój głos. Dalej, no dalej!

Potem je okroił, upraszczając do najważniejszej prośby:

Dalej, mów.

Potem zostało tylko: mów.

Powtarzał to słowo w głowie bez końca.

Mów... mów... mów...

Czekał i słuchał. Słyszał, jak suche wargi rozchylają się, wciągają powietrze w tytanicznym wysiłku wydobywania z siebie słów.

Mów... mów... mów...

Sapanie przyspieszyło; rozpaczliwa próba napełnienia płuc (nieistniejących przecież) powietrzem, żeby to ukryte zdanie mogło w końcu przekazać swoje znaczenie Joaquinowi. A on rozpaczliwie pragnął to znaczenie poznać. Przerzucił się na zachęty.

Tak... tak... tak...

Dyszenie ustało. Joaquin poczuł mrowienie skóry; czekał na pierwsze słowo. Mijały sekundy.

Tik... tak... tik...

Chwila się przeciągała. Chmura „teraz” otoczyła Joaquina, obejmując go swoimi wielkimi, matczynymi dłońmi. Czekał na słowo, a z głębi jego umysłu zaczęły powoli wynurzać się myśli o przeznaczeniu i pogrzebane mgły bolesnej przeszłości.

Zamknął oczy; pragnął zbliżyć się do głosu jeszcze bardziej, głębiej wniknąć w jego świat. W głowie pojawiały się obrazy: twarze wykrzywione w cierpieniu, popalone ciała, ściany zbryzgane krwią.

Istota wciąż nie przemówiła.

Poczuł, że cały sztywnieje, zaciska powieki, zwiija dłonie w pięści.

Samolot się zatrzęsł. Joaquin uderzył głową w szybę. Światła zamigotały. Wyprostował się, trąc bok głowy. Kontakt z istotą, ze świadomością został zerwany.

Samolot znów szarpnął. Coś potoczyło się po podłodze i stuknęło Joaquina w stopę. Nachylił się i podniósł przedmiot; to był iPod. Ze słuchawek dobiegły go słowa znajomej piosenki.

- „Zabijemy, zabijemy biednych”.

# 9

## DEAD KENNEDYS W KARETCE

Gabriel poczuł, że jest wnoszony do karetki. Spuchniętymi oczami zobaczył wsuwane obok niego drugie nosze. Leżał na nich chłopak mniej więcej w jego wieku. Wyglądał na mocno poobijanego. Trzepotał powiekami, otwierał i zamykał oczy, jakby na skraju utraty przytomności.

Dwaj sanitariusze wsiedli i karetka ruszyła z wyciem syreny.

Patrzył na chłopaka. Zastanawiał się, czy on też wygląda tak źle. Sanitariusz krzątał się przy nim, wbili mu w ramię jakąś igłę. Ale wszystko to wydawało się dalekie, tak samo jak ból. Miał wrażenie, że złamał nogę, lecz to była informacja z zewnątrz, jak telegram otrzymany z dalekiego kraju.

Chłopak obok zaczął nucić, jakby zależało od tego jego życie. Może i tak było.

Gabriel usłyszał pierwsze słowa.

Przez wycie syreny rozpoznał wersy z *Kill the poor Dead Kennedys*. Ostatnio często myślał o tej piosence. Jaki dziwny zbieg okoliczności. Też zanucił. Chłopak usłyszał i jakby dodało mu to sił. Zaśpiewali razem:

Bezrobotne miliony wymiecione  
W końcu mamy dość miejsca do zabawy  
Cała naprzód, zabijemy biednych: dziś wieczorem  
Zabijemy, zabijemy, zabijemy biednych: dziś wieczorem.

Gabriel wiedział, że nie udało im się uchwycić ducha ani energii piosenki, ale punkowy hymn natchnął go otuchą. Zupełnie jakby został napisany z myślą o tej chwili, w takim celu. Ogarnęła go wesołość, radość, jakiej nigdy nie zaznał w swoim krótkim życiu. Jasne, wpadł w euforię, bo środki przeciwbólowe krążyły mu w żyłach, ale miał to gdzieś. Powitał ją z otwartymi ramionami.

Sanitariusz roześmiali się, widząc to dziwne przedstawienie. Ale Gabriel śpiewał dalej. Może podświadomie rozumiał ciemność tego dnia; wiedział, jaki czeka go ból i żal.

Ale teraz liczył się tylko osobliwy duet. Liczyło się tylko to, żeby wyobrazić sobie siebie w jakimś obskurnym punkowym klubie. Stoi na



scenie, krzyczy do mikrofonu, patrzy na kocioł w dole. Użycza głosu cierpieniu i cynizmowi pokolenia utraconej młodości. Tłum krzyczy i wiwatuje.

Gabriel w tym klubie śpiewał ile sił, aż stracił przytomność.

## 10

### SZPITAL ŚWIĘTEGO MICHAŁA

Kiedy Joaquin otworzył oczy, leżał wyciągnięty na łóżku. Wiedział, że jest w szpitalu, i zdał sobie sprawę, że obudził go silny ból. W pokoju ktoś był, kobieta ubrana na biało, pielęgniarka. Spytał o swojego ojca.

- Nie żyje, tak samo jak twoja matka, oboje nie żyją - odpowiedziała, wychodząc. Nawet się nie obejrzała.

Nie widział jej twarzy. Chciał krzyknąć, zawołać ją, ale nie mógł wydobyc głosu. Nie mógł się ruszyć.

Następne kilka godzin spędził cierpiący, unieruchomiony, w całkowitej ciszy, otoczony pustymi, białymi ścianami; pocił się i trząsł, bolało go całe ciało. Kiedy przyszedł dyżurny lekarz, Joaquin powtórzył mu, co powiedziała pielęgniarka. Chirurg, wzburzony, wyszedł z pokoju bez słowa.

Joaquin usłyszał podniesione głosy na korytarzu. Potem niższe, bardziej profesjonalne tony. Po chwili doktor wrócił.

- Chciałbym przeprosić w imieniu szpitala. Nie w ten sposób załatwiamy tu takie sprawy. Bardzo mi przykro.

- W porządku - odparł Joaquin; sam nie wiedział, skąd u niego taka wyrozumiałość.

- Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, nie cierpieli. W tego rodzaju kolizjach śmierć jest natychmiastowa.

Joaquin zastanawiał się, dlaczego bezbolesna, natychmiastowa śmierć miałyby być dla kogokolwiek pociechą. Jego przerażała.

- Synu, czekają cię ciężkie chwile. Będziesz musiał być bardzo silny.

Po drugiej stronie korytarza, w innym białym pokoju, otworzył oczy Gabriel. Zanim jeszcze się ocknął, już krzyczał. Wolał, żeby ktoś do niego przyszedł. Nikt nie przyszedł. Wcisnął guzik wzywający pielęgniarkę. Weszła po chwili.

- Moi rodzice nie żyją, prawda?
- Skąd mam wiedzieć, nie wiem. Musisz porozmawiać z lekarzem.
- Nie żyją? - powtórzył, podnosząc głos.

Pielęgniarka popatrzyła na niego. Współczucie i żal, które Gabriel zobaczył w jej oczach, były całą odpowiedzią, jakiej potrzebował.

Opadł na łóżko. Przez myśl przeszła mu idea łez. Nie popłynęła ani jedna.

Obaj chłopcy byli samotni, poranieni i przerażeni. Ich życie zmieniło się w ułamku sekundy. Jedyna krewna Joaquina w Houston, jego babcia, kilka godzin po wypadku przeszła operację. Lekarze czekali, aż będzie silniejsza, zanim przekazali jej straszne wieści. Krewnych Gabriela jeszcze nie zlokalizowano.

Minęło kilka dni, zanim Joaquin i Gabriel się spotkali. Obaj siedzieli na wózkach inwalidzkich. Pielęgniarki, które pchały ich korytarzem, dały im chwilę sam na sam. Joaquin rozpoznał w Gabrielu chłopaka z karetki - sam nie wiedział jak, bo nigdy się nie widzieli - i spytał:

- To ty się z nami zderzyłeś, prawda?
- Co?
- Byłeś w tym volvo, które w nas uderzyło.
- Byłeś w tym fordzie? Pielęgniarki mi o tobie opowiadały.
- Lubisz Dead Kennedys? - spytał Joaquin niespokojnie, chcąc zmienić temat. Nie był jeszcze gotów rozmawiać o wypadku.
- Aha. „Zabijemy, zabijemy biednych” - zanucił Gabriel fałszywie.

Joaquinowi ulżyło, że Gabriel też pamiętał, co wydarzyło się w karetce. Czyli to nie były halucynacje. Podniósł rękę najwyżej jak mógł, żeby mu przybić piątkę. Gabriel też wyciągnął rękę i dotknął jego dłoni.

- Fajnie byłoby mieć tu jakąś muzę - powiedział.
- W moim pokoju jest telewizor, ale nie dostałem nawet zasranego radia. Uwielbiam muzykę. Potrzebuję muzyki.
- Grasz na czymś?

- Aha. Skąd wiedziałeś?

- To widać.

- Na gitarze i syntezatorze. Ale nie wiem, czy jeszcze kiedyś zagram. Nie czuję palców. - Podniósł prawą dłoń.

- Może kiedyś uda się nam pojamować.

W tym momencie wróciła pielęgniarka po Gabriela; obaj chłopcy zauważyli jej smukłe, silne nogi sprinterki, ledwie osłonięte sięgającą skromnie za kolana spódnicą, i... obaj dostali erekcji. Uświadomili sobie, że łączy ich coś jeszcze: upodobanie do długonogich kobiet w uniformach.

- Na razie - powiedział Gabriel, odjeżdżając.

- Na razie - odparł Joaquin; uświadomił sobie, że żaden z nich nie spytał drugiego o obrażenia ani nie wspomniął o rodzicach.

Joaquin lękał się spotkania z ocalałym z volvo i zaskoczyło go to, co się właśnie stało. Śmierć rodziców dotarła do niego tak naprawdę dopiero dużo później; etapy żałoby: wyparcie, gniew, żal, depresja i akceptacja mieszały się bezładnie w jego zmęczonym umyśle. W najciemniejszych godzinach nienawidził kierowcy drugiego samochodu i obiecywał sobie, że zemści się na ocalałym. Wyobrażał sobie, jak odcina mu głowę maczetą i rzuca bezdomnym psem na ulicach Tijuany.

Ale kiedy po raz pierwszy zobaczył winowajcę, nie czuł gniewu. Ani potrzeby zemsty. Zobaczył tylko drugiego smutnego, poobijanego chłopaka. Pokrewną duszę. Nie mógł się doczekać, kiedy znów z nim porozmawia, a może nawet, któregoś dnia, pogra z nim muzykę. Z tej strasznej katastrofy musiało wyniknąć coś dobrego.

Szukał dobrych rzeczy w te mroczne i bolesne dni, spędzone na cichym łkaniu w swoim pokoju, unikając współczucia i żalu w spojrzeniach innych pacjentów. Do tego dochodziły szept: „Stracił oboje rodziców”. „Nigdy już nie będzie chodzić”. „Wysyłają go do sierocińca”. Udawał, że nie słyszy, żałował, że nie ma swojej muzyki, czegokolwiek, co zagłuszyłyby ich głosy. Ale jego cenny walkman, którego miał od lat, był stracony, zmiażdżony na autostradzie. Dlatego Joaquin leżał w łóżku, mogąc się zająć tylko telewizją, i ze stoickim spokojem znosił opery mydlane, talk show i programy rozrywkowe, które oglądali inni pacjenci.

Dni mijały, a on powoli wracał do zdrowia.

## ŻYCZENIA Z HELIKOPTERA

Nienawidzę szpitali - powiedział Joaquin, rzucając walizkę na łóżko.

- Chciałeś powiedzieć hoteli.

- Co? A co powiedziałem?

- Powiedziałeś „szpitali”.

- Rany. - Joaquin pokręcił głową.

Alondra podeszła do niego i pomasowała mu kark i ramiona.

- Odkąd wylądowaliśmy, jesteś w jakimś dziwnym nastroju. Chcesz o czymś pogadać?

Joaquin odsunął się, rozpiął suwak walizki, wyjął papierową kopertę i przejrzał zawartość. Nie mógł znaleźć tego, czego szukał i z obrzydzeniem rzucił kopertę przez pokój.

Podszedł do okna i odsunął zasłony. Rozpostarł się przed nim widok Dallas - migoczące wieżowce na tle nocnego nieba. Zawsze kiedy myślał o Ameryce, ten właśnie obraz stawał mu przed oczami. Ale teraz, kiedy patrzył na miasto, czuł dystans. Nie był pewien, czy chce być w Ameryce. Nie wiedział, czy zniesie migoczącą nowość Dallas.

Spodziewał się, że to będzie jakby powrót do domu. Syn marnotrawny powraca, żeby pokazać, że wyszedł na ludzi w szerokim świecie. Ale nie czuł się jak syn marnotrawny. Czuł się jak smutne, zagubione dziecko płaczące w nocy, bo nie ma przy nim rodziców.

Alondra nie mogła mu pomóc. Myślała, że potrzebował podzielić się swoimi wspomnieniami o Gabrielu i bolesnych, wspaniałych dniach sprzed lat. Ale po takiej rozmowie wspomnienia by nie zbladły. Przeciwnie, nabrałyby wyrazistości.

Do tego dochodziła jeszcze tamta rzecz. Dziwna istota, która usiłowała się z nim porozumieć. Wyczuwał ją w Meksyku. Wyczuwał na jakimś głębokim poziomie transcendencji. Tam wydawało mu się, że są w niej odpowiedzi na najważniejsze i najtrudniejsze pytania jego życia. Teraz nie miał już takiej pewności.

Może to była jakaś wciągająca go mroczna siła. Pająk czatujący w swojej sieci. Pajęczyny wciągają; Joaquin zostałby w niej, nawet gdyby czyhała tam śmierć.

W oddali wokół wieżowca krążył helikopter. Opadł i skręcił, błyskając światłami. Joaquin w głębi ducha pragnął być w tym śmigłowcu, lecieć przez dallaską noc.

Nagle zauważył coś dziwnego. Światła wcale nie migały, one pulsowały. A on znał ten rodzaj pulsowania.

To był alfabet Morse'a.

Półświadomie przetłumaczył kod, myśląc, że to pewnie żart pilota. Ale w połowie tłumaczenia zrozumiał, że tak nie jest.

Odsunął się od okna, a na rękach i nogach poczuł gęsią skórkę.

- Wszystko w porządku? Odwrócił się gwałtownie do Alondry.

- Będzie ciężko.

- Z czym?

- Ze wszystkim.

Alondra zażądała, żeby wyjaśnił. Ale on nie potrafił nawet sklecić zdania. Głowę wypełniały mu inne słowa, te z pulsującego reflektora helikoptera.

Podszedł na palcach do okna, rozejrzał się, ale śmigłowiec chyba odleciał. Nie, jest. Zobaczył go. Światło wciąż pulsowało, powtarzając zło-wróźbną wiadomość.

Patrzył uważnie, upewniał się, że brzmiała tak, jak mu się wydawało, a nie powstała w jego wyobraźni. Nie mylił się.

„Joaquin, niedługo będziemy musieli porozmawiać”.

Swobodna, przyziemna treść wiadomości sprawiała, że była jeszcze bardziej przerażająca, jak demon w T-shircie.

Gapił się na helikopter, a słowa powtarzały się i powtarzały. Cały drżał.

W końcu reflektor błysnął „przerwa”. Joaquin przygotował się na kolejną serię mocnych wrażeń, ale tym razem przekaz okazał się szokująco banalny:

„Do widzenia i wszystkiego najlepszego”.

Światło przesłało te słowa tylko raz. Potem migotało normalnie, a helikopter zawrócił i odleciał, znikając w chmurze.

## 12

### MROczNA RADOŚĆ

Wyczuwało strach Joaquina. Podobał mu się. Podobały mu się także nowe słowa, których się uczyło: samolot, silnik, iPod, śmigłowiec, alfabet Morse'a. Podobało mu się, jak smakują. Miały cierpki posmak, tak samo jak pierwszy moment kontaktu z Joaquinem, którym wciąż się rozkoszowało.

Chociaż nie mogło widzieć Joaquina, czuło go. Czuło jego zmieszanie i jego poszukujące serce. I z wyczuwania tego czerpało wytrwałość i cel.

Kiedy się przekonało, że Joaquin odebrał wiadomość, te wrażenia się wzmożyły. Gdzieś w swoim rozległym istnieniu zakręciło się z radości. Wiedziało, że w innym czasie i w innym miejscu czuło już tak wielkie szczęście. Radowało się tym, co zdołało osiągnąć. Kręciło się i podskakiwało w innym kształcie, innej formie. Ale odsunęło od siebie te pojęcia i pozwoliło się na powrót pochłonąć chwili.

Kiedy poczuło, że Joaquin znów odbiera słowa, spiło jego strach, pochłonęło każdy jego kąsek. I znów zaczęło wirować, ciesząc się swoją potęgą.

Nagle radość ustała.

Joaquin zniknął.

Było samo. Samo? To też nowe słowo. Ale smakowało kwaśno. Przełknąwszy je, poczuło w środku pustkę.

Pustka.

Kolejne niesmaczne słowo. Opróżniło je jeszcze bardziej. Stało się tak puste, że nie mogło się ruszać, więc podryfowało ciemnymi dolinami swojego gdzieś.

Czuło się rozproszone. Chciało się poddać.

Wtedy rozwinęła się w nim sprężyna mocy. Napęliła je energią. Nie potrafiło jej od razu zidentyfikować, ale ucieszyło się z niej.

Błąkając się po swoim świecie, wspominało strach Joaquina i jego wspaniały smak. Chciało więcej. Potrzebowało więcej. Wiedziało teraz, że nieważne co się stanie, znajdzie ten strach i będzie go chłonęło.

# 13

MINIBAR, MAXIPROBLEM

Alondra wypadła z windy i pobiegła korytarzem, szukając pokoju Watta. Po kilku niewłaściwych zakrętach znalazła go i zapukała do drzwi.

Watt otworzył ubrany w hotelowy szlafrok, z koktajlem w jednej ręce i otwartym słoiczkiem orzeszków makadamia w drugiej.

- Cześć, Alondra. - Zaprosił ją do środka. - Właśnie szperam sobie trochę w minibarku.

- Trochę? - Zaśmiała się.

W pokoju wszędzie wały się elektroniczne gadżety. Na łóżku stał magnetofon Nagra. Z czarnej walizki sterczały mikrofony. Na komodzie leżały baterie i ładowarki, a na podłodze - poobijany laptop podłączony do najróżniejszych urządzeń pajęczą siecią kabli USB. Oprócz czarnego iPoda Alondra większości z nich nie potrafiła zidentyfikować.

- Chcesz coś do picia?

- A ty co pijesz?

- Wódkę z red bullem.

- Fuj. - Wzdrygnęła się.

- Powinnaś spróbować, to naprawdę dobre.

- Nie, dziękuję. Ale wódka brzmi nieźle. Poproszę. Ketel one, jeśli mają.

Watt otworzył barek.

- Hm... Ketel one, ketel one... O, mam! - Wyjął butelkę. - Co do tego?

- Lód i... e... tonik.

Watt chwycił kilka kostek lodu z wiaderka, pootwierał butelki, zmieszał drinka z rozmachem barmana i podał go Alondrze.

Przyjęła szklanekę, usiadła na skraju łóżka i pociągnęła łyk. Zimna wódka smakowała cierpko i czysto; Alondrze przypomniała się sauna, którą odwiedziła w Finlandii.

- Co tam u starego? - spytał wesoło Watt.

- Właśnie w tej sprawie przyszłam.

- Naprawdę, coś się stało?

- Martwię się o niego.

- Co mu jest, zre go trema czy co?
- Nie, ale naprawdę się martwię.
- Możesz jaśniej?

Alondra łykciem przeniosła się na chwilę do Finlandii i wzięła głęboki oddech.

- Więc... - zaczęła, szukając właściwych słów. - To tak jakby, hm, Boże, to jakby... Cholera, nie umiem...

- No dawaj, wykrztuś to z siebie. Rany, myślałem, że to ja mam problemy z komunikacją interpersonalną. - Watt wrzucił do ust kilka orzeszków.

- Dobra, po prostu powiem.

Mijały sekundy, Alondra milczała. Patrzyła w szeroko otwarte oczy Watta. Zawsze jej się podobały. Duże, niebieskie, uważne, zielono nakrapiane. Na pewno zmrużył je z niedowierzaniem, kiedy mu powie o Joaquinie.

Musiała to z siebie wyrzucić. I tak zrobiła, po jeszcze jednym krótkim wypadzie do Finlandii.

- Martwię się o jego zdrowie psychiczne - powiedziała. Tak jak przewidziała, Watt zmrużył oczy i się odwrócił.

- Bądź poważna.

- Nie żartuję.

- No jasne, że wariat. To znaczy, wszyscy jesteśmy szurnięci. Ale nie jest wariatem-wariatem.

- Niestety, mam wątpliwości.

Watt zaczął chodzić po pokoju i rozwodzić się nad wszystkim, co wiedział i sądził o Joaquinie. Potem przeszedł do tego, czym jest szaleństwo i kiedy w ogóle można o czymś takim mówić. Udowadniał, że w wypadku Joaquina nie wchodzi w grę poważne zaburzenia osobowości. I tak dalej.

Usiłowała go słuchać, ale jego słowa zwały się w szum tła. Ona inaczej to odbierała, nie przemawiają do niej racjonalistyczne wywody, którymi starał się ją przekonać.

W końcu Watt przestał mówić.

Alondra podniosła wzrok. Musiał wyczuć, że jest zdesperowana, bo chwycił ją za ramiona i spojrział jej w oczy.

- Nic mu nie jest. Naprawdę. To dla niego ciężki okres. Daj mu trochę luzu.

Odwróciła się, milcząc.



- Dobra, dobra - odezwał się Watt. - Posłuchaj. Jutro zjem z nim sam na sam śniadanie. Będę go słuchać bardzo uważnie, będę miał umysł otwarty.

Alondra popatrzyła na narzutę, przykrywającą łóżko. Niebiesko-zielona kratka idealnie oddawała połączenie złożoności i porządku, którego Alondra właśnie szukała w życiu. Może Watt miał rację. Może nie działo się nic złego. Może przerzucała na Joaquina swoje lęki i obawy przed programem i wspólnym życiem. Naprawdę nie wiedziała.

- Alondra, co ty na to?

- Nie możesz zjeść z nim jutro śniadania. Udziela wywiadu dla „Newsweeka” - powiedziała, ze wzrokiem wciąż utkwionym w zielono-niebieskiej narzucie.

## 14

### WYWIAD

Zanim wszedłem do kawiarni, zadzwoniłem do Alondry. Odebrała przeciągłym, leniwym „halo”. Wiedziała, po co dzwonię, tak, chciałem ją namówić, żeby przyszła na wywiad.

- Alondra.

- O co chodzi?

- Stawiam sprawę jasno: bardzo mi zależy, żebyś była na tym wywiadzie.

- Już ci mówiłam, poszłabym, gdybyś zjadł ze mną obiad i powiedział, co się dzieje.

- Nic się ze mną nie dzieje. Martwię się tylko o program.

- Sam w to nie wierzysz.

- Przyjdziesz?

Alondra odłożyła słuchawkę.

Chyba miała rację. Powinienem z nią porozmawiać o tym, co się działo. Ale wiem, że boi się, kiedy mówię o takich rzeczach. Zawsze powtarza: „To jakies gówno z twojego programu. Nie przynos mi tego do domu”.

Miała rację. Częściowo. Cholera, *Radio duchów* stworzyłem właśnie między innymi po to, żeby przekonać samego siebie, iż moje dziwne przeżycia to bzdury. Oczywiście istotną rzeczą było również, żeby je sobie usprawiedliwić.

A teraz za kilka minut miałem te najważniejsze fakty zataić, reklamując swój program jako pogaduszki o „nocnych strachach”. Wiedziałem, że Alondra nie chciała przyjść ze mną z jeszcze jednego powodu. Nienawidziła tych bzdur. Nie była zainteresowana odpowiadaniem na durne pytania: „Czy trudno ci się pracuje z twoim chłopakiem?”

Nie wyobrażała sobie, jak można opowiadać o sprawach intymnych nieznanym. I tak miała mieszane uczucia co do udziału w *Radiu duchów*, musiałem ją długo namawiać, żeby zgodziła się przyjąć rolę drugiej prowadzącej. Twierdziła, że może to zaszkodzić jej wiarygodności jako badaczki i wykładowcy. Ale ja wiedziałem, że nie o to chodzi.

Łasiłem się do niej, przekonując, że program będzie idealnym laboratorium do jej badań nad miejskim folklorem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że powód, dla którego zgodziła się, nie miał nic wspólnego z jej badaniami. To było coś poważniejszego. Czuli, że mogą zatracić się w programie, i chciała być w pobliżu, żeby mnie w porę wyciągnąć. Twierdziła, że jest sceptyczką. Ale często miałem wrażenie, że w to, co nazywa bzdurami, wierzy i to ją przeraża. Dlatego właśnie kpiała ze wszystkiego, co paranormalne i nadprzyrodzone. Była mistrzynią logiki kołowej. Jak inaczej zdołałaby zachować poważną posadę na uczelni, i zajmować się redagowaniem prowokujących, undergroundowych zinów?

Stosowała to śliskie podejście w programie. Potrafiła wykręcać się z nieprzyjemnych i nerwowych sytuacji, mówić z sensem, ale niejasno. Zawsze wykonywała zgrabny unik, nie musiała uciekać ani się ukrywać, ale nigdy nie zwracała uwagi na siebie. Jestem pewien, że wiele osób uważało takie zachowanie za „wyniosłe” albo „chłodne”. Ja miałem na to inne słowo: strach.

Jakiegokolwiek podawałaby powody, byłem pewien, że właśnie ze strachu nie poszła ze mną na wywiad. Bała się.

Wszedłem do kawiarni pogrążony w tych rozmyślaniach. Reporter z „Newsweeka” już na mnie czekał. Od razu go zauważyłem: na stole miał dyktafon i jednocześnie rozmawiał przez komórkę, robił notatki, czytał e-maile na laptopie i gorączkowo wstukiwał SMS-a na swoim blackberry. Na jedynym wolnym krześle piętrzyły się pisma i gazety.

- Joaquin - powiedziałem, wyciągając rękę.

Reporter uściśnił ją mocno i skrzywił się niemo w grymasie, który mógł oznaczać „miło mi”; zaraz potem zasygnalizował gestem ręki „daj mi chwilkę”. Jedno po drugim zakończył wszystkie swoje połączenia. Przypominało to ruchy robota na linii produkcyjnej. Potem posprzątał na krześle i w końcu spojrzął mi w oczy.

- Przepraszam za to wszystko. Mam robić wywiad z Nicole Kidman. A jej ludzie właśnie zaczęli utrudniać.

Przejrzałem jego próbę nawiązania ze mną więzi przez to „podzielenie się tajemnicą”.

Nie uważałem wcale wywiadu dla „Newsweeka” za osobisty sukces. Nie zależało mi na rozgłosie. Wręcz przeciwnie, zupełnie mu nie ufałem. Ale chciałem, żeby ludzie słuchali mojej audycji, a w ten sposób mógłbym sobie pomóc. Jako konsument kultury popularnej rozumiałem, iż zainteresowanie „Newsweeka” świadczy, że *Radio duchów* zrobiło wielki krok - z marginesu do mainstreamu.

Reporter przedstawił się, Eric Prew, i od razu zaczął porównywać mój program z telewizyjnym serialem *Brzydka Betty*, kolumbijską operą mydlaną, która jak błyskawica wbiła się prosto w amerykański primetime. Odparłem, że porównywanie opery mydlanej z moim programem tylko na podstawie latynoskiego pochodzenia ich autorów wydaje mi się uproszczeniem. Powstrzymałem się od dodania, że wydaje mi się to także idiotyzmem i zakrawa na rasizm.

Czy potrzebnie? Może taka uwaga by zadziałała.

Zamiast tego przytaknąłem ogólnemu zdziwieniu, że programy te zyskały akceptację szerokiej publiczności nienawykłej do konsumowania zagranicznej kultury. O mało co nie użyłem słowa „imigranckiej”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język.

Opowiedziałem o tym, jak mój program powstał w Meksyku, stworzony bez wielkich oczekiwań.

- Wszystko to nabrało rozpędu, zanim się zorientowałem, co się dzieje. Tak się stało, że program muzyczny, który prowadziłem, zdominowała tematyka śmierci, za sprawą moich komentarzy między piosenkami, ale ruszył tak naprawdę, kiedy zacząłem odbierać telefony na antenie. Tyłu ludzi chciało opowiedzieć o jakichś nadprzyrodzonych zjawiskach. A ja im pozwalałem. Program ewoluował. Rozrastał się, stał się czymś nowym i innym.

(To nie była do końca prawda. Ale tak to zawsze przedstawiałem).

Opowiedziałem Prewowi, że zainspirowała mnie, choć wtedy nie byłem tego świadom, inna audycja radiowa, której słuchałem, leżąc w szpitalu w Houston po wypadku, w którym zginęli moi rodzice.

- Uwielbiałem opowiadane tam straszne historie, które wciąż mnie fascynują i czasami nawet przerażają, ale najbardziej podobał mi się format programu. W dużej mierze to dzięki niemu właśnie mogłem zacząć dochodzić do siebie po tragedii, która mnie spotkała.

- Kiedy to było?

- W 1990.

Prew kiwnął głową i zapisał coś w notesie. Potrafiłem odczytać jego bazgroły nawet do góry nogami. Napisał: „Sprawdzić - nadprzyrodzony program radiowy, Houston, 1990”.

- Powiedział pan, że format pana audycji był wynikiem prawie że przypadku; po tej historii wygląda bardziej na zaplanowany.

- Może się wydawać, że jako prowadzący kierowałem programem. Tak naprawdę to program kierował mną. Po roku mieliśmy bardzo lojalną bazę fanów... niektórych aż do obsesji... to bywało kłopotliwe.

Prew zgodził się, że wielu moich słuchaczy rzeczywiście sprawia wrażenie fanatyków. Porównał ich do grupies albo wyznawców jakichś marginalnych religii. Nie po raz pierwszy ktoś zauważał, że moi słuchacze zachowywali się jak członkowie sekty. Przytaknąłem, a potem w milczeniu czekałem na następne pytanie.

- Czy możemy wrócić do pierwotnego *Radia duchów*? Tego, którego pan słuchał w szpitalu?

- W porządku.

- Słuchał go pan sam? Było popularne wśród pozostałych pacjentów?

- Czasami słuchałem sam. Czasami z przyjacielem - powiedziałem ogólnikowo, siląc się na swobodny ton.

- Z Gabrielem?

Kiwnąłem głową. Cholera, miałem nadzieję, że wywiad nie pójdzie w tę stronę. Ale gość najwyraźniej dobrze się przygotował.

- Gabriel zginął podczas jakiegoś rodzaju pirackiej audycji radiowej? Zbladłem.

- Musimy o tym rozmawiać?

- Prowadzi pan program o duchach i śmierci, sam pan przeżył sytuację, w której pana dobry przyjaciel zginął podczas nadawania. Można powiedzieć, że jest tu jakiś związek.

Prew miał rację, związek był. Tej katastrofie zawdzięczałem prawie wszystko. Wciąż noszę po niej blizny, dosłownie i w przenośni. I straciłem Gabriela. Gabriel... Wciąż uważam go za swojego najlepszego przyjaciela, mimo że już dawno go z nami nie ma.

Nie ma go z nami.

To tak nieodpowiednie określenie w stosunku do niego. Nikt nie mógłby być bardziej „z nami” (czy przynajmniej ze mną) niż on. Od jego śmierci minęło osiemnaście lat, a ja wciąż czuję go przy sobie. I to nie jest ekliwa klisza czy jakiś łzawy, nostalgiczny kawałek. To pragmatyczne stwierdzenie codziennej obecności, od której nie ma ucieczki.

- Uważa pan, że to nieistotne? - Prew przerwał mi rozmyślenia.

- Wolalbym, żeby nie na tym skupiał się ten wywiad.

- Nie sądzę, żeby się na tym skupił. Ale planuję zamieścić kilka faktów na temat tego wydarzenia i chciałbym, żeby były jak najbliższe prawdy.

- To dla mnie bolesne wspomnienie.

Prew nie odpuszczał.

- Dobrze, ale niech pan pamięta, że jeśli nie omówię tego z panem, będziemy zmuszeni przedstawić fakty oparte na naszych dochodzeniach. Nie będzie pan miał możliwości ingerencji. Niektórzy ludzie, którzy opowiedzieli nam tę historię, mogą być uprzedzeni. Mogę pana zapewnić, że to, co wydrukujemy, będzie zgodne z pańskim punktem widzenia.

Wyjrzałem za okno; ulicą szedł bezdomny, wrzeszcząc. Słyszałem jego słowa przez szybę i miałem ochotę mu zawtórować. Zamiast tego odwróciłem się do Prewa i zmierzyłem go twardym spojrzeniem.

- Myślę, że ten temat już zamknęliśmy - powiedziałem.

Po kilku sekundach Prew kiwnął głową, wziął głębszy oddech, zajrzał w notatki, a potem - jak dobry reporter, którym był - rzucił mi łatwe pytanie:

- Czym wytłumaczy pan sukces swojego programu?

- Mówimy o rzeczach, które interesują wielu ludzi. Uważam, że współczesne społeczeństwo jest głęboko okaleczone przez postęp technologiczny. Technologia nie jest już narzędziem, którego używamy każdego dnia; wmontowała się w nasze postrzeganie rzeczywistości, w nasze postrzeganie nas samych, w to, jak traktujemy bliźnich i własne wspomnienia. Nasze obawy, aspiracje i fantazje są filtrowane przez technologię. Swoją pracę uważam za sposób, w jaki media mogą pomóc

ludziom odnowić więź z niewytłumaczalnym, z tym, co nie ma nic wspólnego z nauką.

- Nie wiedziałem, że jest pan luddystą.

- Nie. Ale uważam, że w życiu jest coś więcej niż tylko Google, Facebook i YouTube. Istnieją inne formy komunikacji. Głębsze formy. A ludzie chcą się dzielić swoimi doświadczeniami. - Mówiłem ostrym tonem, ale nie mogłem pozbyć się gniewu na Prewa za to, że wspomniał o śmierci Gabriela.

- Rozmawiacie najczęściej o śmierci, prawda?

- Słuchał pan kiedyś mojego programu, panie Prew?

- Pana fani mają coś, co można by nazwać nekrofilską obsesją, uzależnieniem od makabry. Co pan o tym sądzi?

- Jaka kultura nie jest zafascynowana wszystkim, co straszne i przerażające? Ja tylko ukierunkowuję ducha epoki, nadaję formę naszym podświadomym lękom. Ale daję im też coś więcej: ostateczną nadzieję. Że śmierć to nie koniec. Że jest coś więcej.

- I nie uważa pan, że dokarmianie takich fantazji to nadużycie, może nawet forma emocjonalnego szantażu?

- Przez ponad dwadzieścia tysięcy lat ludzie opowiadali sobie historie o duchach. Nie próbujemy nikogo szantażować, przekupywać czy czegośkolwiek wymuszać. Szukamy więzi, sposobu poradzenia sobie z niewytłumaczalnym. Cholera, ja potrzebuję tego programu tak samo jak oni. Potrzebuję tych szalonych rozmów. Nie spodziewam się, że zdołam rozwikłać zagadki życia i śmierci, ale wierzę, że możemy się porozumiewać na głębszym poziomie dzięki uczuciu tak transcendentnemu jak groza.

- Czy pana zainteresowanie śmiercią nie jest po prostu chore?

- Chore? - Powstrzymałem się, żeby nie odpowiedzieć obelgą.

Nie po raz pierwszy słyszałem takie oskarżenie, ale nigdy się do niego nie przyzwyczailem. Uważam je za aroganckie i obraźliwe. Co, do cholery, Prew mógł wiedzieć o moich poglądach na śmierć?

- Chorobliwą niekontrolowaną potrzebą oglądania tego, co zakazane, podglądania rzeczy odrażających. To, co badamy w *Radio duchów*, rzadko bywa odrażające. Często jest bardzo piękne.

- Tematy z horrorów.

- Nie wykorzystujemy w ten sposób emocji. Nie chodzi mi o to, żeby straszyć ludzi. Słuchacze i ja straszmy się nawzajem i razem sobie z tym radzimy. Każdej nocy to coś nowego. *Radio duchów* działa nie dzięki

jakieś hollywoodzkiej formule. To po prostu ludzka komunikacja... czyta i prosta.

Prew notował, a ja kontynuowałem:

- Nie lubię odwoływać się do klisz, ale żyjemy w niepewnych czasach. Wojny i katastrofy, których doświadczyła ludzkość, i doświadcza, powodują trywializację naszej śmiertelności, znieczulają nas. Ale w mojej kulturze praktykujemy inne podejście do śmierci. Bawimy się z nią.

Piszemy do niej jak do starego przyjaciela. Zapraszamy ją jak pijaka, który zjawiał się niezapowiedziany.

Prew wydawał się zadowolony z wywiadu. Ale kiedy sięgnął, by wyłączyć dyktafon, powstrzymałem go ostatnią myślą:

- Coś tak naturalnego jak chodzenie polega na nieustannym wytrącaniu ciała z równowagi. Za każdym razem, kiedy przenosimy ciężar ciała z nogi na nogę, na ułamek sekundy tracimy równowagę. Ucząc się chodzić, uczymy się przemieszczać bez upadania, tracimy i odzyskujemy równowagę niemal jednocześnie. Na tej samej zasadzie można by powiedzieć, że bezustannie balansujemy między życiem i śmiercią.

- Dlaczego mi pan to powiedział?

Uśmiechnąłem się.

- Bo za chwilę pan wstanie i wyjdzie z tej kawiarni.

Prew się zaśmiał.

A potem, niczym opętany przez jakiegoś cybernetycznego ducha, podłączył się znów do tych rozlicznych urządzeń, z których z takim zapalem korzystał. Kiedy włączał i sprawdzał swojej technologiczne przedłużenia, odzyskiwał informacje stracone podczas rozmowy ze mną, jego twarz się rozjaśniła; zmrużył oczy, a rzeczywistość wokół niego jakby się rozpuściła.

Zebrał swój dobytek i wyszedł - z każdym krokiem tracił i odzyskiwał równowagę.

Kiedy tylko zniknął, powróciłem do najważniejszego faktu: ten wywiad miał też opowiedzieć historię śmierci Gabriela. Historię, którą chciałem zachować dla siebie. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Ale co mogłem zrobić? Nie powstrzymam pisma przed opublikowaniem jej. To była prawda.

Wtedy mnie olśniło, znalazłem rozwiązanie. Ukradnę „Newsweekowi” newsa. Uprzedzę ich cios. Opowiem tę historię sam podczas amerykańskiej premiery *Radia duchów*.

# 15

## SPOWIEDŹ

Postało tylko kilka minut programu. Teraz albo nigdy. Dlatego wziąłem głęboki oddech i zacząłem:

„Słuchacze, wiem, że jesteśmy dla siebie nowi. Ale zakończę ten program opowieścią. Bardzo osobistą opowieścią. Myślę, że pomoże nam zbliżyć się do siebie. Mam nadzieję, że dzięki niej zrozumiecie, dlaczego nikt nie będzie się z was w *Radiu duchów* śmiał, nieważne, jak nieprawdopodobna byłaby wasza historia. Bo ja też znam takie niesamowite historie”.

Przyjemnie było znaleźć się znów w studiu. Alondrze chyba też się podobało, a Watt... cóż, on był zwykłym stukniętym sobą. Może nie będzie źle. Program poszedł dobrze, mimo że większość dzwoniących chciała rozmawiać o polityce. Wiedziałem, że ta ostatnia opowieść wszystko zmieni.

Teraz czułem spokój po nieprzewidywalności ostatnich kilku dni, kiedy nie panowałem w pełni nad swoimi emocjami i myślami. W tym miejscu zawsze miałem kontrolę nad sytuacją. I robiłem to, co kochałem: opowiadałem prawdę w nocnej ciszy.

„Kiedy byłem nastolatkiem, stworzyliśmy z moim przyjacielem Gabrielem zespół o nazwie Los Deathmuertoz, graliśmy latynoskiego, progresywnego, eksperymentalnego punk rocka. Może niektórzy z was jeszcze nas pamiętają. Wtedy w okolicach Houston było o nas głośno. Mogę powiedzieć, że nasza muzyka, choć dziwna, naprawdę wciągała. Wykorzystywaliśmy nagrywane przez nas samych „znalezione” dźwięki. Sampłowaliśmy je z najróżniejszych źródeł. Na początku chcieliśmy tylko jamować, badać wszystkie możliwości, jakie dawały nam nasze prymitywne instrumenty i sprzęt. Ale poza tymi eksperymentami nasz muzyczny świat był zabarwiony tragedią. To rozumiałe. Moi rodzice i rodzice Gabriela zginęli w wypadku samochodowym, tym samym wypadku. Samochód, którym jechaliśmy, zderzył się czołowo z samochodem wiozącym rodzinę Gabriela. Przeżyliśmy tylko ja i on. Po wypadku i czasie spędzonym w szpitalu nasze życie coraz bardziej się splatało.



Ja zamieszkałem u babci w Houston, kilka przecznic od ciotki Gabrieli, która wzięła go na jakiś czas do siebie. Spędzaliśmy wspólnie czas w dziwnym zawieszaniu, w quasi-nieobecności autorytetów.

Obaj byliśmy niezłe zakręceni, ale Gabriel zawsze pozwalał sobie na więcej. Nic go nie peszyło. Pierwszy eksperymentował z nowymi narkotykami, prowokował niebezpieczeństwa, pakował się w najróżniejsze kłopoty. Krótko mówiąc, łobuz. Za każdym razem, kiedy upodliliśmy się czymś, znikał. Zazwyczaj nie pamiętał, gdzie był ani co robił, więc zaczął dokumentować swoje szaleństwa polaroidem. Zdjęcia, które znajdował w kieszeniach następnego dnia, umieszczał w albumie; nazwał go „Pamiętnikiem Zagubionych Dni”. Zawsze chciałem dorównywać Gabrielowi, ale jego eskapady były tak osobiste, że czasami czułem się jak intruz. Poza tym nie miało dla niego znaczenia, gdzie spędzi noc: w więzieniu, w łóżku podstarzałej prostytutki, w basenie jakiegoś bogacza, w klatce z małpami w zoo, było mu wszystko jedno. Ja na noc zawsze wracałem do domu.

Ciotka nie radziła sobie z nim, więc zaczął prowadzić koczowniczy tryb życia. Spał wszędzie - u mnie, u innych znajomych, u dziewczyny, u obcych ludzi, nawet na ławce w parku. Z czasem został squatterem, mieszkał w opuszczonych budynkach. Wkrótce do niego dołączyłem; mieszkaliśmy razem w najdziwniejszych miejscach”.

W miarę jak mówiłem, Alondrę i Wartę coraz bardziej to irytowało. Rozumiałem, że moja decyzja, by wypowiedzieć się publicznie, jest dla nich idiotyczna. Gdybym powiedział im wcześniej, co zamierzam zrobić, nic by to nie zmieniło. Pokłócilibyśmy się, a ostatecznie i tak pozwoliliby mi zrobić, co bym chciał. Mój wybór. Ale tak ich zaskoczyć - to było obraźliwe. Wiedziałem o tym. Sugerowało, że mam w dupie ich zdanie.

I tak naprawdę miałem.

„Poświęciliśmy się naszym ambicjom - dwaj muzycy z misją. Uważaliśmy się za skrzyżowanie Strawińskiego z doktorem Frankensteinem, tworzyliśmy hybrydy łączące melodie z organicznym hałasem, na przykład wzmocnionym dźwiękiem pająka, który pożera mrówkę, albo modliszki, jak uśmierca samca. Nagrywaliśmy wszystko, co przychodziło nam do głowy i szliśmy z tym krok dalej, miksując te dźwięki z trzaskami z naszego własnej roboty „radioteleskopu”, anteny, którą zbudowaliśmy ze starych obwodów i która odbierała i zniekształcała sygnały radiowe.

Przy użyciu skromnego sekwencera miksowaliśmy to wszystko w regularne ślady, dodawaliśmy gitary, bębny, syntezatory i inne instrumenty, nie wspominając o mnóstwie innego dźwiękowego śmiecia. To była część naszych eksperymentów. Później dodaliśmy do naszego dźwiękowego repertuaru programy komputerowe, samplery MIDI i wokodery”.

Alondra i Watt jakby się oddalili. Wiedziałem, że zastanawiają się, czemu demontuję postać, którą stworzyłem na potrzeby *Radia duchów*. Lubili tę maskę. Działała. On działał. Czasami wybuchowy, czasami spokojny, czasami uciekający w hermetyczny dystans.

Ale on nie był gwiazdą programu. Ludzie, którzy dzwonili, nadawali ton audycji. On odgrywał rolę przewodnika. Powitalnego głosu. Rozniecał ognisko i zapraszał, żeby się wkoło niego zebrać.

Ja też go lubiłem.

Ale tego wieczoru odsunąłem go na bok.

Nie chodziło tu tylko o artykuł w „Newsweeku”. Teraz to sobie uświadamiałem. Chodziło o prawdę. Jeśli wystartowałem w amerykańskiej wersji *Radia duchów* z tak śmiałą deklaracją prawdy, być może program stałby się tym, czym potrzebowałem, żeby się stał. Może dałby mi odpowiedzi, których szukałem.

Alondra nerwowo pocierała usta kremem w sztyfcie. Wiem, że chętnie oddałaby litr krwi za możliwość ucieczki, ale nie śmiała mnie opuszczać, zwłaszcza po tylu gorących prośbach, żebyśmy o tym właśnie porozmawiali.

„Robiliśmy wiele szalonych rzeczy, ale byliśmy autentyczni. W szkole, kiedy do niej chodziliśmy, uważano nas za świrów. Ale kiedy robiliśmy muzykę, ludzie patrzyli na nas inaczej. Czuliśmy się dowartościowani, widząc zaskoczenie, fascynację czy zdumienie na twarzach tych, którzy zazwyczaj nas ignorowali albo nam dokuczali. Bez trudu straciliśmy dziewictwo; mieliśmy dużo okazji, przy naszej rosnącej gromadzie groupies”.

Watt, otoczony kablami, przełącznikami i guzikami swojego sprzętu dźwiękowego uśmiechnął się z przymusem.

„Śmierć naszych rodziców zbliżyła nas do siebie. Związki, które powstają w sytuacjach takich jak nasza, są tak silne, że trudno je wyjaśnić. Stworzyliśmy własny świat, a na koncertach oferowaliśmy publiczności

jego wizje. Koncerty były jak muzyczny Grand Guignol; na scenie prezentowaliśmy nasze fantazje i nasze koszmary. Tak to wyglądało, zanim powstała koncepcja flash mobów, tych tłumów, które zwołują się SMS-ami z wiadomością o miejscu i czasie spotkania, ale wykorzystywaliśmy prymitywne metody, takie jak ulotki, głośniki zdezelowanej furgonetki lodziarza czy znaki na ulicach, zapraszające ludzi na wpół spontaniczne koncerty i performance'y, urządzone w różnych dziwnych miejscach”.

Wypiłem długi łyk wody. Alondra patrzyła na mnie z mieszaniną wrogości i współczucia. Wart wyglądał na zrezygnowanego, czyścił panokcie szczyrykiem.

„Na każdym koncercie czy przedstawieniu staraliśmy się pobić samych siebie. Pasjami słuchaliśmy wielkich grup grających noise czy zespołów ery industrial, ale uważaliśmy, prostodusznie, że nasza muzyka jest o krok dalej za dokonaniem tych legend. Kompulsywnie czytaliśmy Williama Blake'a, Aleistera Crowleya i Eliphasa Lévięgo. Mieliśmy obsesję na punkcie rytuałów śmierci. Pisaliśmy nawet piosenki na cześć zmarłych, wybieranych losowo z nekrologów w zagranicznych gazetach, pisaliśmy teksty zainspirowane ich historiami. Często znajdowaliśmy w nekrologach fragmenty wspaniałej poezji”.

Telefony dzwoniły. Nie wiadomo, czy dzwoniący żądali mojej głowy, mieli jakieś rzeczowe uwagi czy tylko pytania, czy chcieli podzielić się podobnymi przeżyciami, czy może mnie wykpić. Ignorowałem ich.

„Kiedyś podłączyliśmy nasze gitary i sprzęt do szkolnego głośnika, co skończyło się pożarem i kilkunastoma aresztowaniami. Graliśmy w miejscach publicznych, opuszczonych budynkach, starych kościołach - wszędzie, gdzie mogliśmy zrobić największą zadymę. Bez przerwy mieliśmy kłopoty i dużo czasu spędziliśmy, uciekając, ukrywaliśmy się albo siedzieliśmy w areszcie, a to tylko powiększało liczbę naszych fanów. Nagrywaliśmy płyty, które sami sprzedawaliśmy, a za zarobione pieniądze kupowaliśmy nowy sprzęt i powiększaliśmy nasz system dźwiękowy. To było jak jazda rozpędzonym pociągiem. Każdy chyba mógł przewidzieć, że runiemy w otchłań”.

Twarz Alondry przybrała dziwny wyraz; skrzywiła się jak matka, której dziecko nie radzi sobie w piłce nożnej, w grymasie upokorzenia i

współczucia, którego nigdy nie chce się widzieć na twarzy kogoś, kogo się kocha. Ale ja nie mogłem przestać. To był już prawie koniec.

„Ktoregoś wieczoru pojechaliśmy do opuszczonej stacji radiowej na meksykańskim uniwersytecie, niedaleko granicy. Rozstawiliśmy prowizoryczny - i z pewnością historycznie nieprawidłowy - ołtarz dla Teoyamquiego, azteckiego boga poległych wojowników. Podłączyliśmy sprzęt do nadajnika i udało się nam nadawać naszą muzykę. Potem dowiedziałem się, że wielu, może nawet wszyscy nasi fani, słuchali nas w euforii. Po jedenastu minutach, dokładnie o drugiej w nocy, nastąpił nagły skok napięcia. Nie wiem, jak to się stało, bo nie przeprowadzono nigdy dochodzenia, ale nie mam wątpliwości, że nasz sprzęt doprowadził do krótkiego śpięcia. Tamtej nocy padało i wszędzie było pełno wody. Zachowywaliśmy się wtedy jeszcze bardziej beztrosko niż zwykle i dla postronnych obserwatorów wyglądało to, jakbyśmy celowo doprowadzili do katastrofy. Czasami zastanawiam się, czy Gabriel tego nie chciał, świadomie czy podświadomie. Jestem pewien co do godziny, bo cyfrowy zegar w studiu, chyba najnowocześniejszy sprzęt w całej radiostacji, migał, pokazywał drugą zero zero. Zanim poleciałem trzy metry w górę, zobaczyłem Gabriela”.

Opowiedziałem z rozmyślnym rozczarowaniem, jak uratowali mnie sanitariusze i o tym, że Gabriel już nie żył, kiedy przywieziono go do szpitala. Wyłączyłem mikrofon i napiłem się wody, żalując, że to nie tequila, a potem wstałem i wyszedłem ze studia. Alondra i Watt nie poszli za mną.

Kilka minut później usłyszałem dobiegające z monitorów *Shine on you crazy diamond* Pink Floydów. DJ, który bredzi na antenie, to nic dobrego, ale martwa cisza w programie na żywo jest niewybaczalna.

Drzwi do studia się otworzyły. Wyszedł do mnie Watt.

- Coś ty, kurwa, właśnie narobił? Co dalej, opiszesz swoje fantazje przy masturbacji? Opowiesz o hemoroidach? Zniszczysz nas.

- Musiałem to zrobić.

- Dlaczego?

Dałem mu swoje kluczyki od samochodu.

- Daj je Alondrze. Do hotelu wróć pieszko.

- I wyszedłem.

# 16

## MOJA DRUGA DZIEWCZYNA

Po spacerze czułem się wolny i radosny. Sprężystym krokiem doszedłem do drzwi, otworzyłem je i wszedłem do pokoju. Alondra siedziała na skraju łóżka; przywitała mnie chłodnym spojrzeniem i długo nic nie mówiła.

- Nie rozumiem cię - odezwała się w końcu. - W ogóle cię nie rozumiem.

Opowiedziałem jej o wywiadzie dla „Newsweeka”.

- To nic nie tłumaczy. Twierdziłeś, że nie możemy wspominać o tej historii na antenie.

- Nie jesteś na mnie zła - powiedziałem.

- Nie jestem? - Zerwała się na nogi i zrobiła najwścieklejszą z min wściekłych dziewczyn.

- Nie, nie jesteś. Jesteś zazdrosna.

- Zazdrosna? Zazdrosna! - wrzasnęła, a jej twarz osiągnęła nowy poziom szału.

- Uspokój się i pomyśl. Od wielu dni chciałaś ze mną porozmawiać o Gabrielu. A ja co robię? Rozmawiam o nim z moją „drugą dziewczyną”.

- Słuchaczami. - Gniew Alondry osłabł.

Kiwnąłem głową.

- Niezłe wariactwo, co? Być zazdrosna o zgraję anonimowych ludzi.

- Och, sam nie wiem. Niektóre z nich, sądząc po głosie, mogą być całkiem niezłe.

Alondra się zaśmiała.

- Chodź tu.

Podeszła do mnie. Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie.

- Wiesz, co jest wariactwem? - powiedziałem łagodnie. - To, że możesz myśleć, że jest ktoś ważniejszy od ciebie.

Rozpłynęła się w moich ramionach i razem osunęliśmy się na łóżko.

Jeszcze zanim dostaliśmy pierwsze wyniki popularności, podpisaliśmy bezterminową umowę. Stacja umieściła nas w droгим mieszkaniu bez duszy, a reklamy naszej audycji zaczęły się pojawiać na billboardach,

w kolorowych magazynach i na bokach autobusów. Przez jakiś czas wszystko było jasne, lśniące i normalne. Ale wiedziałem, że to długo nie potrwa.

Nie potrwało.

## 17

TELEFON 1288, GODZ. 00.22

MUZYKA SANDY

**T**o ja? Lecę na żywo?

- Tak, dzwoniąca, jesteś na antenie.

- O Boże, tak się denerwuję. Nie wiedziałam, że tak się będę denerwować.

- Jak się nazywasz, dzwoniąca, i skąd jesteś?

- Na imię mam Sandy i jestem z Amarillo.

- W porządku, Sandy, dokąd nas dziś zabierzesz?

- Nigdy nikomu tego nie opowiadałam, bo bałam się, że ludzie będą mnie brać za wariatkę. Ale tak słuchałam innych dzwoniących... no i... Po prostu muszę to komuś opowiedzieć.

- Od tego tu jesteście.

- Och, tak się denerwuję. Naprawdę jestem na antenie?

- Odetchnij głęboko, Sandy, i opowiedz, co się stało.

- Dobrze... dobrze... No, to się zdarzyło, kiedy byłam w liceum. W parę osób poszliśmy na imprezę. Nic rozbuchanego, zabawa dla dzieciaków. Ale skończyła się bardzo późno. Kiedy wracaliśmy do domu, musiała być pierwsza, druga w nocy. Jechaliśmy samochodem w cztery osoby. Ja i mój chłopak Jake, moja najlepsza przyjaciółka Tawnie i jej chłopak Carson. Impreza była, no, w takiej dziwnej części miasta. Żadne z nas nie znało dobrze okolicy i wracając do domu, zgubiliśmy się. I to nie tak po prostu. To było bardzo dziwne. Trafiliśmy do takiej wielkiej dzielnicy pełnej budynków przemysłowych. Wiesz, magazynów i tak dalej. I tak jakbyśmy nie mogli się stamtąd wydostać. Czy, tak jakby, ten kompleks ciągnął się w nieskończoność. Nieważne jak długo jechaliśmy

czy gdzie skręcaliśmy, cały czas jechaliśmy takimi pustymi ulicami, obok wielkich, pustych budynków. Wyglądały dziwnie, przerażająco. Zupełnie inaczej niż wszystkie budynki, jakie widziałam wcześniej. Strach nas obleciał. Jake i Carson próbowali żartować, ale poznałam po ich głosach, że się boją. Wiesz, o co mi chodzi, jak to brzmi, zwłaszcza u chłopaków w tym wieku?

- Wiem, Sandy. I co było potem?

- Chyba Tawnie usłyszała pierwsza. A może ja? Nie, na pewno Tawnie. Bo spytała „Sandy, słyszysz?” Te słowa, to jak zapytała, pamiętam, jakby to było wczoraj.

- Co to było?

- No, na początku nie potrafiłam powiedzieć. Ale jak zaczęłam słuchać uważniej, też usłyszałam.

- Co usłyszałaś?

- Wiesz, jaką melodię gra furgonetka lodziarza? Nie chodzi mi o samą piosenkę, tylko o to, jak ta muzyka brzmi. Nie wiem, jak to się nazywa. Ale wiesz, o co mi chodzi?

- Aha.

- No, to było tak jakby to. Ale smutne. Chyba nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak smutnego. Chciałam płakać i krzyczeć jednocześnie. Chciałam uciekać i uciekać, i nie oglądać się za siebie. Tawnie przyjęła to jeszcze gorzej niż ja, wrzeszczała, że chce wysiąść z samochodu, że musi wysiąść z samochodu. Ale to było bez sensu, co by zrobiła? Zgubiliśmy się. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie jesteśmy. Dlatego siedzieliśmy w środku, bez słowa, przerażeni, i jechaliśmy, i jechaliśmy, a muzyka grała, a Tawnie wrzeszczała, że chce wysiąść z samochodu. Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy w końcu znaleźliśmy drogę i pojechaliśmy do domu, wstawało już słońce. Kiedy kładłam się do łóżka, znów usłyszałam tę muzykę. Przelotnie, może dziesięć... ee... dwadzieścia sekund. Jakby chciała mnie dosięgnąć po raz ostatni. Jakby próbowała mi powiedzieć dobranoc.

- Niezła historia, Sandy.

- Zaczekaj, to nie koniec.

- Zbliżamy się do przerwy, Sandy. Masz trzydzieści sekund.

- Dobra, później latami próbowałam znaleźć tę część miasta, te magazyny czy co to było, i nigdy mi się nie udało. Po prostu ich nie było.

- Widmowe kompleksy przemysłowe i najsmutniejsza muzyka, jaką słyszeliście. Tu *Radio duchów* na żywo, do piątej rano. A jeśli chcecie do

nas dołączyć, po przerwie podam numer, pod który możecie dzwonić.

## 18

### WIĘZIENIE KONWENANSÓW

Piszę te słowa atramentem w zeszytcie w linię. Nic nie wykreślam. Do niczego nie wracam.

Po prostu jeden wielki rzyg prawdy.

Ale od czego mam zacząć?

Nie lubię o sobie opowiadać. Nie lubię nawet o sobie myśleć. Ale czasami trzeba pogrzebać w ogródku swojej przeszłości, przekopać ziemię, gdzie są robaki i chwasty - szukając głównego korzenia.

Wydaje mi się, że korzeń mojego życia i wszystkich jego problemów zakiełkował, kiedy mój ojciec postanowił ożenić się z moją matką.

Pochodził z rodziny rządzonej towarzyskimi konwenansami i pozorami. Rodziny, dla której mniej ważne było, co robiłeś, niż jak to robiłeś. Mój ojciec nienawidził tego podejścia. A żeniąc się z moją matką, dał temu wyraz. Rodzina wyparła się go, a jego ojciec wykreślił syna z testamentu.

Dla jego rodziny moja matka nigdy nie mogła być niczym więcej niż pomocą domową. Nikim. Niczym. Z takimi kobietami po prostu się „nie zadawało”.

Mieli na oku kogoś innego. Nazywała się Marlene Koenig. Była wszystkim, na czym im zależało. Kulturalna, bystra, dobrze wychowana, mająca nawet jakieś niejasne związki z brytyjską arystokracją. Dla rodziny taty - cud!

Byłaby „odpowiednią żoną”. Pannie Koenig też się ten pomysł podobał. Tata wyróżniał się z parady ulizanych pretendentów, którzy odwiedzali mieszkanie jej rodziców przy Piątej Alei; wszyscy ci „Bradleyowie” i „Carltonowie” jawili się pannie Koenig co najwyżej jako „mili” albo „uroczy”. Tata - co innego: naukowiec z ciągotami do bohemy. A jedno i drugie napępniało pannę Koenig czymś, co w wydaniu skromnej debiutantki było pożądaniem.



Ojciec poważnie zastanawiał się nad takim rozwiązaniem. Upodobanie panny Koenig do rozmowy przysłużyłoby mu się w trudnej wspinaczce po akademickich szczeblach kariery. Stała za nią także rodzina przemysłowców, Spencerów. Potrzebowałby grantów do badań. Oni mogliby mu je zapewnić.

Czy ją kochał? Nie. Ale był naukowcem i uważał, że w temacie małżeństwa pragmatyzm może być przewodnikiem bardziej racjonalnym niż uczucia.

Dlatego też, wyjeżdżając na konferencję do Meksyku, był przekonany, że wróci po tygodniu i poprosi pannę Koenig o rękę.

Wrócił dziesięć lat później.

Prowadził dyskusję panelową o teorii strun na Narodowym Autonomicznym Uniwersytecie, a moja matka siedziała wśród publiczności. Poszła tam bez celu. Padało, spóźniła się na autobus. Wicie, jak to jest.

Chociaż nie była specjalistką, a prawdę mówiąc, temat nawet jej nie interesował, storpedowała panel serią tnących pytań. Zirytowała i zaintrygowała ojca. Swoim prostym rozsądkiem podarła jego prezentację na strzępy niczym papierową wycinankę, którą Meksykanie robią na Święto Zmarłych. Ojciec chciał wiedzieć, kim jest ta dziewczyna. Dogonił ją tego wieczoru w metrze i nigdy później nie opuścił jej boku.

Miłość od pierwszego wejrzenia, jak to mówią.

Nieważne.

Panna Koenig wyszła za bankiera i większą część następnych dwudziestu lat spędziła w Klinice Betty Ford.

Moi rodzice uśmiechają się za każdym razem, kiedy widzą jej nazwisko w gazetach.

I w tym bajkowym świecie pojawiłam się ja, niczym węgorz w sadzawce karpi. Nie byłam taka, jak wymarzyli sobie moi rodzice. Nie szczydzili wysiłków, bym stała się idealnym, promiennym wyrazem ich miłości.

Ale przyszło im walczyć z królową fochów, księżniczką „nie” i kochanką wściekłości w jednej osobie.

Najczęściej ignorowali moje zachowanie. Zwrócili się do wewnątrz, zatracając się w swoim idyllicznym romansie. Ich związek rzeczywiście można tak określić, obie strony wkładały w niego tyle samo dobrej woli i uczucia. I chyba też namiętności. Byłam świadkiem prawie całej tej mydlanej opery.

Mój ojciec posłał do diabła swoje dziedzictwo, ale matka też się poświęcała - rzuciła studia medyczne, żeby wyjechać do swojego szalonego Irlandczyka. On tymczasem, narzekając, że jego koledzy są pozbawieni wyobraźni i niekompetentni, zrezygnował z profesury w katedrze fizyki kwantowej na Harvardzie. Oboje żyli ze skromnych nauczycielskich pensji w Colonia Roma, modnej dzielnicy w mieście Meksyk, dopóki mój ojciec nie postanowił wracać do Stanów. Miał parę nowych pomysłów, nad którymi chciał popracować ze swoimi dawnymi kolegami, a co ważniejsze, potrzebował wsparcia finansowego, które trudno byłoby znaleźć w Meksyku sprawiającemu problemy gringo, który nie wiedział, jak wkraść się w łaski uniwersyteckich władz i nienawidził polityków oraz oportunistów.

Matka próbowała go przekonać, żeby został. Uwielbiała swoje miasto, wolała mieszkać tam niż na jakimś anonimowym amerykańskim przedmieściu. Ale raz w życiu ojciec jej nie słuchał. Był przekonany, że nadeszła pora - nie tylko z powodów zawodowych, tłumaczył, ale także, by zająć się niedokończonymi sprawami rodzinnymi - a także, by wyrazić sprzeciw wobec interwencjonizmu USA tak, by „to się liczyło”.

Wietnam.

- Tu każdy może sobie protestować przeciwko wojnie i to nie ma żadnego znaczenia. Jeśli dostanę profesurę w Stanach, nie będę tylko pracował. Będę mógł bezpośrednio wpływać na amerykańskich nauczycieli akademickich.

Matka uważała, że to pieprzenie, kolejna idealistyczna fantazja ojca; nauczyła się je znosić, ale wciąż doprowadzały ją do szału. Mimo to ustąpiła. Po kilku miesiącach spakowaliśmy trochę rzeczy, sprzedaliśmy całą resztę i wsiedliśmy na pokład samolotu do Bostonu.

To, co się zdarzyło potem, nie ma znaczenia: szkoła, studia, chłopaki z pryszczami, dziesięć milionów komiksów przeczytanych pod kołdrą, snajperzy-psychopaci, polityczna poprawność, termosy z ginem, otyłe pary trzymające się za ręce, wojny gdzieś daleko, zawodne prezerwatywy, ecstazy, The Cure, odkrycie nieposkromionego apetytu seksualnego, który prowadził do różnych dobrych, ale częściej złych rzeczy, aresztowanie czy dwa, Dostojewski i Bukowski. Wysłałam poza szarżygnę, kiedy w końcu odkryłam sposób, by połączyć moje prawdziwe zainteresowania z akademicko-zawodowym pretekstem, który je usprawiedliwiał. Po wielu latach wypierania pogodziłam się z tym, że moją prawdziwą pasją

są komiksy: czytanie ich, rysowanie, pisanie i - czemu nie? - badanie. Uświadomiłam sobie, że można je uważać za kanał ekspresji kultury popularnej, skrócone przedstawienia - o niskich kosztach i wyjątkowej dostępności - czyichś aspiracji, ideałów i obaw.

Dzieciństwo spędziłam z obsesją na punkcie komiksów, których nie pozwalano mi czytać. Każda książka mająca więcej niż pięć ilustracji budziła podejrzenia, od niewyszukanych *Przygód Kalimana* po *Myszkę Miki*, *Supermana*, *Astérikxa* i *Corto Maltese*. Bez różnicy; wszystko, co miało dymki, z miejsca było zakazane, czasem nawet wyrzucane przez okno.

- To rozrywka dla imbecyli i analfabetów - mawiał ojciec.

Te wszystkie zakazy stanowiły po części o ich atrakcyjności.

Skupiłam się na studiach i pisaniu pracy magisterskiej. Chociaż komiksy często wykorzystywano jako narzędzie propagandy, postulowałam, że można za ich pomocą przełamać także monopol informacyjny konsorcjów medialnych, ideologiczny ucisk państwa i umysłowe leniwość ludzi niezdolnych do otwarcia książki. Nie uważałam, że ludziom wystarczy tylko dział rozrywkowy w gazecie, wierzyłam jednak gorąco, że komiksy mogą być źródłem cennych wiadomości, podawanych w najprostszy sposób. O Marksie, Freudzie i Ho Szi Minie przeczytałam po raz pierwszy w komiksie meksykańskiego rysownika Riusa. Nie zachęcił mnie być może do komunizmu, ale jego prace otworzyły mój umysł na nowy kanał uczenia się.

Dobra, przynajmniej, że moja teoria nie była niczym nadzwyczajnym. Podobne rzeczy mówiły już dziesiątki innych ludzi. Wielu z nich chciało po prostu usprawiedliwić swoje niedorośle pasje. Ja chciałam pociągnąć ten temat dalej. Dlatego zaczęłam drążyć historię sztuki i szybko odkryłam na nowo meksykańskich muralistów: Diega Rivere, Siqueirosa, Orozcę i artystę José Guadalupe Posadę. Dodałam szczyptę starożytnej, prekolumbijskiej tradycji piktograficznej i stworzyłam zestaw wizualnych kryteriów ukazujących interesujący portret meksykańskiej kultury. Uzbrojona w te koncepcje wróciłam do Meksyku i skontaktowałam się z kilkoma grupami tworzącymi podziemne komiksy i ziny. Spędziłam kilka miesięcy na badaniu i dokumentowaniu ich pracy. Kiedy zebrałam dość materiałów na porządną magisterkę, współpracowałam już z magazynem „Gallito Comics”. Wprowadziłam się także do Alberta Meji, malarza, który marzył o sławie, ale zarabiał na życie rysowaniem komiksów i politycznych anegdot rysunkowych do gazety. Alberto i ja wytrzymaliśmy

ze sobą tylko tyle, ile zajęło nam zrobienie ilustracji do kilku stron. Wtedy poznałam Joaquina.

Nie pojechałam do Meksyku szukać miłości, ale nie przewidziałam, że spotkam Joaquina. Dzień, w którym się poznaliśmy, zaczął się bardzo dziwnie.

Obudziłam się rano z osobliwą wizją. Głowę wypełniały mi litery ułożone w bardzo specyficzny sposób. Zapisałam je na kartce:

W  
T  
J  
SNNBWC  
A  
W

Patrzyłam na nie. Nie kojarzyły mi się z niczym. A mimo to wydawały się ważne. Bardzo ważne. Próbowałam popracować nad komiksem, ale nie mogłam przestać myśleć o literach. Co chwila zerkałam do notatnika. Zupełnie jakby litery, w tym ułożeniu, były jakimś religijnym symbolem. Miały niezaprzeczalną, transcendentną moc. Nic takiego dotąd nie przeżyłam.

Litery nie tworzyły słów, nawet nie sugerowały dźwięków. A ich układ nic nie mówił. Wiedziałam jednak, że coś znaczą.

Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że to najważniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Zabiłabym dla tych liter. Wznosiłabym dla nich świątynie. Gdyby te litery mogły mówić, zrobiłabym wszystko, co by kazały.

Dziwactwo. Nigdy nie miałam skłonności do wzruszeń czy fanatyzmu. Moja miłość do komiksów, chociaż głęboka i mocna, nawet się do tego nie zbliżała. To było coś ogromnego.

Wzięłam prysznic, z nadzieją, że zmyję z siebie to uczucie. Ale kiedy woda chłostała moją skórę, mogłam myśleć tylko o literach. Zawładnęły mną. Miałam ochotę wyskoczyć spod prysznica, pobiec do biurka, chwycić notes i przytulić go jak dziecko. Ale zwalczyłam tę chęć i odkręciłam gorącą wodę; chciałam te dziwne chęci wyparzyć.

Powoli, kiedy para wypełniła mi nozdrza, przymus zniknął. Po południu wróciłam do pracy nad komiksem, a wieczorem zaczęli się schodzić goście na imprezę, którą ja i Alberto urządzaliśmy. O literach zapomniałam.

# 19

## POZNANIE ALONDRY

Alondra całkowicie odmieniła moje życie. Poznaliśmy się na imprezie urządzonej przez jej znajomych wydających undergroundowe komiksy. Byłem niewyspany i wcale nie miałem ochoty pójść. Za każdym razem, kiedy szedłem w takie miejsca, zadawałem sobie to samo pytanie: po co? Zazwyczaj wracałem do domu z tą samą odpowiedzią: następnym razem nie warto. Znajomi, których nie widziałem od miesięcy, witali mnie z den butelek i niedopałków skrętów. Oglądałem atrakcyjne kobiety uwieszone na totalnych palantach, odpędzałem głód, jedząc czipsy i piłem bimber tak paskudny, że czułem, jak koroduje mi wątroba, zanim jeszcze spłynął do żołądka.

Tamtego wieczoru znalazłem sobie krzesło w kącie kuchni, obok rysownika, który rysował i pisał komiks o Zombo superbohaterze. Udawałem, że mnie to interesuje.

- Zombo jest jak klasyczny superbohater, ma swoje słabości, lęki i problemy. Wiesz, jak u Stana Lee - opowiadał.

- Jakie ma moce? - spytałem.

- No, jest nieśmiertelny, bo już nie żyje. Mieszka w grobie i wychodzi tylko nocą. Broni demokracji i chroni swoją dziewczynę.

- Czemu Zombo miałaby obchodzić demokracja?

- Bo jest współczesnym świadomym obywatelem.

- Aha, jasne - odparłem, powstrzymując śmiech.

Podeszła do nas kobieta ubrana od stóp do głów w czerń, z wydatnymi ustami umalowanymi szminką w tym samym kolorze.

- Co słyhać u Zombo? - spytała z uśmiechem. Miała dziwny „lekki” akcent, którego nie umiałem umiejscowić.

- Broni świat przed niesprawiedliwością.

- I demokrację przed jej wrogami? - Rzuciła mi spojrzenie, jakby porozumiewawcze.

- Poznałaś już Joaquina? Jest disc jockeyem.

- Disc jockeyem? - powtórzyła, mierząc mnie wzrokiem.

Pozostawiłem pytanie bez odpowiedzi. Nie lubiłem rozmawiać o swojej pracy.

- Znałam kiedyś DJ-a. Rzucił się pod pociąg.

Nie wiedziałem, jak mam traktować tę uwagę. Wrogość? Kpina? Z braku riposty, spytałem, jak ma na imię.

- Alondra. - Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Też jesteś ekspertem od zombich? - Chciałem błysnąć dowcipem.

- Jestem ekspertem od wielu rzeczy. Ale zombi nie należą do moich ulubionych.

Twórca Zombo sapnął, słysząc sarkazm Alondry, i posmutniał. Wykorzystałem moment.

- Szczerze mówiąc, moim zdaniem największy problem z Zombo polega na tym, że ma głupie imię - zaryzykowałem.

Rysownik popatrzył na mnie, zmieszany, usiłował pohamować gniew; w przeciwnym razie wyszedłby na tego, kim naprawdę był: śmiesznym, obraźliwym rysownikiem komiksów. Zaśmiał się wymuszenie.

- Miało być głupie - bronił się desperacko.

- Imię to najmniejsze z jego zmartwień. Uwierz mi. Czytałam większość jego przygód - powiedziała Alondra, przysuwając się do mnie.

- No, robię postępy.

- Postępujący rozkład? Ale w przypadku zombie to może i dobrze.

Rysownik był załamany; wstał i poszedł sobie, zgarbiony.

W Alondrze już mi się wszystko podobało: jej twarz, czarna suknia wykończona staroświecką czarną koronką, włosy, dłonie; akcent, który brzmiał jak żywcem wyjęty ze starej kreskówki o Supermanie.

- No to czym się zajmujesz? - spytałem.

- Zgadnij. - W jej oczach zatańczyła sugestia figlarności.

- Cóż, ubierasz się, jakbyś grała w gotyckiej kapeli, co znaczy, że nie grasz.

- Dobrze.

- Jesteś za bardzo sarkastyczna jak na aktorkę.

- O wiele za bardzo.

- Zbyt niezależna, żeby przyjść tu uwieszona na czyimś ramieniu.

- Tak, ramiona mam wolne.

- A ponieważ to impreza dla ludzi od undergroundowych komiksów, musisz być jedną z nich.

- Niezła dedukcja, Sherlocku.

Ukloniłem się dwornie.

- Chyba zdradziła mnie lista gości.

Kiwnąłem głową.

- A co byś zgadł bez tego?

- Seryjna morderczyni? - wykrztusiłem.

Zaśmiała się, zrzucając jedną z warstw pancerza. Rozmowa zrobiła się swobodniejsza.

Rozmawialiśmy o komiksach i hip-hopie, o polityce i jedzeniu, o stronach internetowych i przestępczości w mieście Meksyk. Alondra opowiedziała mi trochę o trajektorii, po której trafiła do Dystryktu Federalnego.

- Jesteś głodny? - zainteresowała się.

- Już nie. Torebka zjełczałego czegoś, co tu znalazłem, odebrała mi apetyt.

- Chodźmy zjeść coś konkretnego.

Ruszyła do drzwi, a ja poszedłem za nią. Kiedy przekraczaliśmy próg, podszedł do nas Alberto.

- Dokąd idziesz? - spytał Alondrę.

- Na kolację z moim przyjacielem Joaquinem.

Znałem Alberta od jakiegoś czasu. Zaprosiłem go nawet do swojego programu, kiedy jeszcze trzymałem się konwencjonalnego modelu radia. Był zdenerwowany, aletrzymał nerwy na wodzy. Z trudem.

Obsesowość Alondry, choć odświeżająca, wydała mi się wtedy trochę okrutna. Mimowolnie wczuwałem się w sytuację biednego Alberta. Byłem „tym drugim”.

- Mam iść z wami? - Głos mu zadrział.

- Powinieneś zostać z gośćmi - odpowiedziała Alondra takim tonem, że zabrzmiało to jak „spadaj”.

- Kiedy wracasz?

- Nie wiem. W końcu będę musiała wrócić, są tu moje rzeczy. Nie czekaj.

Pożegnałem się, ale Alberto nie odpowiedział. Wyszliśmy w milczeniu, nie odzywając się, dopóki nie wsiedliśmy do mojego samochodu.

- O co chodziło? Byłaś dla niego trochę niemila.

- Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Dokąd jedziemy?

Zabrałem ją na tacos do Charco de las Ranas. Rozmowa się nie kleiła, prawdę mówiąc, z mojej winy; cały czas czekałem na wytłumaczenie. Udawałem zainteresowanie, ale nie mogłem się skupić na tym, co Alondra mi opowiadała o popularnych mitach oraz tradycjach Papui, i w końcu jej przerwałem:

- Wydawało mi się, że z Albert czuł się urażony. Domyślasz się, w czym rzecz? Zachowywał się, jakby był zazdrosny.

- No, chyba tak.

- Ma jakiś powód?

- Ludzie mają mnóstwo powodów do głupich zachowań.

- Może zareagował tak dlatego, że byłaś dość długo z nim i jego kolegami. Zżyliście się, a może czuje do ciebie coś więcej niż przywiązanie. Mógł być rozczarowany, że wyszłaś w środku jego imprezy. — Dobierałem słowa bardzo ostrożnie, żeby nie zabrzmiały jak oskarżenie.

- Może.

- Ale ty tak nie sądzisz.

Pokręciła głową.

- O co według ciebie poszło? - napierałem.

- Pieprzyłam się z nim kilka razy - odparła, wgrzyzając się w tacy z wołowiną.

Prawie udławiłem się szklanką horchaty.

- Słucham?

- Myślałam, że wiesz. Ale nie przejmuj się, to bez znaczenia.

- Tam skąd pochodzę, za zrobienie czegoś takiego drugiemu mężczyźnie można zapłacić życiem - powiedziałem, chociaż wątpiłem, żeby do tego doszło między Albertem i mną.

- Nie dramatyzuj. Tak to bywa. Mieszkam u niego. Znudziłam się. Zdarza się.

- Ale mimo wszystko...

- Nikogo nie zdradzam, Joaquin. Jedz swoje tacos.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć tej kobiecie, która z każdą chwilą wydawała mi się coraz bardziej atrakcyjna, fascynująca i niebezpieczna.

W tym momencie Alondra zmieniła temat, dając do zrozumienia, że nie ma już ochoty rozmawiać o Albercie. A ja, przynajmniej, byłem za to wdzięczny. Skończyliśmy jeść; po drodze do samochodu spytała, dokąd chcę jechać. Zaproponowałem bar, ona się zgodziła, więc postanowiłem zabrać ją do dziury w ścianie przy Medellin Avenue: zrujnowanego warsztatu samochodowego, gdzie muzycy, artyści, gangsterzy, politycy i inne szumowiny przychodziły pić i tańczyć do rana. Panował ogłuszający jazgot, ale klimat to wynagradzał: Alondra wyglądała na zadowoloną.



W klubie było gorąco, więc zdjąłem marynarkę, którą cały wieczór miałem na sobie. Alondra zobaczyła moje przedramię. Mam tam dziwny tatuaż, który często ludzi dziwi, ale nic nie mogło mnie przygotować na reakcję Alondry.

Złapała mnie za rękę i zaciągnęła w kąt klubu, gdzie było lepsze światło. Przyjrzała się tatuażowi; miała dziwny wyraz twarzy, jakby czegoś się przestraszyła.

- Nie podoba ci się? - spytałem słabo.

- Co to znaczy? - wyjąkała; wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami, usta jej drżały.

- Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że nie wiem?

- Jak to możliwe?

- Kiedyś sporo balowałem. Po jednej z takich przebalowanych nocy obudziłem się i miałem to na rękę.

Spojrzała mi głęboko w oczy. Minęła chwila, która zdawała się trwać wieczność.

- Wierzysz w jasnovidzenie?

- Nie wiem, może.

- Ja nie wierzyłam. Ale już wierzę. - Pocałowała mnie w policzek.

Wszystko to z powodu mojego głupiego tatuażu? Spojrzałem na niego, zastanawiając się, co on może dla tej dziewczyny znaczyć. Dla mnie nie znaczył nic, był po prostu dziwnym zbiorem liter:

W  
T  
J  
SNNBW  
C  
A  
W

Wyszliśmy o czwartej nad ranem. Nie musiałem mówić ani słowa.

Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do kampusu Uniwersytetu Narodowego, tam czekaliśmy na wschód słońca, opowiadając sobie nawzajem swoje sny i koszmary.

O ósmej rano zawiozłem ją z powrotem; przez tyle godzin, kiedy byliśmy razem, tylko rozmawialiśmy. No, dostałem całusa w policzek. Wątpię, czy tamtej nocy Alberto spał.

W następnych dniach spotkaliśmy się parę razy. Odwiedziliśmy wszystkie mało znane miejsca w mieście, które ją interesowały: świątynie i ruiny, stare kantyny i zapuszczone sklepiki.

Drugie wspólne popołudnie spędziliśmy w moim łóżku, a potem znajdowaliśmy tanie hotele i motele w różnych częściach miasta. Mogliśmy iść do mnie, ale hotele znajdowały się akurat na liście miejskich atrakcji, które Alondra chciała zwiedzić.

Każdego dnia przekonywałem ją, żeby wyprowadziła się od Alberta i zamieszkała u mnie. Czulem się, jakbyśmy zamienili się miejscami; kiedy nie była ze mną, to ja cierpiałem katusze i przeżywałem koszmary, że on i ona są gdzieś razem. Alondra wciąż sypiała u Alberta, a chociaż wierzyłem, że nic ich nie łączy, dręczył mnie niepokój. Powiedziała mi, że wygodnie jej u niego mieszkać, bo pracują razem nad komiksem. W końcu jednak zmęczyła ją namolność Alberta.

Któregoś ranka, kiedy wróciliśmy z wycieczki, pojawiła się u mnie z dwiema walizkami. Wzięliśmy razem szybki prysznic. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, lecz głosik w głowie cały czas powtarzał: „Uważaj”. W naszym związku nikt nikogo nie osądzał ani do niczego nie zobowiązywał. Wmawiałem sobie, że jestem zadowolony, ale tak naprawdę chciałem czegoś więcej. Moja nocna praca była cudownie wygodna dla nas obojga; Alondra pozostała aktywna na scenie komiksowego undergroundu, gdzie tworzyła, redagowała i wydawała.

Opowiedziałem jej ogólnie o mojej pracy, o swoim programie i niespodziewanym zakręcie, w jaki wszedł. To, że zostałem prowadzącym, stało się za sprawą moich nocnych słuchaczy, którzy dostarczali mi materiału, omawianego później całą noc. Ufałem już wtedy Alondrze na tyle, by jej opowiadać, jak czasami historie słuchaczy rezonowały dziwnie z moim życiem osobistym; że nie wierzyłem, iż obecny kurs programu to czysty zbieg okoliczności.

Wiem, że na początku Alondra uznała, że mi odbiło, czy raczej, że wymyślam makabryczne historyjki, by przypodobać się tej małej gotyckiej nekrofilce, którą noszą w sobie wszystkie kobiety. Jednak jej gusta estetyczne nie przekładały się na zainteresowanie historiami o duchach czy nadnaturalnych fenomenach. Jeśli chodzi o mnie, przekonywanie kogokolwiek o ważności czy prawdziwości opowieści, które słyszałem każdego dnia, nie było moim celem. Nie wydawało mi się istotne, czy to, co opowiadali mi dzwoniący, to prawda; nie zależało mi na wyszukiwaniu racjonalnych wytłumaczeń czy rozbieraniu ich błędów percepcji

i oceny. Interesowały mnie zmartwienia, obawy i ambicje, które te opowieści ucieleśniały. Czasami były opowieściami natury czysto społecznej czy ekonomicznej; z innych bił w oczy kompleks Edypa. Oczywiście nauczyłem się odsiewać żartownisiów, każdej nocy dzwoniło też kilka chorych osób, które wstrzykiwały w program swoje obłądy. Bywało to interesujące, ale częściej męczyło.

Jednak prawdziwe problemy, z którymi się borykałem, to moje osobiste; nie mogłem ich zidentyfikować dlatego, że nie rozumiałem ich na tyle, by je nazwać. Być może zabrzmiało to pretensjonalnie, ale zawsze igrałem ze śmiercią.

## 20

### WYTATUOWANA

Można by pomyśleć, że zbieg okoliczności z tym tatuażem mnie spłoszy. Nigdy nie byłam wielką fanką losu. A to wyglądało na los. Nie, raczej na przeznaczenie. Ale nie wiedzieć czemu, nie bałam się.

Joaquin sprawiał wrażenie inteligentnego, wyluzowanego i niekonwencjonalnego; zawsze pociągało mnie takie połączenie. Do tego dochodziła kwestia przeznaczenia, dzięki której wydawał się także niebezpieczny. Żadna kobieta, jakikolwiek kit by wam wciskali, nie zdoła się komuś takiemu oprzeć. Ale mimo wszystko nie przewidywałam długiego związku. Chciałam kontynuować podróże po Meksyku i wołałam to robić sama. Nie zamierzałam zabierać nikogo ze sobą i nie zamierzałam zmieniać planów. Z całą pewnością nie zależało mi na zobowiązaniach czy czymkolwiek, co odciągałoby mnie od moich celów. Dlatego, kiedy powiedziałam Joaquinowi, że jadę do Oaxaca, żeby zobaczyć Monte Alban, Mitlę i Zaachilę, przeprowadzić wywiad z artystą Franciskiem Toledą i może popracować w jego pracowni, byłam kąśliwa, może nawet nieprzyjemna. Joaquin z początku jakby zrozumiał. Ale jego milczenie nie trwało długo. Do tej pory sama nie wiem, jak to zrobił, ale przekonał mnie, że możemy podróżować razem, nie wchodząc sobie w drogę, z założeniem, że w każdej chwili mogę go rzucić bez żadnych tłumaczeń i nie będzie

dramatycznych scen. Ostatecznie nasza podróż sięgnęła o wiele dalej niż do Oaxaca. Pojechaliśmy do Chiapas, przez granicę do Gwatemali i Belize, a potem z powrotem do Meksyku przez Quintana Roo. Po kilku dniach w Meridzie pojechaliśmy do Campeche, a w końcu do Veracruz.

Joaquin odpoczywał od swojej audycji, która właśnie zdobyła jakąś nagrodę i niespodziewanie zaczęła zyskiwać popularność, w sieci i w eterze. Nie ukrywałam, że jego program uważam za absurdalnie staroświecki. Rzeczywiście byli jeszcze tacy, których kręciły opowieści o duchach? Zwłaszcza w epoce tak skupionej na wizji, spektaklu, efektach specjalnych, wydawało się niedorzeczne, że są ludzie mający cierpliwość, żeby tego słuchać i - sama nie wiem - dopatrywać się w tych bzdurach jakiegoś sensu.

Oczywiście, akurat ja, zajmując się komiksami, nie powinnam się czepiać. Ale komiksy, choć też beznadziejnie staromodne, miały wdzięk, a radio było po prostu czerstwe. Tak mi się wydawało.

Myliliam się, co do Joaquina i jego programu. Podczas podróży towarzystwo tego faceta sprawiało mi przyjemność; spełniłam wszystkie swoje cele badawcze, odkryłam wiele aspektów Meksyku, o których nigdy nie wiedziałam. Odkryłam też, że polubiłam najdziwniejsze nawyki Joaquina.

Dziwny sposób, w jaki kaszlał, kiedy się zdenerwował. Żelazny upór, z jakim argumentował po pijanemu. Podałam się nawet temu jego rozmemlanemu spojrzeniu, jakim na mnie patrzył. Kiedy go przy mnie nie było, tęskniłam. Tak, zakochałam się. Całkowicie i bez reszty. Choć trochę mnie to złościło.

Kiedy wróciliśmy, nawet przez chwilę się nie zastanawiałam, czy pora się do niego wprowadzić, czy może nie. Skoczyłam na główkę. Powrót do jego mieszkania na stałe był dla mnie najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.

Podczas podróży dużo rozmawialiśmy o jego programie. Opowiedział mi, jak audycja ewoluowała i się zmieniała.

- Ale czemu ludzie chcą słuchać w kółko opowieści o duchach? - spytałam.

- Masz wspaniałe oczy - odparł. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem tego. Wszystkie są takie same. - Jak oczy tygrysa.

- Można by pomyśleć, że im się to w końcu znudzi.

- Lśniące w dżungli.

- Usiłuję porozmawiać o twoim programie.

- Mój temat jest o wiele bardziej interesujący - powiedział, figlarnie unosząc brwi.

Godzinę później, kiedy nasze ubrania leżały rozwłócone po podłodze, zmusiłam go do rozmowy o programie.

- Mamy podobne zainteresowania. To, czego ty szukasz w komiksach, nie różni się tak bardzo od tego, co ja staram się zrobić w radiu. Jedno i drugie to przykład kuszącej prostoty. A skoro mowa o kuszeniu, wydaje mi się...

- Przestań, naprawdę chcę usłyszeć, co o tym myślisz.

- Dobrze. To co robię, uważam za rodzaj spowiedzi czy, jeśli wolisz, metaforę mniej religijną, kozetki psychoanalityka. Ludzie dzwonią, żeby opowiedzieć o swoich lękach i fobiach, o rzeczach, które sobie wyobrazili albo które naprawdę im się przydarzyły, rzeczach, które chcieliby, żeby się wydarzyły. Jeśli historia jest dobra, wszyscy są zadowoleni. Jeśli nie, przynajmniej dzwoniący się wygada. A nasi słuchacze czekają na ten element zaskoczenia, siłę spontaniczności; na niespodziewane; na nieograniczone możliwości, które dają im sekrety innych ludzi.

- Może cię rozczaruję, ale to przypomina logikę Oprah i doktora Phila, podobnie tłumaczą swoje denne talk showy. O to ci chodziło? - Chciałam go tylko sprowokować, ale byłam też naprawdę ciekawa.

- Och, zaraz będziemy się kłócić. Proponuję, żebyśmy to rozstrzygnęli zapasami.

- Joaquin.

- Wygrywają najlepsze dwa z trzech upadków.

- Odpowiedz mi na pytanie.

- Oczywiście przegrany też wygrywa. - Rozbrajał mnie tym swoim rozmemłanym spojrzeniem.

- Co powiesz na zapasy słowne?

- Moje są chyba ciekawsze.

Wstałam z podłogi i ubrałam się.

- Proszę, ubiera się.

- Możesz mi to wyperswadować.

Uśmiechnął się.

- Dobra, odpowiem ci na pytanie - zgodził się, śmiejąc. - O co pytałaś?

Kilka dni i orgazmów później w końcu wydobyłam z niego odpowiedź.

- Pozwalam po prostu ludziom wygadać się, świetnie, jeśli dzięki temu mogą rozwiązać jakieś swoje problemy. Ale wydaje mi się, że jestem jak publiczność, lubię ich słuchać.

- Mówiłeś, że czasami słuchacze wszystko psują, tak dla sportu, że niedowierzają, wyśmiewają, nawet obrażają tych, którzy dzielą się swoimi najgłębszymi sekretami i obawami. Jak możesz oczekiwać, że rozwiążesz jakiś konflikt w takim gąszczu wrogości?

- Nie oczekuję, to zależy od samych dzwoniących. Większość słuchaczy wie, w co się pakują. Ja mogę najwyżej apelować o zachowanie kultury, o pewien poziom szacunku i postarać się filtrować co wredniejsze telefony. Ostatecznie, jeśli dojdzie do konfrontacji, to też należy do programu. Wątpię, czy ktokolwiek jest tak naiwny, żeby opowiedzieć swoją historię na antenie i nie spodziewać się jakiejś krytyki.

Wypytywałam Joaquina agresywnie przez kilka dni, między wybuchami równie agresywnej namiętności. Nie chciałam go przekonywać, że jego program jest niemoralny, że nadużywa ludzkiego zaufania czy że jest banalny, nie kwestionowałam też tak naprawdę jego przekonań. Pchała mnie ciekawość, a Joaquín rozbrajał mnie prostą logiką i całkowitą szczerością. I tym swoim cholernym rozmemłanym spojrzeniem. Wszystko to miał w głowie poukładane, a to, że otarł się o śmierć, wzmocniło tylko jego determinację. Nawet jeśli często podchodził sceptycznie do zasłyszanych historii, czuł szacunek dla dzwoniących.

- To, czy ja im wierzę, czy nie, jest bez znaczenia - powtarzał.

W naszych rozmowach nigdy nie przepuścił okazji, żeby wykazać paralele między swoją pracą a podziemnymi komiksami, które były moją obsesją. Obie formy mediów otwierały nowe kanały ekspresji, a każda mówiła własnym językiem, dialektem jednocześnie popularnym, spontanicznym, żywym i surowym. Obie były bezczelnymi profanacjami tradycyjnych gatunków, obie potrafiły być prowokujące i obie używały szoku jako środka komunikacji.

Pomalutku, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, osiadłam w Meksyku na stałe. Wcześniej dużo podróżowałam, ale to był pierwszy raz, kiedy wybrałam dom z własnej woli, nie dlatego, że mi go narzucono czy że tak dyktowały względy praktyczne. Po kilku rozmowach zatrudniono mnie na wydziale nauk politycznych prywatnej uczelni. Stanowisko nie łączyło się z prestiżem i niewiele płacili, ale to nie miało znaczenia. Wciąż pracowałam z kilkoma rysownikami, także z Albertem. Mój były

kochanek uważał, że zasługuje na pewne przywileje, co mnie irytowało, a Joaquina doprowadzało do szału.

Nienawidzę zazdrości. Nigdy jej nie rozumiałam. Ale u Joaquina nawet zazdrość wydawała się urocza. Jego spojrzenie nabrało nowego odcienia rozmemłania.

Miłość i jej czary.

Tak, kochaliśmy się. Ale jak o tym opowiadać? Żeby piękna nie zabić banałem?

W mówieniu czy pisaniu o miłości jest coś nieprzyzwoitego. Coś deprecjonującego. A to uczucie, którego nikt z nas nie rozumie, nawet jeśli wydaje się nam inaczej.

Jeśli w chwili intymności ktoś mnie zapyta, czy go kocham, czuję się przytłoczona; wstydę się, jakbym publicznie dyskutowała o swoich najbardziej skrytych uczuciach z audytorium obcych ludzi.

Obiecałam sobie, że spróbuję. Tu. W tym zeszycie. Ale wciąż nie potrafię. Dlatego wróć do faktów.

Ale moment; jest chyba słowo, które oddaje moje uczucia do Joaquina.

Wytatuowana.

Zostałam przyciągnięta przez tatuaż, a potem wytatuowana przez miłość.

Dobra, wystarczy; jeśli napiszę o tym coś więcej, skręcimy ostro w banały. Wracajmy do faktów, zawsze lepiej mi szło z faktami.

Nasza codzienność była zwyczajna. Joaquin wracał z radia o świcie. Prawie zawsze mnie budził i byliśmy razem. W każdym znaczeniu tego słowa. Po godzinie czy więcej jedliśmy śniadanie i spaliśmy do południa. Potem jechałam na uczelnię, a kiedy wracałam, byliśmy razem, dopóki o dziesiątej Joaquin nie wychodził do radia. Później siadałam do pracy nad swoimi projektami, spotykałam się ze znajomymi i robiłam inne rzeczy, których wymagało moje życie.

Byliśmy idealnie zsynchronizowani, ale któregoś dnia Joaquin zaproponował zmianę: chciał, żebym pracowała z nim w programie. Uznałam, że to wyjątkowo kiepski pomysł. Mieliśmy coś dobrego; po co to psuć?

- Jesteś mi potrzebna - powiedział. - Mogłabyś wnieść do programu bardzo dużo. Nie chodzi o spędzanie razem czasu. Twoja wiedza i sceptycyzm, twoja perspektywa i poczucie humoru bardzo by program wzbogaciły. Dzieją się niewiarygodne rzeczy; mamy coraz większe zainteresowanie, więcej sponsorów, więcej pieniędzy.

- Nie psujmy tego, co mamy.

Byłam pewna, że mnie nigdy nie przekona; podkreśliłam głośność *Deadship, darkship* Sorry About Dresden.

Oczy grożą, że otworzą się dziś wieczorem szeroko (po raz pierwszy) Próbuję je zakryć poduszką.

Zmierch, zmyślony i znienawidzony

Tak jasny, jak odłamki krwi, rdzy i światła.

Męczyliśmy ten temat w tę i z powrotem. Im bardziej Joaquin nalegał, tym bardziej ja się opierałam. Któregoś wieczoru, gdy on wciąż obstawał przy swoim, posunęłam się do okrucieństwa.

- Jesteś po prostu zazdrosny, że mam jakieś życie, do którego nie masz wstępu.

Wybiegłam z mieszkania.

Ale to wszystko była poza. Wcześniej tego dnia postanowiłam się zgodzić. Chciałam tylko, żeby Joaquin trochę pocierpiał.

Z początku uważałam, że *Radio duchów* będzie ciekawym doświadczeniem, oddechem od mojej pracy nad komiksami. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, co się stało z Joaquinem, co się z nim wciąż działo. Dla mnie jego program był tylko pracą. Wkrótce odkryłam, że dla niego znać był duży więcej.

## W

TELEFON 2305, PIĄTEK, GODZ. 01.35 ŻOŁNIERZ

Głos kobiety był delikatny i cichy. Ale mnie się podobał. Nie chciałem jej prosić, żeby mówiła głośniej. Dlatego kazałem Wattowi podbić głośność, mając nadzieję, że zachowam w ten sposób koronkowe brzmienie jej samogłosek.

Mój Ramón nie chciał jechać do Iraku. Powtarzał bez przerwy: ci ludzie nic mi nie zrobili, ani mojej rodzinie, ani nikomu, kogo znam, nie chcę ich zabijać.



No ale posłali go i tak, a on nie mógł na to nic poradzić.

W nocy siedemnastego kwietnia obudziłam się z krzykiem. Mąż spał, wymamrotał tylko:

- Wszystko w porządku, śpij.

Ale ja byłam za bardzo zdenerwowana. Poszłam do pokoju Ramona, a on tam był, jakby na coś czekał.

- Synu, co tu robisz? - spytałam. Wyobraziałam sobie najgorsze.

- Wpadłem powiedzieć cześć, bo strasznie się za tobą stęskniłem, mamu.

Głos miał spokojny. Wyczuwałam, że nie chce mnie przestraszyć.

- Nie opowiadaj. Mów prawdę. Skąd się tu wziąłeś?

- Och, mamu. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Nie drażnij się ze mną- powiedziałam. - Przyniosłeś mi złe wiadomości. Ludzie nie pojawiają się ot, tak z powietrza.

- Jeśli nie przestaniesz, mamu, to sobie pójdę.

- Nie idź, powiedz mi tylko prawdę.

- Nie, mamu. Jesteś za bardzo podejrzliwa, lepiej już wróć.

Wtedy usłyszałam jakiś głośny hałas z kuchni. Obejrzałam się, żeby zobaczyć co to, a kiedy znów się odwróciłam, mojego syna już nie było. Zniknął. Rzuciłam się na jego łóżko i resztę nocy przeplakałam. Następnego ranka mąż spytał, co mi się stało. Widział, że byłam całą noc w pokoju Ramona, a oczy miałam spuchnięte od płaczu. Zaczęłam mu opowiadać, co widziałam, ale powiedziałam może z dziesięć słów, kiedy zastukali do drzwi. To byli dwaj oficerowie, w wyjściowych mundurach, bardzo poważni.

## 22

### NAWYK I ZMIANA

Cała ta gotycka stylizacja nudzi mnie, aż chce mi się płakać - powiedziałam mu.

Nie miałam ochoty mówić nic więcej. Moja czarna szminka dodawała należytej ironii.

Stworzenie tego stylu było moim wielkim sukcesem. Ale to lata temu. Utrzymywałam go raczej z nawyku niż czegokolwiek innego. Stał się moim uniformem.

Czasami myślę sobie, że będę nosić czarne ubrania, glany i gorset do późnej starości. Czasami myślę sobie, że jutro wywalę je do śmieci.

Nuda, o której mówiłam, brała się z tego, że dla wielu gotów to nie są tylko ubrania. To ideologia, nastawienie, miejskie pogaństwo, drugorzędny kult szatana i tak dalej.

Dyskusja zaczęła się pewnego popołudnia, kiedy Joaquin przerwał to, co akurat robił, popatrzył na mnie urzeczony i spróbował wyjaśnić, dlaczego tak bardzo podoba mu się mój styl.

Opowiedział mi, co znaczy dla niego każdy element mojej odzieży, jej wiktoriańska spuścizna i sadomasochistyczne konotacje. Rozwodził się nad kontrastem delikatnej kobiecej koronki z twardymi wojskowymi akcesoriami; zmysłowym ciepłem i zimnym, pogrzebowym wyglądem; plisowanymi spódniczkami mini dziewczynki z katolickiej szkoły i odwróconymi krzyżami. Zaimponowało mi jego oko do szczegółów. Mnie też interesowała społeczna historia garderoby Darksiderów, ale słyszałam to już wszystko sto, nie, tysiąc razy wcześniej. Dlatego mu przerwałam.

- Podoba ci się, bo wyglądam w tym seksownie.

Miałam przez to trochę wyrzutów sumienia, ale musiałam nakreślić pewne granice i postanowiłam zrobić to od razu.

Nasz związek miał właśnie wyjść poza intymność i sferę prywatną, robiąc z nas medialnych celebrytów, a ja musiałam ustalić jasne zasady, jak portretować się przez nasze mikrofony. Joaquin nie miał z tym problemu; stworzył sobie alter ego, czasami wariackie, czasami powściągliwe, potrafiące słuchać cierpliwie i nie traktować każdego publicznego wystąpienia jako sposobności do szpanowania. Mnie jednak bardziej interesowało dopilnowanie, żebyśmy nie zmienili programu w farsę, w groteskowy wodewil z nami w rolach głównych jednej z tych potwornych par, które wystawiają się na widok publiczny. Nie mogłam opędzić się od wizji Jima i Tammy Bakkerów. Ale kiedy wspomniałam o tym Joaquinowi, tylko się zaśmiał i powiedział:

- Moim zdaniem po cichu chciałabyś być Tammy Faye.

Wiem, że przesadzałam; może nawet trochę histeryzowałam. Ale każdy, kto ceni sobie swoją niezależność, czuje się zagrożony, kiedy bierze się do cudzego projektu.

To instynkt przetrwania.

Zgodziłam się wziąć udział w *Radiu duchów*, bo liczyłam, że zdobędę w ten sposób materiały do pracy po powrocie na uczelnię. Poza tym myślałam, że będzie zabawnie. Ale gdybym opuściła gardę, byłabym zgubiona.

Dla mnie sesje na antenie, to jak odcinki *Star Treka* na żywo. Słuchaliśmy historii odizolowani od świata; komentowaliśmy je, kłóciliśmy się aż do krzyku. Większość opowieści dotyczyła tak naprawdę samotności, pierwotnego strachu, matczynego odrzucenia, kompleksu Elektry, frustracji seksualnych i duchowych cierpień. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że właśnie tego bali się nasi dzwoniący. Nieważne, czy wyobrażaliśmy je sobie jako przezroczyste widma, *chupacabras*, mumie, potwory z mackami czy inne złowrogie istoty, wszystkie te byty były odzwierciedleniami codziennych lęków i traum. Odkrycie tego, dla wielu ludzi oczywiście, było objawieniem.

Joaquin mnie rozumiał. Ale nie zawsze zgadzał się ze mną.

- Czasami duch to po prostu duch - mawiał.

Być może takie podejście było mu potrzebne, żeby program wychodził jak należy. Nie da się tworzyć rozrywkowego radia, analizując psychikę wszystkich dzwoniących. A Joaquin tworzył rozrywkowe radio.

Uwielbiałam obserwować, jak przechodzi przez najróżniejsze emocje, od entuzjazmu do arogancji, zdziwienia i podniecenia. Czasami jakby wpadał w trans. Wtedy się denerwowałam.

Myślałam, że gra, udaje, żeby mi zaimponować, zanim zdałam sobie sprawę, że to wcale nie tak, że naprawdę wchodził w odmienny stan świadomości - a wtedy tracił kontakt z otoczeniem.

W końcu przyzwyczaiałam się do jego sporadycznych wycieczek do świata niewyjaśnionych fenomenów. Joaquin potrafił brodzić we mgłę okrywającej pogranicze normalnego i paranormalnego. Chociaż trochę się tego bałam, jakaś część mnie go podziwiała. Ale doszłam do wniosku, że to jedna z rzeczy, których lepiej nie ruszać. Postanowiłam to ignorować, chociaż nie zawsze się dało.

Z czasem *Radio duchów* stało się moim domem, miejscem, w którym czułam się swobodnie, gdzie mogłam wyrażać się bez obaw. Nasz programik był tunelem, autostradą głosów: czasami siedziałam za kierownicą, czasami jako pasażerka. Zasłużyłam sobie na swoje miejsce. Dogadywałam się z personelem i uczestniczyłam w procesie decyzyjnym. Więcej łączyło mnie z tymi ludźmi niż z wykładowcami na uczelni, dla

których cokolwiek bardziej osobistego niż „dzień dobry” na korytarzu było nie do pomyślenia.

Jak zawsze w moim życiu, od początku zakładałam, że to tylko etap przejściowy, że w jakimś zbliżającym się szybko momencie wszystko się zmieni. Nie wyobrażałam sobie jednak żadnego innego wyjścia, czułam się spełniona, jak nigdy. Nie miałam ochoty przechodzić kolejnej zmiany, targać gdzieś walizek, żegnać się z ludźmi i zapełniać worków na śmieci rzeczami, których nie mogłam zabrać ze sobą.

Kiedyś po południu piłam kawę w mieszkaniu Joaquina - teraz także moim mieszkaniu - i myślałam o tym wszystkim; wyjrzałam przez okno i zobaczyłam parę kłócącą się w parku. On próbował ją objąć, ale odepchnęła go, najpierw lekko, potem mocniej. Coś mówił, gestykułował, chcąc ją nakłonić, żeby została. Nie wyglądała na przekonaną i odeszła, ale on pobiegł za nią i ją zatrzymał. Znowu wymachiwał rękami, podnosząc głos. Słyszałam go, mimo zamkniętego okna. Ale nie chciałam podsłuchiwać; nie chciałam wiedzieć, jak przekonuje ją, żeby go nie zostawiła. Nie przejmował się spojrzeniami przechodniów. Wstyd i dyskrekcja zniknęły; pozostała tylko desperacka wola zdobycia tej kobiety. Ona okopała się mocniej, patrzyła w ziemię, nie jak ktoś zawstydzony, ale stanowczo, odmawiając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. Podniosła ręce, żeby nawet jej nie dotknął. W końcu odwróciła się i odeszła. On tylko za nią patrzył. Zgarbił się.

Sama nie rozumiałam, dlaczego ich rozstanie tak mnie poruszyło. Nie mogłam przestać o nich myśleć, o smutku tego mężczyzny i dystansie kobiety. Przeszłam się po mieszkaniu, doceniając je bardziej niż zwykle, jego szerokie okna, które wpuszczały słońce, jego drewniane podłogi, jego kuchnię i przytulną sypialnię. Opuszczenie tego miejsca nie przyszłoby mi łatwo; jeszcze trudniej byłoby oderwać się od Joaquina. Kiedy wrócił następnego ranka, pierwsze jego słowa do mnie brzmiały:

- Co byś powiedziała na zmianę scenerii?

Wyszło na to, że dostał szansę sprawdzenia *Radia duchów* w Stanach Zjednoczonych, być może podpisałby umowę syndykacyjną.

Pomysł powrotu do Stanów nie wydawał mi się teraz atrakcyjny, ale nie wykluczałam tego. Wiedziałam, że w końcu musiałabym wrócić, ale powrót teraz kojarzył mi się z odcięciem czegoś żywego, poświęceniem ważnych doświadczeń, porzuceniem idei i projektów. Przede wszystkim wyjazd z Meksyku przypominał mi matkę, która pojechała do

Ameryki za ojcem i nigdy nie była tam szczęśliwa. Czyżby historia miała się powtórzyć? Los, geny, emocjonalne programowanie?

- Będziesz musiał pojechać sam. Ja zostaję - powiedziałam. Nie rozczulałam się.

Nie wiedziałam, czy mam rację. Musiałam zająć takie stanowisko. Ale musiałam też wysłuchać Joaquina.

Całymi tygodniami dyskutowaliśmy nad zaletami i wadami przeprowadzki. Dla Joaquina była to duża szansa i miałam wyrzuty sumienia na myśl, że odpuściłby sobie coś takiego. On też miał dylemat. Nie chciał mnie zostawiać, ale nie chciał też naciskać, żebym jechała. Wyglądało na to, że cokolwiek by się stało, oboje bylibyśmy na przegranej pozycji. Joaquin mówił o przemocy, porwaniach, nędzy i zanieczyszczeniu środowiska w Meksyku.

- A ty naprawdę chcesz mieszkać w kraju prowadzącym wojnę, w którym będziesz etniczną mniejszością? Chcesz, żeby targetem twojego programu byli zmarginalizowani i wywłaszczeni? - spytałam.

- Nie bądź taka intelektualistka.

- Ja tylko stwierdzam fakty.

- Ale unikasz podstawowego.

Popatrzyłam na niego, usiłując ukryć gniew w spojrzeniu.

- Czego się boisz, Alondra?

Już miałam go zaatakować. Ale wiedziałam, że ma rację. Bałam się. Ale dlaczego? I czego?

Powoli pokręciłam głową i spuściłam wzrok.

Nic nie ustaliliśmy. Dyskusje trwały. Joaquin był coraz bardziej przekonujący, a mój opór słabł. Ustąpiłam w paru punktach, ale innych twardo broniłam. Jeszcze nie wygrał. Ale cichy głosik w głowie powtarzał mi, że jednak wygra... w końcu.

Joaquin liczył, że będę dalej tworzyć zespół *Radia duchów*. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale korporacja kupująca program nie chciała zmieniać jego formuły, a moją obecność stawiała na pierwszym miejscu, bo byłam Amerykanką; ogniwem łączącym dwie kultury. Joaquin nie śmiał mi powiedzieć, że tak naprawdę kupują właśnie mnie. Bał się, i słusznie, nie zniosłabym takiej presji. Ujął to tak:

- Chcą mieć całą ekipę. Chcą dokładnie odtworzyć formułę programu.

- Cóż, w takim razie ty i Watt będziecie musieli znaleźć sobie kogoś innego.

Poprosiłam Joaquina, żebyśmy przez kilka dni o tym nie rozmawiali. Nie chciałam już słyszeć o ruchach, zmianach i kulturowej transplan-tacji. Musiałam sama zważyć wszystkie „za” i „przeciw”. Potrzebowałam czasu do namysłu.

## 23

### KONTRAKT

**Zaprzedałem duszę diabłu.**

Ten stary banał nigdy nie wydawał mi się bardziej trafny. Nie będę wchodził w szczegóły. Kiedy rozmawia się o interesach, detale kontraktów, przepisów związkowych, zasad BHP i socjale śmiertelnie mnie nudzą. W końcu i tak wszystko sprowadza się do jednego pytania: ile?

Wiem, że to może brzmieć sprzedajnie, może nawet egoistycznie, ale co mam powiedzieć? Po raz pierwszy w życiu komuś udało się dźgnąć mnie w ambicję. Zaczęło się, jak wiele innych rzeczy, od e-maila. Wiadomość podpisana przez niejakiego Dana Fostera wysłano z adresu InterMedia Enterprises. Odpowiedziałem uprzejmie, jak zawsze. Dan przysyłał mi maile przez kilka tygodni, jakby był jeszcze jednym fanem komentującym program. Potem któregoś dnia przyleciał do Meksyku, żeby się ze mną spotkać, i rzucił mi propozycję. Nie tracił czasu.

Zaproponował mi program syndykowany na cały kraj, bajeczną pensję, mieszkanie i samochód. Ale Dan Foster, jak się okazało, prezes i dyrektor wykonawczy medialnego konglomeratu, przedstawił to wszystko, jakby to była misja, bezprecedensowa przygoda na polu społecznego wrzenia.

- Zamierzamy przełamywać bariery w każdym znaczeniu tego określenia: nie tylko dlatego, że ludzie będą mogli cię słuchać w całych Stanach Zjednoczonych w radiu i na całym świecie przez Internet, ale dlatego, że przekraczając granicę życia pozagrobowego będziesz także przekraczał bariery językowe i kulturowe, których nikomu dotąd nie udało się przełamać. Wyobrażasz sobie, ile to będzie znaczyć dla społeczności latynoskiej?

Wyobrażałem sobie i kiwałem głową, ale wszystko to wydawało mi się niezłą abstrakcją. Poza tym nie interesowała mnie rola pioniera na moim polu. Mojego życia nie można było nazwać chaotycznym, ale uważałem, że sporo się w nim dzieje. Z tego co mówił Foster, program miał uczynić ze mnie generała latynoskiej rewolucji radiowej. Powiedziałem mu to.

- Przetrzesz szlak dla swoich rodaków.
- Szczerze mówiąc, nie poszedłem do radia, żeby zmieniać świat.
- Będziesz bohaterem.

Nie będę się wypierał różnych śmiesznych złudzeń, ale rola bohatera nie była jednym z nich, w każdym razie na pewno nie bohatera ze studia radiowego.

- Dan, to programik o duchach i strasznych opowieściach, nie piszemy deklaracji niepodległości.

- Wiem, ale uwierz mi, tak czy inaczej, to będzie rewolucja.

Nie było sensu się spierać; widział już przełom w tym, że popularny program radiowy prowadził Meksykanin. Dla mnie nie miało to znaczenia większego niż fakt, że w Hollywood pracowali meksykańscy aktorzy i reżyserzy tacy jak Salma Hayek, Guillermo del Toro czy Alejandro González Inárritu. Dla Dana to było nie tylko ważniejsze, ale też bardziej wywrotowe.

Potem porozmawialiśmy o pieniądzach.

Nie poszedłem do radia dla pieniędzy. To, co zarabiałem, pozwalało mi na dostatnie życie, ale propozycja Intermedia mogła oszołomić. To była naprawdę duża kasa.

Dan powiedział, że musiałbym przejść „okres próbny”, ale zasugerował, że z ich wsparciem promocyjnym przeszedłbym go śpiewając. Ja nie miałem takiej pewności.

Zainteresowanie radiem wzbudziłem w sobie, kiedy pogodziłem się z faktem, że osiągnąłem ten nieunikniony wiek: za stary na rock and rolla, za młody, żeby umrzeć. Po rozpadzie Deathmuertoz grałem w wielu różnych zespołach i nagrałem setki piosenek, ale nigdy nie byłem zadowolony z rezultatów. Nigdy nie udało mi się uchwycić tego brzmienia, które miałem z Gabrielem. Nic z tego, co robiłem potem, nie dorównywało naszym standardom muzyki.

A Gabriela nie było.

Bez niego robienie muzyki to jak praca.

Dla mnie radio stało się miejscem refleksji. Na antenie zanurzałem się w muzyce i literaturze. Słuchałem razem ze swoimi słuchaczami;

czytałem dla siebie i dla nich, dyskutowałem o najróżniejszych sprawach z obcymi ludźmi. To było medium idealne: żywe, ciepłe, interaktywne i wysoce łatwopalne. Od pierwszej sesji w studiu towarzyszyło mi wrażenie, że siedzę w kapsule czasu, komorze deprywacji sensorycznej. Miałem wokół siebie ochronną bańkę, w której nikt i nic nie mogło mnie dotknąć. Półmrok, podświetlona konsola i plafon „Nagranie” tworzyły razem otoczenie przytulne jak łono matki, pewnego rodzaju kosmiczną samotność. Czuję się tak, jakbym lewitował, świat materii w tym momencie nie istniał. Jedyнным kontaktem z człowiekiem były bezcielesne głosy słuchaczy. Wszystko wydawało się oproszone niezemską... Tak, powiem to: bliskością duchów. Fascynowało mnie, że mogłem dotykać i słyszeć cały świat, a mojego istnienia nikt nie może być pewny; po prostu jeszcze jeden głos w jazgotliwym chórze fal Hertza. To była kraina ślepców, gdzie kierowaliśmy się głosami i dźwiękami, a przestrzeń nabierała kształtów, jakie nadawały jej nasze słowa. Przeobrażaliśmy ją z każdym opisem, uwagą, obelgą czy dygresją. Czuję się, prawie jakbym umarł, unosiłem się bez celu w ciemnościach nocy, słuchałem widmowych głosów, które na zmianę opowiadały o zjawach, nieświadome własnego stanu.

Któregoś dnia przeczytałem na antenie fragment Edgara Allana Poe: *Serce - oskarżycielem*. Słuchacze zareagowali. Lawina telefonów. Niektórzy, znający już tę nowelę, chwalili mnie za „podniesienie żalosego poziomu dyskusji w tym chlewie, który nazywasz programem”.

Inni, młodszy albo mniej czytani, chcieli dowiedzieć się o Poem czegoś więcej. Uczyl na miejscowym uniwersytecie, podpisywał książki w centrach handlowych? Zaskakujące, że sporo osób, zainspirowanych moją lekturą, zadzwoniło z anegdotami, historiami, które im wydawały się tajemnicze albo niewytłumaczalne.

- Cześć, nazywam się Manuel. Jestem ochroniarzem na budowie w śródmieściu. Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby zadzwonić, bo bardzo mi się spodobało, co przeczytałeś. Zapisalem już sobie autora, kupię tę książkę. Ale tak naprawdę chciałem ci opowiedzieć o czymś, co mi się przydarzyło.

Mam czterdzieści dwa lata, i jakieś dwadzieścia lat temu pracowałem na budowie, wiesz, jako budowlaniec. W każdym razie któregoś wieczoru robiliśmy ze stryjem nadgodziny. Musiałem wpychać taczkę pełną



cementu na drugie piętro po rusztowaniu z desek. Stryj, który załatwił mi tę robotę, pokazał mi butelkę tequila.

- Co powiesz, bratanku, chcesz trochę? Rozgrzejesz się! - Powiedziałem nie, to był zły pomysł. Mogłem wpakować się w jakieś kłopoty albo nawet spaść. Stryj na to: - Nie martw się, wyluzuj. Nie upijamy się, tylko rozgrzewamy.

Wtedy jeszcze piłem. Teraz już nie.

Ostatni raz wypilem kieliszek pięć lat temu i nie zamierzam znów się na tym wyłożyć. Ale wtedy pomyślałem, że stryj może mieć rację. Poza tym był prawie tak samo ważny jak brygadzysta, więc pomyślałem, że nic się nie stanie. Napilem się i poszedłem na górę z ładunkiem. Kiedy wróciłem na dół, znów minąłem stryja. Kazał mi się znów napić i ja się napiłem. Przy piątej rundce byłem już nieźle wstawiony, śpiewałem i gadałem głupoty. A potem spadłem. Przewróciłem się do taczki, zjechałem kilka metrów, a potem spadłem z jakichś dwóch. Cały byłem zalany zaprawą. Wszystko mnie bolało; myślałem, że już nigdy się nie ruszę. Wtedy usłyszałem śmiech stryja. Tak rechotał, aż echo się rozchodziło. W końcu przestał się śmiać i zszedł zobaczyć, czy żyję. Stał ze mnie cement i pomógł mi wstać.

- Ale z ciebie pieprzony kretyn, bratanku - powtarzał.

Miałem tego dość i wszystko mnie bolało, więc powiedziałem mu kilka razy, żeby przestał, ale on nic sobie z tego nie robił. Uważał, że to, jak spadłem, to najśmieszniejsza rzecz na świecie. Cały czas się ze mnie nabijał, kiedy wspinaliśmy się z powrotem na górę, ale potem pośliznął się, uderzył w głowę i wylądował w tym samym miejscu co ja. Pokuśtykałem na dół, żeby zobaczyć, co się stało. Nie ruszał się. Oczy miał otwarte, ale wyglądał, jakby nie oddychał.

- I co ty na to, palancie, kto się śmieje ostatni! - wrzasnąłem do staro drania.

Byłem tak wściekły, że zrzuciłem na niego taczkę. Ale niedługo potem wytrzeźwiałem i zrozumiałem, że to poważna sprawa i mogę trafić do więzienia. Przywiozłem więcej cementu i wylałem go na stryja. Ale przy drugiej taczce zaczął się poruszać. Przerażony pobiegłem po trzecią i wylałem ją na niego. Potem dokładnie wygładziłem cement. Do rana związał i podłoga wyglądała nieźle, może była trochę wyżej, niż miała być. Na szczęście prawie nie było tego widać. Kiedy później przyjechał architekt, spytał mnie, czemu już wylaliśmy tę podłogę. Zdenerwowałem się. Powiedziałem, że stryj mi kazał, żebyśmy mogli zacząć lać schody. Architekt popatrzył na mnie ze zdziwieniem i spytał, co u stryja.

- Nie wiem, wczoraj wieczorem poszedł do domu sam - powiedziałem.

- Kiedy go pan zobaczy, niech mu pan powie, żeby do mnie przyszedł.

- Co, podłoga jest zła? - spytałem.

- Jest w porządku, ale musi się pospieszyć ze schodami.

Nikt więcej mojego stryja nie widział. Niektórzy myśleli, że uciekł z jakąś kobietą. Jego żona nie mogła tego zrozumieć, bo nie był Don Juanem i zawsze wracał do domu. Po kilku miesiącach pogodziła się z myślą, że dał nogę albo zginął napadnięty na ulicy.

Ja dalej pracowałem na budowie. Którejś nocy obudziłem się, czując w ustach smak krwi i tequili. Kilka razy przepłukałem usta, ale nie mogłem się go pozbyć; przeciwnie, za każdym razem, kiedy przechodziłem obok miejsca, gdzie zabetonowany był stryj, smak był coraz silniejszy. Czasami myślałem, że się nim zadławię; zdarzało się, że wymiotowałem. Poszedłem do kilku lekarzy, nawet do uzdrowiciela. Nic nie znaleźli. Cały dzień żulem miętówki. Jadłem surową cebulę i czosnek, ale wszystko zabijał posmak krwi. Wpadłem w rozpacz, kazałem sobie wyrwać wszystkie zęby, myśląc, że to mnie uleczy. Nic. Męczyło mnie to długo po tym, jak skończyliśmy budowę. Ludzie, którzy tam mieszkają, nie mają pojęcia, że za każdym razem, jak wchodzi na schody, przechodzą po moim stryju. Wczoraj niewiele brakowało, abym tam poszedł i wykrzyczał całemu światu, że leży tam zabetonowany mój stryj. Puściły mi nerwy. Ale kiedy usłyszałem tę historię przed chwilą, zrozumiałem, że to znak. W końcu muszę się przyznać.

- Dzięki za podzielenie się tą opowieścią na antenie, chociaż nie wiem tak naprawdę, co z nią zrobić. Zgłosisz się na policję?

- Nie. Po co?

- Zamordowałeś stryja.

- Nikogo nie zamordowałem. Spadł przypadkiem.

- No, zalałeś go betonem.

- Wtedy jeszcze żył.

- No tak, ale beton go zabił. Skąd mam wiedzieć, czy nas nie nabierasz?

- To wasz problem. - Mężczyzna się rozłączył.

Wyobraziłem sobie, że czuje w ustach smak krwi i tequili.

To z całą pewnością nie była reakcja, jakiej oczekiwałem od słuchaczy, kiedy recytowałem na antenie Poego. Nie sądziłem, że słuchacze zmieniają się w „radiowych świadków” przestępstwa.

- Ale kiedy będziemy tę sprawę badać, dzwońcie dalej - powiedziałem.

Telefony nie ustawały. Zaczęło się od kilku każdej nocy, a potem ruszyła lawina. Tysiące ludzi chciało opowiedzieć o swoich przeżyciach albo dorzucić coś do opowieści innych. Nie mogłem już tego wszystkiego ogarnąć. Sprawą zainteresowała się stacja; najpierw przydzielili mi na stałe inżyniera dźwięku (do tej pory pracowałem z tym, który akurat był na zmianie), a potem zaczęli dokładać asystentów do odbierania telefonów i dbania o rosnące potrzeby programu. Co najważniejsze, zyskałem szacunek moich kolegów i szefów. Moja błoga oaza, czarny ocean spokoju, w którym unosiłem się bez celu, zmienił się w kłębowisko mrówczej aktywności. Wciąż były martwe godziny i powolne dni, ale program miał najlepsze wyniki w swoim gatunku i w swoim czasie antenowym. Telefony przychodziły z całego kraju i z innych części świata; Latynosi mieszkający w Stanach Zjednoczonych bombardowali mnie noc po nocy swoimi opowieściami, dzwonili ludzie nawet z Australii czy Namibii. Szefowie byli zadowoleni, ja też. Nic bym nie zmieniał, ale zmiana nadeszła i tak... brutalnie i niespodziewanie.

## 24

### DZIWNA ROZMOWA

Nowy program dla InterMedia różnił się oczywiście od poprzedniego wydania. Studio było ładniejsze, kawa lepsza, a wypłaty większe. Ale jedno się nie zmieniło: dzwoniący. Tak samo dziwaczni, szczerzy i śmieszni.

Joaquinowi podobało się takie połączenie. Jego obawy przed pobyt w Ameryce powoli się rozwiewały. Ale wróciły pewnej nocy, kiedy zapaliła się lampka dzwoniącego na linii drugiej.

- Mamy tu dzwoniącego, który nie chce się przedstawić - powiedział Joaquin, wciskając guzik linii drugiej. - Proszę, anonimowy przyjacielu, jesteś na antenie.

Cisza zdawała się ciągnąć bez końca.

W takich sytuacjach Joaquin zazwyczaj wołał: „Hallo, jesteś tam?” Jeśli dzwoniący natychmiast nie odpowiedział, rozmowę rozłączano. Tym razem jednak Joaquin siedział cicho. Nie poganiał dzwoniącego i nie sprawdzał, czy połączenie jest wciąż aktywne.

- Martwa cisza! - syknął Watt.

Joaquin nie odpowiedział. Alondra otworzyła usta, żeby coś powiedzieć; dał jej znak, żeby zaczekała. Cisza.

Mijały sekundy. Tyk... tyk... tyk... Chrapliwy głos zadzwieczał w głośnikach.

- Joaquin. Cieszę się, że znów możemy porozmawiać.

- Znów?

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Zazwyczaj poznaję moich przyjaciół.

- Widziałem śmierć.

- Opowiedz nam, co się stało.

- Właśnie ci powiedziałem. Widziałem śmierć. Nic mi się nie stało; nie zostałem wyrwany z jej objęć; nie straciłem woli życia. Po prostu widziałem oblicze śmierci, jej jadowity ryj kwiczący centymetry od mojej twarzy.

- Jak w *Obcym 3*?

- Nie, nic takiego.

- W pierwszym *Obcym*? - Joaquin powstrzymywał śmiech.

- Ty ją też widziałeś. Pamięta cię.

Joaquina to zaintrygowało.

- A jak tłumaczysz to objawienie? - odezwała się Alondra.

- Powiedzmy na razie, że nie uważam tego za pojedyncze objawienie, raczej za wydarzenie, które się powtarza.

- Często widzisz śmierć? - spytał Joaquin.

- Często.

Joaquin poczuł zimny dreszcz na plecach. Ta rozmowa sprawiała, że czuł się bardzo nieswojo. Wymagała skupienia. Spojrzał na Watta, który przestał jeść i siedział nieruchomo wpatrzony w monitor. Jak kot, któremu wydaje się, że usłyszał mysz.

- Jestem kimś wyjątkowym. Zupełnie innym od wszystkich tych, z którymi do tej pory rozmawiałeś. Jestem początkiem i końcem *Radia*

*duchów*, jego alfą i omegą. Jestem istotą odmienioną i przekształconą, i czekam na ciebie w ciemnościach nocy.

Joaquinowi zdrętwiał kark. Chciał się przeciągnąć, może wstać, ale nie mógł się poruszyć. Kątem oka zauważył zmianę cienia, rzucanego przez stół na ścianę. Wyglądał inaczej, jakby oświetlało go inne źródło światła. Przez chwilę wydawał się przekształcać w... nagrobek. Joaquin zamrugał i stół wrócił do normalnej postaci. Ale teraz był świadom sztuczek, wyprawianych przez cienie na skraju jego pola widzenia. Materia przemieniała się w cienie, a cienie w materię.

Anonimowy dzwoniący kontynuował:

- Moja sytuacja to przywilej: być między życiem i śmiercią... Między niebem i piekłem.

- Czyściec - powiedziała Alondra.

- Nie, skarbie, to bajeczka do poduszki dla religijnych świrów. Tu gdzie jestem, mogę dzwonić, oglądać telewizję i jeść śmieciowe żarcie.

- Niektórzy by powiedzieli, że to najlepsze z obu światów - zauważyła Alondra.

- I najgorsze, oczywiście.

Joaquin ujrzał trupią twarz: ciało odchodzące od kości, odsłonięte mięśnie. Skrzywił się.

- Spróbuj sobie wyobrazić - mówił głos - że jakieś zwierzę pożera cię żywcem, ogryza ci głowę. Jesteś przytomny. Czujesz, jak jego kły wbijają ci się w ciało, jak zrywa ci pasy skóry z głowy. Z takim uczuciem przeżyłem ostatnie dziesięć lat.

Joaquin się przestraszył. Dłonie mu się spociły. Rozejrzał się, pewny, że zobaczy, jak ktoś go obserwuje.

- A teraz, chcesz mnie posłuchać, Joaquin? - spytał dzwoniący.

- Oczywiście. Ale myślę, że kłamiesz.

- Wyobraź sobie: płoniesz przez wieczność w oceanie ognia, gotujesz się żywcem w nieskończoność, cierpisz w każdej chwili, jakby to był ten pierwszy moment, kiedy czujesz, że płomienie dotykają twojej skóry, bez najmniejszej możliwości przyzwyczajenia się do bólu.

Zanim głos skończył, Joaquin zobaczył, że cienie w studiu stają się oknem wychodzącym na piekielny krajobraz, wart słynnych ilustracji Gustava Dorégo do *Boskiej komedii*; oglądał je w dzieciństwie i potem dręczyły go koszmary. Nie rozumiał, co się dzieje. Zamrugał nerwowo i rozejrzał się - próbował sprawdzić, czy tylko on doznaje wizji na jawie. Ogarnęło go straszne znużenie - nigdy nie widział ani nie czuł czegoś

takiego. To prawda, po śmierci rodziców przez kilka lat nie mógł spać z powodu niezwykle realistycznych koszmarów. Ale potrafił się z tym uporać. Któregoś dnia postanowił, że nie będzie się już bać i zachowa spokój. Najgorsze, co mogło mu się przydarzyć, już się stało - w ten sposób zrzucił emocjonalne brzemię.

Teraz, siedząc między Alondrą a Wattem, poczuł, jak dawny lęk powraca.

- Słyszałeś, co powiedziałem? Kłamiesz - powtórzył, próbując się opanować.

- Co według ciebie jest kłamstwem?

- Nie sądzę, żebyś mógł oglądać telewizję, nie sądzę, żebyś mógł jeść śmieciowe żarcie, moim zdaniem masz szczęście, że w ogóle udało ci się zadzwonić.

Dzwoniący milczał. Ale tym razem Watt nie ostrzegł Joaquina o martwej ciszy. W końcu głos się odezwał:

- Co powiesz na taką bajkę? Dawno, dawno temu był sobie chłopak, prawie jeszcze dziecko, żyjący w idealnym świecie przywileju, takim, w którym seksualną inicjację przeżywało się z najpiękniejszymi dziewczynami, gdzie wystarczyło czegoś zapragnąć, żeby to się wydarzyło, gdzie wszystko wskazywało na to, że jego talent i intelekt zaprowadzą go na szczyt każdej góry, na jaką zechciałby się wspiąć. A potem jego świat się rozleciał; został sam w ponurym świecie mroku, skazany na łaskę i niełaskę okrutnych ludzi. Młody człowiek, już nie dziecko, został zamieniony w łabędzia, co uratowało go przed niebezpieczeństwami przeżartego złem świata.

- W łabędzia, tak? Jak w bajce Andersena *Dzikie łabędzie*. - Joaquin mglście ją sobie przypominał.

- Otóż to.

- Dlaczego po prostu nie wyłączysz tego palanta? - szepnęła mu do ucha Alondra. Zasłaniała mikrofon, ale było oczywiste, że wołałaby to wrzasnąć na antenie.

Joaquin pokręcił głową.

- Jeśli ktoś nie wie albo nie pamięta, przypominam, że to bajka dla dzieci, więc jest oczywiście makabryczna, pełna sadyzmu i okrucieństwa. Jak należy. O czym opowiada? Jedenastu wspaniałych synów króla padło ofiarą zazdrości złej macochy. Zmusiła króla, żeby ich wygnał z pałacu. Jakaś dziwna magia zmieniła ich w łabędzie. Łabędź to symbol bezcielesnego stanu zbawienia. To, co wydaje się okrutną karą, jest tak

naprawdę odkupieniem. W nocy łabędzie przybierały ludzką postać. Ich jedyna siostra poświęciła się i uszyła im koszule z pokryw zebranych na cmentarzu. Kiedy narzuciła je na łabędzie, czar prysł i bracia zostali uwolnieni. To smutna historia o niesprawiedliwości, z absurdalnym morałem.

Watt i Alondra dawali mu gorączkowe sygnały, przesuwali palcami wskazującymi po gardłach, jakby je sobie podrzynali. Alondra podsunęła Joaquinowi kartkę:

- „Wyłącz go! Już!”

Joaquin machnął ręką, żeby dali mu spokój.

- Cóż, mój przyjacielu, ponieważ doświadczasz właśnie buntu personelu, na razie cię zostawię. Ale zanim odejdę, powiem tylko tyle: Joaquin, niedługo porozmawiamy. Najlepsze życzenia.

Znów mieli martwą ciszę.

Joaquin drżał tak, jak tamtej nocy, wiele miesięcy wcześniej, kiedy odebrał tę samą wiadomość przesłaną z helikoptera alfabetem Morse'a. Ale, co dziwne, przypomniał sobie jeszcze inną noc. Noc przeznaczenia.

## 25

### NOC W STACJI

Szykowała się potężna burza z piorunami. Niebo z szarego zrobiło się musztardowożółte, a powietrze wypełniał zapach ozonu.

Joaquin wiedział, że plan jest niedopracowany i nieprzemyślany. Ale nie mógł zawrócić. Gabriel by mu nie pozwolił. Zresztą nawet nie chciał, bo nigdy nie widział, żeby Gabriel aż tak ekscytował się jakimś projektem. Swój koncert, performance i medialny show zatytułowali na szybko *Deathmuertoz live z Radio Mexico*. Przekroczyli granicę jak nielegalni imigranci w drugą stronę, ze Stanów Zjednoczonych do Meksyku; chodziło o to, żeby sama podróż stanowiła część show, wszystko musiało być przekroczeniem jakichś granic. Mieli ze sobą kilka instrumentów i torby pełne akcesoriów, których zamierzali użyć podczas jam session.

Po meksykańskiej stronie czekała na nich trójka fanów: Colett, Feliciano i Martin, wiernie oddani ich muzyce od roku. To oni zaproponowali koncert i zaferowali pomoc logistyczną. Gabriel po drodze robił zdjęcia polaroidem: nowe karty do jego pamiętnika. Każdy błysk flesza przypominał Joaquinowi poprzedni wieczór: rajd na sklep, wsuwanie filmów do kieszeni luźnej kurtki, Gabriel na czatach.

Przejsięcie przez granicę nie sprawiało problemów, nie licząc przelotnych deszczów. Zgodnie z planem spotkali się z fanami na stacji benzynowej przy autostradzie. Deszcz ustał. Ale asfalt był śliski, gdzieś stała woda.

Martin siedział za kierownicą starej furgonetki volkswagena. Feliciano chodził w tę i z powrotem przed nią, Colett uwodzicielsko wygięta opierała się o maskę; na jej farbowanych czarnych włosach jeszcze lśniły krople deszczu. Cała trójka przywitała Gabriela i Joaquina bardzo ciepło. Ale Joaquin wyczuł w dziewczynie rezerwę. W wesołych oczach Colett kryła się czujność, która go pociągała.

Kilka miesięcy temu ona i jej przyjaciele pomogli zorganizować nielegalną transmisję koncertu ormiańskiego zespołu punkowego z więzienia w Ankarze. Martin pracował w należącej do uniwersytetu stacji radiowej, ale jej pracownicy dwa lata temu zastrajkowali i konflikt wciąż pozostawał nierozwiązany. Gabriel i Joaquin udawali, że wiedzą, jak obsługiwać sprzęt radiostacji, chociaż nie mieli o tym bladego pojęcia.

Martin powiedział im, czego mają się spodziewać, kiedy już dotrą na miejsce.

- Stacja działa, ale od jakiegoś czasu stoi opuszczona. - Przekazał im instrukcje, jak emitować sygnał. Dał im trochę schematów obwodów elektrycznych, dodając, że chyba są sprawne. - Nie powinniście mieć żadnych problemów z uruchomieniem tego wszystkiego.

Miał z nimi pojechać, ale nastąpiła zmiana planów. Lepiej, jeśli będzie miał oko na strażników przy bramie, a ich zabierze, kiedy skończą.

Feliciano uważał, że mają za mało czasu, żeby się przygotować, i transmisja koncertu tego wieczora jest ryzykowna. Ale nie mogli przecież zrezygnować.

- Byłoby naprawdę do dupy, gdybyśmy nie zrobili tego ze strachu.

- Od dwóch tygodni rozsyłamy info, że jam session będzie dziś. Czyli będzie dziś - powiedział Gabriel, który robił wszystkim zdjęcia polaroidem.



- A poza tym nie ma nic doskonalszego niż zagrać w taki wieczór jak ten.

Joaquin prawie się nie odzywał. Nie mógł oderwać wzroku od Colett. Miała przepiękne ciemne oczy i soczyste pełne wargi. Mówiła z dziwnym akcentem. Było w niej coś znajomego, czego nie umiał określić. Chociaż od czasu do czasu uśmiechała się do niego prowokująco, sprawiała wrażenie zdystansowanej.

Postanowili pojechać na tacos i załatwić wszystkie niedokończone sprawy. Przy kolacji Gabriel wyjaśnił, że przejście stacji radiowej będzie wielkim krokiem naprzód w ich karierze. Wypalą płyty CD z zapisem koncertu i wydadzą je z książeczką z jego zdjęciami.

- Chcemy, żeby na całym świecie ludzie przejęli stacje, żeby to była rewolucja na wielką skalę, żeby oddać radio z powrotem ludziom.

Zabrać je korporacyjnym liczykrupom z ich głównianymi listami przebojów.

Joaquin zgadzał się z tą koncepcją, ale zdziwiło go, że Gabriel mówi jak bojownik. Brzmiało to sztucznie. Uświadomił sobie, że to popisowa prezentacja męskiego charakteru przed Colett. Tak wyglądał flirt w wydaniu Gabriela.

Feliciano, Martin i Colett przedyskutowali jeszcze raz swoją część planu: Feliciano zawiezie ich do stacji, gdzie przejdą przez ogrodzenie. Martin zajmie się bezpieczeństwem, a Colett, która dobrze знаła stację, będzie towarzyszyć Gabrielowi i Joaquinowi oraz pełnić funkcję inżyniera dźwięku.

- Wiesz, jak obsługiwać stół mikserski i tak dalej? - spytał Joaquin.

- Tak, pracowałam w wakacje w radiu w Bostonie. Paru rzeczy się nauczyłam. - Colett odgarnęła z twarzy włosy wierzchem dłoni.

Joaquin poprzysiągł sobie nie wyjeżdżać z Meksyku, dopóki nie pozna jej bardziej intymnie.

- To wystarczy. Będzie idealnie. - Gabriel zrobił Colett jeszcze jedno zdjęcie.

Aha, Gabrielowi też się podobała. Joaquin był tego pewny. Jeśli chciał zdążyć przed nim, musiał działać szybko.

Pod koniec posiłku podszedł do nich pijak, który sprzedawał kwiaty.

- Dla młodej damy. - Wyszczерzył się w pijackim uśmiechu.

Gabriel wziął kwiat i rzucił pijakowi dolara; nie odrywał wzroku od Colett.

- W społeczeństwie Azteków kwiaty były ofiarą zarezerwowaną dla bogiń - powiedział, podając jej kwiat.

Joaquin przewrócił oczami.

Na Colett nie zrobiło to wrażenia. Podważyła prawdziwość stwierdzenia Gabriela.

- Aztekowie składali boginiom w ofierze kwiaty? Nie wydaje mi się.

Gabriel bronił swoich racji, umiał dyskutować, ale Colett parowała każde jego pchnięcie. Błefował, a ona знаła temat.

Kiedy rozmawiali, Joaquin naszkicował na serwetce różę. Przyłożył się szczególnie do łodyżki; w połowie długości zmieniała się w elektryczny kabel zakończony wtyczką.

Podał rysunek Colett.

- We współczesnym społeczeństwie splukani kołesie dają rysunki kwiatów, żeby zaimponować superlaskom - zakpił, naśladując ton Gabriela.

- Z tym nie mogę się spierać. - Colett wzięła serwetkę.

Zmarszczyła brwi, gdy przyglądała się rysunkowi. Joaquin pomyślał, że ten grymas jeszcze jej dodał uroku.

- Super. Nadałaby się świetnie na dziarę - skwitowała największym gotyckim komplementem.

Złożyła serwetkę i wsunęła ją do tylnej kieszeni kusząco obcisłych dżinsów. Wyszli z restauracji. Róża Gabriela leżała zapomniana na stole. Tę rundę wygrał Joaquin.

Rozdzielili się zgodnie z planem. Powietrze na pustyni było tak naelektryzowane, że włosy Joaquina przylepiały się do tapicerki w samochodzie. Wysiedli z volkswagena. Stacji nikt nie pilnował. Joaquin pierwszy sforsował płot. Colett podążyła za nim, skacząc jak tancerka; tancerka w glanach. Gabriel przeszedł ostatni. Usłyszeli szczekanie.

- Martin mówił, że tu nie ma żadnych psów - powiedział Joaquin.

- Bo nie ma - odparła Colett.

- Coś się do nas zbliża i szczeka - odezwał się Gabriel.

- No dobra, może są jakieś psy.

W tym momencie zza rogu wyskoczyły dwa olbrzymie mastiffy, ujadające i zaślinione. Cała trójka rzuciła się do ucieczki. Joaquin poczuł dziwną radość. Gabriel pędził przed nim, za sobą słyszał tupot glanów na żwirze i głucho warczenie psów.

To było prawdziwe życie. Prawdziwe, bezpośrednie, potężne.

Gabriel dopadł drabiny przymocowanej do ściany, chwycił najniższy szczebel i się wspiął. Joaquin przepuścił Colett, a potem pobiegł w drugą stronę, ścigany przez psy.

Obliczał skok, którym prawdopodobnie sięgnąłby górnej krawędzi ceglanego muru za budynkiem. Skoczył, ale gdy przesunął mu się plecak, stracił równowagę, pośliznął się i uderzył głową o mur. Pies rzucił się na niego, szarpnął zębami skórę przy uchu i puścił. Joaquin podniósł głowę, zdezorientowany, obolały i przerażony. Kilka centymetrów od jego twarzy unosiły się szczęki mastiffa. Bestia warczała gardłowo. Joaquin znieruchomiał. Usiłował wymyślić, jak się z tego wywinąć, ale każdy ruch mógł sprowokować psa; wiedział, że tym razem nie ochroni twarzy. Był całkowicie odsłonięty, a jego życie zależało od instynktu i kapryśków zwierzęcia.

Wspaniale jest żyć, pomyślał, sam tym zaskoczony.

A potem, patrząc na psa, na jego oślinione szczęki i zimne oczy, wpadł na pomysł. Tak absurdalny, że mógł się udać.

- Do domu - rzucił rozkazującym tonem.

Pies przekrzywił łeb, jakby nasłuchiwał. Jego warkot zmienił częstotliwość.

- Do domu - powtórzył stanowczo Joaquin.

Pies powoli cofnął się, zamknął pysk i odbiegł. Joaquin uśmiechnął się i wstał; adrenalina łagodziła ból ran. Wrócił do drabiny, na której wciąż wisieli Colett i Gabriel.

- Co się stało?

- Psy poszły.

Colett zeskoczyła i wdrygnęła się na widok ran Joaquina. Ostrożnie pogładziła go po twarzy.

- Pies?

- Chciał mnie pocałować i nie trafił.

Parsknęła śmiechem, a potem zmieniła temat.

- Nie mamy chyba wyjścia, musimy odpuścić. Popatrz tylko na tego biedaka, Gabriel.

- To zadrapanie, nic groźnego, Joaquin jest bardzo odporny. Małe ugryzienie go nie zatrzyma, prawda?

- Nic mi nie jest. Chodźmy do środka.

- Jak się pozbyłeś psów?

- Umiem sobie radzić ze zwierzętami - odparł Joaquin zdecydowanie.

Chociaż aż do teraz nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nigdy tu nie było psów, jestem tego pewna.

- Może strajkujący je przywieźli, żeby przeganiały włamywaczy. Takich jak my.

Gabriel z łatwością otworzył drzwi. Miał talent do otwierania zamków wytrychami. Cała trójka weszła do budynku. Panował tam bałagan; okna były popękane i powybijane, wszędzie stały kałuże wody, podłogę zaścierały dokumenty, książki i segregatory. Od dawna nikt tu nie zaglądał.

- No, jeśli to miały być psy stróżujące, to kurewska pomyłka - powiedział Joaquin.

- Zrozumieliśmy, że do niczego się nie nadają, kiedy puściły cię z tym zadrapaniem na głowie - zauważył Gabriel.

Colett poprowadziła ich przez ciemność, idąc zgodnie ze wskazówkami Martina, aż dotarli do transformatora. Gabriel przejrzał kable, sprawdził, czy zgadzają się ze schematem. Kiedy skończył, cyknął kilka fotek i ruszyli do studia.

- Martin mówił, że mamy nie włączać światła na parterze.

Kiedy doszli do studia, powitał ich smród wilgoci i zgnilizny. Sedesy w toaletach wyrwano, ale nikomu nie chciało się zakręcać wody. Wykładziny były mokre, ściany pokrywał grzyb. Colett nerwowo pstryknęła włącznikiem światła i pokój pojaśniał. Gabriel i Joaquin wyjęli z plecaków instrumenty. Co prawda mokre, ale chyba działały. Pospiesznie wnieśli prymitywny ołtarz z najróżniejszych dziwnych przedmiotów.

Joaquin nie rozumiał, dlaczego Gabriel chciał koniecznie zbudować ołtarz. Ale teraz, kiedy ten nabrał kształtu, wydawał się niezbędny, jakby cała eskapada bez niego nie miała sensu.

Joaquin pomógł Gabrielowi rozstawić przedmioty, które ze sobą przynieśli: latarki, butelki po płynach do zmywania pełne podejrzanej cieczy, plastikowe żołnierzyki, stare monety, domek dla lalek, dziwne nakrycie głowy, nóż, rzeźbione w drewnie symbole, rysunki i inne.

- Co robicie? - spytała Colett.

- Nie widzisz? Prosimy bogów, żeby nad nami czuwali.

- Cholera, ty i twoje durne wymysły o Aztekach. To cholera wygląda jak aztecki ołtarz zaprojektowany przez debila albo zdemencjałą staruszkę.

- Super! O to nam właśnie chodziło! - Gabriel się roześmiał. Kiedy podłączył swoją gitarę, kopnęło go; wyładowanie elektryczne przeskoczyło między instrumentem a jego ręką.

- Jasna cholera! - wrzasnął.
- Dziś gitara stanie się instrumentem tortur - skomentował Joaquin.
- Poczujemy w palcach trochę cierpienia poległych wojowników.
- Zapewniam cię, że nie tylko w palcach.
- Ci wojownicy woleliby kilka wyładowań niż obsydianowe noże, którymi wycinano im serca - Colett mówiła przez głośniki reżyserki.
- Lepiej mieć wyrwane serce niż wachać smród ścieków zalewających to zakichane studio - odparł Joaquin.
- Właściwie kanalizacja Azteków...
- Dobra, dziewczyno, koniec z historią Azteków, pokaż nam swoje doświadczenie radiowe - przerwał jej Gabriel.

Colett podeszła do stołu mikserskiego, włączyła go i zaczęła przesuwając suwaki - miksowała sygnały z gitar, magnetofonów, syntezatora i automatu perkusyjnego.

Patrząc na nią, Joaquin się podniecił. Tym, jak jej dłonie tańczyły po stole. Jak przekrzywiała głowę, kiedy coś nie brzmiało jak trzeba. I przebiegłym uśmiechem, który rozjaśniał jej twarz, gdy to poprawiała.

Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik o pierwszej trzydzięci w nocy. Gabriel przejął mikrofon. Przy pierwszym słowie strzeliły wzmacniacze i zgasło światło. Szybko znaleźli przepalony bezpiecznik, niestety brakowało zapasowego. Joaquin siedział w ciemności, przygnębiony. Skaleczenie bolało, rana na głowie wciąż krwawiła, a nie mieli czym jej opatrzyć. Gabriel się nie poddawał. Znalazł gruby kabel i za jego pomocą ominął bezpiecznik. Światło rozbłysło. O pierwszej czterdzięci dziewięć byli na antenie.

W studiu zapaliło się czerwone światło.

- Zgodnie z obietnicą, jesteśmy Deathmuertoz i uwalniamy eter Meksyku - zaintonował Gabriel.

Zaczęli grać. Na otwarciu zagrali *Głosy niesłyszane*, klasyczny punkowy atak pełen wściekłości, zbudowany na intensywnym rytmie perkusji złożonym w całości w odgłosów owadów. Idealny numer na rozpoczęcie; zawsze nakręcał publiczność, głodną nocnych kawałków. Joaquin nie był zadowolony; uważał, że brzmią płasko, i dał Colett znak, żeby poprawiła basy, ściszyła odsłuchy i podkręciła pogłos. Zrobiła to, odgarniając włosy z twarzy wierzchem dłoni.

Potem zagrali *Śmierć ukryta wśród obywateli*, fuzję afrykańsko-karaibskich rytmów z chrapliwymi, agresywnymi wokalami, stopniowo

tworzącymi kontrapunkt dla ataku syntetycznych smyczków inspirowanych Mahlerem. Joaquin i Gabriel wpadli w trans i grali, jakby owdładnęły nimi duchy poległych wojowników.

## 26

### EUFORIA

Stu, może stu pięćdziesięciu młodych ludzi zebrało się na małym placu. Radio samochodowe starej mazdy podłączyli do wzmacniacza. Niektórzy byli tam od północy. Mieszkańcy nie mieli pojęcia, na co czekają. Dookoła stało kilkunastu policjantów, gotowych do interwencji, ale z rozkazem niepodejmowania jej. Było jasne, że w tym towarzystwie alkohol i narkotyki to normalka. Policjanci mogli zacząć aresztowania, kiedy tylko by zechcieli.

Nagle ktoś wskoczył na dach mazdy i wrzasnął:

- Zaczęli, sukinsyny!

Kiedy tylko rozległy się pierwsze akordy, rozpętało się piekło. Oszalały, deliryczny tłum zaczął wibrować do rytmu muzyki eksplodującej z głośników. Zrobił się taki młyn, że gliniarze zamarli ze zgrozy. Mogli tylko stać z boku i patrzeć na dziką sforę, jakby to było lądowanie UFO. Beładny tłum ryczał niczym wygłodniała bestia, gotowa rzucić się na przechodniów, gdyby wychynęli z pobliskich uliczek. Ktoś rzucił butelkę. Za nią poleciały następne, kamień trzasnął w sklepową witrynę. Wtedy policjanci zaczęli działać.

Taka sama scena rozegrała się w wielu miastach. Niektórzy mówili, że w dziesięciu, inni, że w stu. Trudno ustalić. Z całą pewnością można jednak powiedzieć, że energia wyzwolona przez te kilka minut koncertu Deathmuertoz w Radiu Meksyk pozostawiła niezatarty ślad. Politycy, aktywiści, rodzice i komentatorzy - wszyscy potępił deliryczne wybuchy przemocy. Ale nikt, kto tam był, nie mógł zaprzeczyć, że będą do końca życia pamiętać te minuty całkowitej euforii, szaleństwa i eksplozji energii.

Colett była roztrzęsiona.

- Na zewnątrz są gliny. Musimy przyskać. Już!

- Siostrzo, za dobrze dajemy czadu. Nigdzie nie idę.

- Ja też zostaję - powiedział Joaquin. - Ale ty idź. Przesuń kilka szafek pod drzwi. Potem wyjdź oknem w łazience.

Patrzył na Colett; oczy miała szeroko otwarte ze strachu i zmieszania.

- Idź - powtórzył spokojnie, uderzając kolejny akord.

Colett podbiegła do podwójnych drzwi i zastawiła je dwiema szafkami.

- Wystarczy?

Joaquin wskazał duży, drewniany regał. Kiwnęła głową i przysunęła go do drzwi; mebel skrzypiał i trzaskał. Joaquinowi podobał się ten dźwięk. Miał nadzieję, że sita go łapia.

Colett przewróciła regał; głośno huknął o drzwi. To mikrofony złały na pewno.

Rzuciła Joaquinowi jeszcze jedno pytające spojrzenie. Kiwnął głową. Dziewczyna pobiegła do łazienki, w stronę jej małego okienka i wolności.

Już sami, Joaquin i Gabriel zagraли *Chismes y mordercze legendy*, zbiorem dźwięków brzmiących jak kondukt pogrzebowy dodając tekstury wścieklej kompozycji w tempie 180BPM. Ich muzyka nigdy nie brzmiała tak żywo i potężnie.

O drugiej skok napięcia w instalacji spalił ich sprzęt. Joaquin poczuł już tej nocy kilka kopnięć, ale tym razem jego ręce, potem szyja i plecy zeszywniały, wszystkie mięśnie stwardniały jak kamienie. Zobaczył, że z jego ciała unosi się dym, z ust bucha płomień, poczuł uderzenie w brzuch i uniósł się w powietrze. Chwila ciszy lotu, potem... łup na mokrej podłodze; uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc. Powoli obraz przed oczami zaczął mu się zamazywać. Świat przygasł, aż ogarnęła go ciemność.

Usłyszał mastiffy, które wpadły do studia i go obwąchały. Potem usłyszał coś innego... w oddali... niewyraźnego. Głosy? Muzykę? Usiłując

się skupić, poczuł, że jego ciało unosi się w górę. Spojrzał w dół i zobaczył Gabriela - leżał nieruchomo na podłodze. Psy wgrzyzały mu się w pierś, szarpały jego twarz i krocze.

Zobaczył na podłodze także swoje ciało... nieruchome.

Do studia wpadli policjanci. Kiedy zobaczyli Joaquina i Gabriela na ziemi, wezwali karetkę.

Joaquin obserwował scenę w dole z dziwnym spokojem. Nagle wszystko wokół niego się przesunęło. Zawilgłe studio zniknęło, zastąpione rozległym, arktycznym krajobrazem. Poczuł, jak pod stopami chrzęści mu śnieg. W oddali ku niebu strzelały poszarpane lodowce.

Nie wiedział dlaczego, ale zaczął się wspinać na najbliższą zaspę.

Dygotał, brnąc przed siebie, każdy krok był trudniejszy niż poprzedni. Pokonał ledwie dwadzieścia metrów, kiedy poczuł, że zapada się w śniegu. Najpierw do kostek, potem po kolana, potem prawie do pasa. Parł dalej, nie wiedział, dokąd idzie ani dlaczego czuje przymus, by się nie zatrzymywać. Śnieg sięgał mu do piersi i uniemożliwiał ruch. Joaquin wyęczał wszystkie siły, żeby przesunąć się choćby o centymetr.

Rozległ się głośny trzask i śnieg przysypał Joaquina. Miał wrażenie, że rzucono na niego setki lodowatych koców. Ogarnął go duszący strach; zaczął walczyć, żeby się uwolnić.

Nagle był wolny.

Śnieg pod nim ustąpił i Joaquin poczuł, że spada. Spadał i spadał. A spadając, usłyszał głos Gabriela:

- Dlaczego zawsze musisz wszystko spieprzyć, Joaquin? To nie twoje miejsce. Nie powinno cię tu być. Nie powinienes tego oglądać.

Wciąż spadał, a głos Gabriela zastąpiła muzyka; dziwna, głośna muzyka, kojarząca mu się z tłokami i silnikami parowymi. Dźwięczała, syczała, łomotała i zgrzytała.

Potem uderzył o ziemię, mocno.

Spojrzał w górę i zobaczył przykucniętego przy nim sanitariusza, który trzymał końcówki defibrylatora. Mężczyzna powiedział coś uspokajającego; Joaquin nie zrozumiał, a potem stracił przytomność.

Przez cały następny tydzień wśród ich fanów rozchodziła się plotka: Los Deathmuertoz już nigdy nie zagrają.



## 28

TELEFON 3307, WTOREK, GODZ. 04.02  
NARZECZONA DLA DUCHA

Nazywam się Yang, ale mówcie mi Joe.

- Cześć, Yang-Joe. Co masz dziś dla *Radia duchów*?

- No, znam różnych ludzi.

- A co to za ludzie?

- No wiesz, źli ludzie. Zadają się z umarłymi.

- Co to znaczy, zadają się z umarłymi?

- To znaczy, że, ee... zaspokajają pewne potrzeby pewnych nieżywych ludzi.

- Yang, czy Joe, zgubiłem się. Jakie potrzeby? O czym ty mówisz?

- Widzisz, w zachodnich Chinach, w prowincji Shaanxi, istnieje bardzo stary zwyczaj mówiący, że jeśli młody mężczyzna umrze jako kawaler, powinien być pochowany z panną młodą, martwą panną młodą. Słyszeliście o tym?

- Teraz już tak - powiedział Joaquin.

- A więc ci ludzie, oni dostarczają kobiet... ee... trupów kobiet na wesela duchów.

- Aha.

- Kiedy jakaś panna umiera w tym samym czasie co jakiś kawaler, rozmawiają z jej rodziną, oferują niewielką sumę i grzebią ciała razem po ceremonii.

- A jeśli nie ma jakiegś dogodnie zmarłej kobiety?

- Wtedy są inne wyjścia: jeżdżą po wioskach i kupują młode kobiety albo dziewczyny, twierdząc, że przygotowują zaaranżowane małżeństwo.

- I?

- Zabijają je.

- To może i straszna historia, ale bardziej dla Human Rights Watch niż do *Radia duchów* - odezwała się Alondra.

- No więc chodzi o to. W tej branży działał człowiek, którego znam. Dobrze mu szło, dostarczał narzeczone na całych żółtych wyżynach i podtrzymywał tradycję wszystkimi środkami. Kupował młode kobiety za dziesięć do dwunastu tysięcy juanów, czyli około tysiąca trzystu do dwóch

tysięcy dolarów, i sprzedawał ich zwłoki za dwa razy tyle. Czy nawet lepiej, razem ze swoimi współnikami porywali prostytutki i dziewczyny z innych prowincji i je zabijali. Kiedy popyt na trupy był niski, zajmowali się kilkoma młodymi kawalerami, a potem zapewniali biedakom duchy narzeczone. No i ten człowiek zadzwonił do mnie do domu, do San Francisco. Potrzebowałem pieniędzy, a on zaproponował mi ich dużo. Zgodziłem się, więc ściągnął mnie do Chin, kraju moich przodków, że-  
bym mu pomógł.

- Jak poznałeś tego człowieka?

To mój wuj. Tak czy inaczej w zeszłe lato mieliśmy pełne ręce roboty. Ja zajmowałem się głównie stroną biznesową; on i jego współnicy narze-  
czonymi. Ale kiedyś wuj kazał mi jechać na odludną farmę w Mongolii, żeby kupić dziewczynę imieniem Li. Wyjaśnił, co mam zrobić, a ja nie-  
długo potem znalazłem się w chacie jej rodziny, ubijając interes z jej  
ojcem. Powiedziałem, że ożenię się z jego córką; w końcu doszliśmy do  
porozumienia. Zapłaciłem jedenaście tysięcy juanów i zabrałem ją ze  
sobą. Już przy pierwszym spotkaniu poczułem obrzydliwy smród mleka  
jaka.

Kiedy tylko ruszyliśmy w długą podróż powrotną, powiedziała:

- Wiem, co chcesz ze mną zrobić.

Starłem się zachowywać jak wuj i ignorować ją, ale czułem się nie-  
swojo. Kiedy wróciliśmy do domu, związałem Li i zadzwoniłem do wuja,  
żeby się nią zajął, ale powiedział, że jest zajęty i że mam to zrobić sam.  
Zemdliło mnie, ale zebrałem się na odwagę i udusiłem dziewczynę. To  
była preferowana metoda zabijania, bo nie uszkadzała ciała. Wsadziłem  
ją do wielkiej skrzyni z lodem i następnego dnia pochowano ją z jej du-  
chem narzeczoną. Zazwyczaj na tym historia się kończyła. Ale tej nocy  
usłyszałem dziwne dźwięki, które dobiegały ze skrzyni. Wziąłem kij i  
podkradłem się tam, myśląc, że do środka dostał się szczur albo coś  
takiego. Ale kiedy tylko ją otworzyłem, ze środka jak diabeł z pudełka  
wyskoczyła Li. Upadłem w tył, przerażony. Jej duch stał przede mną i  
przemówił:

- Odrzucam mojego narzeczonego, już wybrałam innego. - Zbliżyła  
się do mnie. - Wybrałam ciebie. - Smród sfermentowanego mleka, bijący  
z jej ust, był nie do zniesienia. Zerwałem się i wybiegłem z krzykiem z  
domu, ale zapach się do mnie przykleił. Ciągnął się za mną w pociągach i  
autobusach, którymi jechałem do Pekinu, i w samolocie do San Franci-  
sco. Pasażer, który siedział obok mnie, poprosił stewardesę, żeby go  
przesadziła, bo tak śmierdziałem. Nie obchodziło mnie już, co ludzie

mówią, bo moje ciało powoli gnęło, rozkładało się, narządy zmieniały mi się w papkę. Mam dopiero trzydzieści dwa lata, ale kiedy wróciłem do Stanów, wyglądałem na sześćdziesiąt. Ledwie widziałem na oczy i nie mogłem powstrzymać drżenia rąk. Kiedy tylko odwracałem się, kątem oka widziałem Li. Pojechałem do domu, ale za bardzo się bałem, żeby być sam. Za resztkę pieniędzy wynająłem pokój w hotelu. Włączyłem wszystkie światła, telewizor i radio, które kupiłem. Siadłem na fotelu plecami do ściany, mając nadzieję wbrew nadziei, że będę bezpieczny przed Li.

Nic z tego. Zdałem sobie sprawę, że Li leży sztywno na łóżku. Strach mnie ogarnął, ale się nie poruszyłem. Powiedziała tylko:

- Będę tu na ciebie czekać. - Byłem tak wyczerpany, nieszczęśliwy i pozbawiony nadziei, że siedziałem tak, patrzyłem na nią i wiedziałem, że w końcu będę musiał do niej dołączyć w śmiertelnym uścisku.

- Jak przed nią uciekłeś, Joe?

- Nie uciekłem. Ciągle siedzę w fotelu i patrzę na Li. Chciałem tylko komuś o tym powiedzieć.

Na linii zapadła cisza.

## 29

### OPERACJA POLICYJNA

Pewnej nocy, podczas burzy z piorunami na pustyni północnego Meksyku, Joaquín zmarł i powrócił z martwych.

Brzmiało to jak coś z filmu klasy B, czy nawet horroru bestsellera. Ale te cuda nie zrobiły wrażenia na meksykańskich federalnych. Mimo że Joaquina wyniesiono ze studia radiowego nieprzytomnego i z ciężkimi obrażeniami, śmierdzącego spaloną skórą, przykuli go kajdankami do noszy. Na wszelki wypadek.

Protesty paru lekarzy nic nie dały, był przykuty do łóżka albo do rur przez większość czasu między przybyciem na intensywną terapię a przydzieleniem mu osobnego pokoju.

W poprzedni weekend Irineo Pantoja był na pogrzebie dwóch swoich funkcjonariuszy. Wiedział, że toczy przegraną walkę. Nie miał możliwości ani odwagi stawić czoła kartelom narkotykowym, które wykorzystywały jego miasto jako kanał przerzutowy towaru do miast USA. Pantoja został komendantem policji z braku innych kandydatów. Jeden po drugim wszyscy najdzielniejsi, najzdolniejsi policjanci, ci, którzy nie wzięliby łapówki, zostali zamordowani. Jemu szczęśliwie udało się przeżyć kilka zamachów. Przyzwyczaił się do żegnania z własną twarzą przed lustrem co rano, bo wiedział, że może jej już nigdy nie zobaczyć.

Kiedy o pierwszej czterdzieści poinformowano go, że ktoś przejął uniwersytecki radiowęzeł, wyskoczył z łóżka. To znak, pomyślał. Kilka minut później przyjechał po niego patrolowiec i komendant popędził objąć dowodzenie operacją. Według wręczonego mu raportu ludzie odpowiedzialni za zajęcie stacji byli muzykami rockowymi, „prawdopodobnie *gringos*”, którzy tylko „wyglupiali się”. Nie podzielał takiej opinii. Zdaniem Pantoi to dywersja i za tym stali jego wrogowie, chcieli go upokorzyć. Nie można brać pod uwagę włamania ani gówniarskiego wyglupu. To siły zła próbowały przejąć władzę nad miastem.

Komendant dostrzegł w tym szansę, może ostatnią, by pokazać narkotykowym bossom, że nie mogą traktować jego miasta jak swojej piaskownicy. Postanowił nie czekać, nie negocjować. Podwładni byli zaskoczeni, ale nikt się nie sprzeciwił, kiedy nadszedł rozkaz:

- Strzelać, żeby zabić; to są wyjątkowo niebezpieczni przestępcy. Niech sanitariusze czekają w pogotowiu.

Nikt mu nie uwierzył, ale większość jego agentów i tak była przygotowana na strzelaninę. Paradoksalnie zamiast kul przywitała ich eksplozja wywołana przez krótkie spięcie, które poraziło Gabriela i Joaquina.

Kilka godzin później Pantoja wydał oświadczenie dla mediów. Stwierdził, że ocalały, którego nazwisko i tożsamość pozostawały nieznane, był międzynarodowym płatnym zabójcą; potwierdził, że został wynajęty przez kartel znad Pacyfiku i że włamanie do stacji radiowej to część spisku mającego na celu przejęcie rozgłośni radiowych. Dalszych wyjaśnień nigdy nie udzielono.

Media nie zakwestionowały tej absurdalnej logiki. To była niezła historia, więc ją puściły.

# 30

RATUNEK

Kiedy Joaquin otworzył oczy w szpitalu, spodziewał się, że lada chwila zobaczy Gabriela, poparzonego, w kiepskim stanie, ale żywego. Wyobraził sobie, jak Gabriel się uśmiecha i rzuca jakiś dowcip, że „znów im się udało”. Gabriel oczywiście nie żył. Joaquin o tym wiedział. Ale nie mógł pozbyć się wrażenia rychłego spotkania.

Wiedział to od chwili, kiedy skok napięcia oderwał go od ziemi w studiu. Jednak nikt go oficjalnie nie poinformował. I tego się trzymał, wbrew nadziei mając nadzieję, że ktoś przyjdzie i powie, że Gabriel jednak nie zginął. Wiedział, że to bezsensowna fantazja, ale tylko to jedno dodawało mu sił.

Kiedy ocknął się po raz pierwszy, odkrył, że nie może mówić. Z zabanżowanymi rękami nie mógł też pisać. Dostał ataku hysterii; kilku pielęgniarzy musiało go przytrzymać i podać mu środek uspokajający. Potwierdziło to krążącą po szpitalu plotkę, że Joaquin jest brutalnym mordercą.

Nie wiedział, w jakim stanie są jego ręce ani czy kiedykolwiek jeszcze będzie ich mógł używać. Wiedział, że po porażeniu prądem można stracić kończyny; słyszał kiedyś o człowieku, który stracił ramię; wyobrażał sobie najgorsze. Lekarze często rozmawiali przy nim otwarcie, jakby ich nie rozumiał. Jeden powiedział, że „na pewno ma poranione pieprzone struny głosowe”.

Joaquin rozpaczliwie chciał wrzeszczeć, ale podrażniał sobie tylko gardło i dostawał gwałtownych napadów kaszlu; obojętni lekarze skakali wokół niego i rzucali obsceniczne żarty, a dwie pielęgniarki wyły ze śmiechu. Zdezorientowany Joaquin czasami przyłączał się do ich wesołości. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, myślał, Blizny na Strunach Głosowych to niezła nazwa dla kapeli.

Któregoś dnia odwiedził go Pantoja. Joaquin przez cały ranek szarpał się z kajdankami, otwierając na nowo otarcia na nadgarstkach. Pantoja towarzyszyło dwóch policjantów. Chcieli wiedzieć, jak Joaquin się nazywa, gdzie mieszka i gdzie ukrywają się jego wspólnicy. Żądali, żeby się przyznał.

- Lepiej przyznaj się teraz. Im dłużej zwlekasz, tym bardziej będzie bolało - zachęcał z uśmiechem przeshuchujący.

Pantoja milczał, wpatrując się w Joaquina. Ten zastanawiał się, co komendant może sobie myśleć. Oczy Pantoi były obojętne i zimne. Z jego spojrzenia nie dało się nic wyczytać. Patrzył gdzieś za niego... przez niego. Stał nieruchomo, czekając, podczas gdy podwładny kontynuował przesłuchanie. W pewnym momencie...

- Zostawcie mnie z podejrzanym sam na sam - powiedział spokojnie dwóm policjantom.

Kiedy wyszli, Joaquin zobaczył sugestię ożywienia w oczach Pantoi.

- Kim ty jesteś? - spytał komendant.

Joaquin spróbował odwzajemnić jego lodowate spojrzenie.

- Zadałem ci pytanie.

Joaquin nawet nie mrugnął. Nie ty jeden tak potrafisz, pomyślał, starając się zawrzeć w spojrzeniu trochę wrogości. Wiedział, że jego oczy nie mogą się równać ze stalowymi ostrzami Pantoi, ale miał nadzieję, że nadrobi to milczącą biernością.

Komendant wytrzymał jego spojrzenie dłuższą chwilę, potem odwrócił się i wyszedł.

Joaquin westchnął, zadowolony z tego małego zwycięstwa. Ale zaraz przyniotła go miazdząca dziwność sytuacji. Był ranny, cierpiący i oskarżony o przynależność do kartelu narkotykowego. Jedyne, czego chciał, to opłakiwać Gabriela, ale okoliczności mu na to nie pozwalały. Musiał stoczyć nową walkę. Ale może Gabrielowi by się to spodobało. Nigdy nie lubił ekliwoci. Ta sytuacja byłaby nowym wpisem w jego polaroidowym pamiętniku. „Joaquin groźny przestępca”. Myśl o tym sprawiła, że poczuł się znów żywy. Bezczelna, żartująca dusza Gabriela wydawała się bardzo blisko.

Odetchnął głęboko. Ale nie z ulgą czy satysfakcją; tak bardzo chciałby mieć z kim porozmawiać.

W przeciwieństwie do poprzedniego pobytu w szpitalu, tym razem Joaquin nie doczekał się przyjaznych uczuć od personelu. Pielęgniarki, które przynosiły mu jedzenie, nie odzywały się ani słowem. Zostawiały tacę i czmychały, jakby miał jakąś straszną, zaraźliwą chorobę. Czasami udawał, że śpi, i słyszał, jak szeptały, że zdaniem policjantów jest groźnym przestępcą, handlarzem narkotyków, tacy jak on obcinają ludziom głowy, mordują całe rodziny, młotki i piłki do metalu to dla nich narzędzia do katowania ofiar. Jedna martwiła się nawet, że oddział zabójców uzbrojonych w AK-47 wpadnie do szpitala, siejąc ogniem na wszystkie stroiny; wyważą drzwi, rzucą granaty i zabiją lekarzy, żeby uwolnić swojego

szefa. Pojawiły się nawet pogłoski, że dyrekcja szpitala wystąpiła do miasta, stanu i rządu federalnego o wzmocnienie ochrony.

Nie wiedział, co z nim będzie, ale wiedział, że najważniejsze to chronić swoją tożsamość. Gabriela gliniarze nazywali „szczurem”, cieszyli się ze śmierci miejscowego opryszka; dla Joaquina nie wybrali jeszcze imienia. Wykorzystywali go jako kozła ofiarnego, a on nie był w stanie się bronić. Czekał go co najwyżej długi pobyt w więzieniu o zaostrzonym rygorze, chyba że sytuacja zmieniłaby się diametralnie i władze zrozumiały, że popełniły błąd.

Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu znów mógł chodzić i mówić. Bardzo jednak uważał, by nie zdradzić się nikomu ze swoimi postęпами. Uważał, że daje mu to niewielką przewagę. Czuł się jeszcze osłabiony, ale już planował ucieczkę. Rozważał kilka możliwości: wszystkie tak samo niebezpieczne, nierealne i, co najgorsze, zainspirowane bardziej Houdinim niż rzeczywistością. Myślał, że może uda mu się przebrać za lekarza i wyjść głównym wejściem, a może uciec przez okno po linie ze związanych prześcieradeł.

Starał się wychwytywać chwile, kiedy nie był obserwowany przez strażników ani skuty kajdankami czy związany. Najlepiej rokowały wizyty w łazience. Za każdym razem, kiedy miał taką szansę, sprawdzał, na ile mu strażnicy pozwolą korzystać ze swobody. Niestety, nie mógł liczyć na ich pobłażliwość czy nieuwagę; z każdym dniem strażników przybywało, a ostatnio pojawili się nawet policjanci z elitarnej jednostki, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach, z pistoletami maszynowymi i twarzami ukrytymi w kominiarkach.

Któregoś ranka, kiedy jadł śniadanie, usłyszał w korytarzu wybuch. Pomyślał, że pewnie coś wyburzają w związku z remontem. Potem nastąpiła druga eksplozja, głośniejsza, bliżej jego pokoju, rozległy się krzyki i wystrzały. I znów wybuchy.

Zza drzwi dobiegały przeraźliwe wycie, wykrzykiwane rozkazy i wołanie o pomoc, przefiltrowane przez piski i trzaski krótkofalówek. Instynktownie zeskoczył z łóżka, ale zatrzymały go kajdanki; obręcze wpiły mu się w nadgarstki. Szarpał się, próbując uwolnić, a odgłosy walki były coraz bliżej.

Dochodziły dzikie, zwierzęce wrzaski. Nie czyste i swobodne, jak w filmie akcji, ale pomieszane, rozpaczliwe i odrażające. Powiedziały Joaquinowi dwie rzeczy. Po pierwsze: za drzwiami jego pokoju ludzie walczyli o życie. Po drugie: zbliżali się w jego stronę.

Joaquin spróbował ocenić sytuację. Kim byli ci ludzie? Dlaczego walczyli? Ale odgłosy z korytarza mąciły umysł, rozbijały racjonalne myśli, zastępując je tylko pragnieniem przeżycia. Wrzasnął, znów szarpnął pęta, i znów bez skutku. Nie był Houdinim. Nie miał żadnej drogi ucieczki. Opadł na poduszkę i zamknął oczy, zrezygnowany.

Leżał, pozwalając myślom dryfować, aż nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Odwrócił się, lekko rozchylił powieki i zobaczył mężczyznę z pistoletem maszynowym.

Zamknął mocno oczy. Słyszał stukanie butów, a potem głos:

- Przyszliśmy po ciebie.

Wydawało mu się, że rozpoznaje ten głos, ale nie miał pewności. Był tak przerażony, że nie śmiał spojrzeć nieznajomemu w twarz. Nie otwierał oczu. Usłyszał brzęk kluczy i chwilę później kajdanki spadły na podłogę.

- Otwórz oczy, durniu, i ubieraj się.

Joaquin posłuchał, ale nie chciał patrzeć na wybawiciela. Mężczyzna rzucił mu plecak.

- Ubieraj się.

Zdezorientowany Joaquin wyciągnął z plecaka spodnie i koszulę, kręciło mu się w głowie tak, że ledwie stał. Natychmiast rozpoznał rzeczy. Należały do Gabriela. Kiedy wkładał koszulę ostrożnie, ze względu na bandaż, drzwi się otworzyły. Wpadło trzech policjantów, celując z broni we wszystkie strony. Joaquin rzucił się na ziemię, zakrył twarz rękami. Policjanci jeden przez drugiego wykrzykiwali:

- Nie ruszaj się!

- Ręce do góry!

- Na ziemię! Już!

Przez palce Joaquin zobaczył, jak każdy z nich kryje jedną flankę. Szli przez pokój krok po kroku, z palcami na spustach. Potem wycelowali w niego.

- Gdzie facet, który cię uwolnił?

Joaquin nie miał pojęcia, gdzie się podział jego wybawca, ale był pewien, że nie mógł uciec daleko. W tym momencie wszedł Pantoja w towarzystwie agenta.

Policjanci odsunęli się na bok, przepuszczając go.

- Gdzie on jest? - zapytał komendant.

Joaquin uniósł głowę, żeby na niego spojrzeć. Dostał kopniaka w żebra.



- Nie ruszaj się, dupku! - syknął któryś policjant.

Wtedy właśnie padł pierwszy strzał. Policjant, który kopnął Joaquina, runął na ziemię; z jego szyi tryskał strumień krwi. Reszta rzuciła się szukać osłony, strzelali na oślep; jakiś gliniarz popchnął Pantoję w rozpaczliwej próbie znalezienia kryjówki. Komendant upadł na plecy, a kiedy próbował wstać, dostał kulę w ramię. Kakofonia wystrzałów i wrzasków była ogłuszająca. Jeden policjant dostał w twarz, drugi w nogę. Joaquin wpełzł pod łóżko. Stamtąd zobaczył policjanta rzuconego rykoszetem o ścianę. Z grymasem bólu i rozpaczyny mężczyzna osunął się na ziemię, zostawiając smugę krwi. Drgnął kilka razy i znieruchomiał. Nie pozostał nikt na nogach i ten, który strzelał, znów się pojawił.

- Lepiej stamtąd wyjdź, bo cię pogryzą myszy - powiedział.

Ale Joaquin był jak sparaliżowany. Spod łóżka widział tylko nogi zabójcy, gdy ten podchodził do Pantoi. Komendant z trudem łapał powietrze, jedną ręką przyciskał ranę, żeby zatamować krwawienie. Joaquin wyraźnie widział jego twarz; jej wyraz zmienił się szybko z bólu, przez wściekłość, do przerażenia.

- Tak, Irineo. Niedługo przestanie boleć. Wiedziałeś, wiedziałeś od początku, jaki będzie ten dzień. Dziś rano przed lustrem wreszcie miałeś rację. To chyba kiepsko, wiedzieć, kiedy wszystko się skończy?

Joaquinowi wydawało się, że rozpoznaje głos Gabriela, ale był zbyt przestraszony, żeby ufać swoim zmysłom.

Nieznajomy wycelował Pantoi w czoło i strzelił trzy razy. Joaquin nie chciał na to patrzeć. Zamknął oczy i czekał. Po chwili czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

- Idziemy - rzucił zabójca.

Joaquin wciąż miał zaciśnięte oczy. Kiedy otworzył, umyślnie patrzył w inną stronę. Chciał dać do zrozumienia temu człowiekowi, że nie widział jego twarzy, a więc nie mógłby go rozpoznać, gdyby znów go złapał, poza tym bał się spojrzeć w oczy komuś, kto był zdolny do takiej przemocy i mówił jak Gabriel. Nie wyobrażał sobie nigdy, że ten strach, który wtedy wydawał mu się tak irracjonalny, w końcu stanie się uczuciem tak znajomym.

Idąc obok strzelca, Joaquin powtarzał sobie niczym mantrę: „Gabriel nie zabijał ludzi, Gabriel nie należał do kartelu, Gabriel nie żyje”, jakby w ten sposób mógł zgnieść swoje myśli. Myśl o ucieczce ze szpitala z pomocą zabójcy była szokująca, nawet bez dodatku lęków metafizycznych.

Zabójca włókł Joaquina korytarzami. Nieustający hałas i krzyki wzmagało wycie syren. Joaquin nie mógł iść, nękały go zawroty głowy, ból i mdłości. Zwężiło mu się pole widzenia. Mdał. Nie rozumiał, dlaczego nikt nie próbuje ich powstrzymać. Kilka chwil później poczuł światło słońca.

Byli na zewnątrz, szli chodnikiem. Mężczyzna wepchnął go do chevy suburbańskiej, czekającego przy krawężniku z włączonym silnikiem. Powiedział coś do kierowcy, zamknął drzwi i samochód ruszył. We wstecznym lusterku Joaquin zobaczył plecy zabójcy, który spokojnie odchodził. Nikt za nim nie biegł.

Wyczerpany, zdołał tylko powiedzieć:

- Obudźcie mnie, kiedy dojedziemy.

Nie miał pojęcia, dokąd jadą.

## 31

### POWRÓT DO MIASTA PAŁACÓW

Joaquin spał kilka godzin. Kiedy się obudził, pierwsze co zobaczył za oknem terenówki, to napis: „Witamy w Mexico City”.

Ale Meksyk był inny, niż go zapamiętał. Stolica zmieniła się w wielkiego, nieopisywalnego potwora, bezkształtną masę szarości i ochry. Miasto z dzieciństwa Joaquina zniknęło, pogrzebane pod górą toksycznego śluzu. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Wyglądało to jak krajobraz z gorączkowego snu.

Po śmierci rodziców tęsknił do stolicy; śnił o domu, szkole, Zocalo, dzielnicy Zona Rosa. Wyobrażał sobie uczucia, które by go przenikały: nostalgię, strach, może rozkosz. Ale teraz, wjeżdżając na ulice swojego miasta, był tylko zmęczony i głodny.

Kierowca podał mu butelkę wody. Po kilku łykach Joaquin mu się przyjrzał. Mężczyzna miał krótko przycięte włosy, skórę w kolorze cynamonu i niebieskie oczy; prowadząc, przypalał papierosa od papierosa.

Jego komórka kilka razy zadzwoniła; zerkał na nią, ale nie odbierał.

Joaquin nie chciał się do niego odzywać. Nie wiedział, co łączy tego człowieka z zabójcą, ale domyślał się, że jest jego podwładnym. Bez wątplenia innym zabójcą, który chwilowo został oddelegowany na mniej ważne stanowisko szofera.

Joaquin podczas pobytu w szpitalu przyzwyczał się do milczenia. Milczenie było dobre, powtarzał sobie. Milczenie było otuchą. Milczenie było jego nową religią.

Oczywiście nie powstrzymywało to gonitwy jego myśli. Nie mógł opędzić się od pytań: Dlaczego został uratowany? Kim są ci ludzie? Do kąd go wieziono? Nie było sensu pytać kierowcy; Joaquin czuł, że jego jedyną przewagą jest zachowanie w sekrecie swojej tożsamości. Jeśli narkotykowi bossowie brali go za kogoś innego, znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyby się okazało, że przechwycili niewłaściwego człowieka. Nie sądził, by wykonawcy zlecenia zareagowali spokojnie, kiedy by się wydało, że popełnili błąd. Co więcej, podczas jego uwalniania zginęli gliniarze, i licho wie kto jeszcze, i Joaquina dręczyło poczucie winy.

Z drugiej strony, nie wątpił, że ktokolwiek to zrobił, działał z wielką determinacją. Po wydarzeniach w szpitalu Joaquin wiedział, że to nie zabawa, wiedział, że dla tych ludzi musi być w jakiś sposób cenny. Jego jedynym pocieszeniem było to, że nikogo nie skrzywdził i że w pewien sposób też stał się ofiarą tych potwornych zbrodni.

Wyglądał przez okno terenówki na miasto pełne blizn, pełne smutnych budynków bez wyrazu. Gdzie się podziało sławne Miasto Pałaców, pełna kwiatów stolica ogrodów i majestatycznych budowli? Może Meksyk z jego wspomnień nigdy tak naprawdę nie istniał: był tylko dziecięcą fantazją, która z biegiem lat rozrastała się, w końcu nabierając mitycznych proporcji. Rozczarowało go to, nawet zdruzgotało. Ale w tej chwili miał większe zmartwienia.

Tak jak w szpitalu wciąż obmyślał sposób ucieczki, teraz rozważał kwestię, jak wyskoczyć z jadącego samochodu - może powinien pocze-kać, aż znajdą się na zatłoczonej ulicy, wyskoczyć na światłach i zgubić się w tłumie? Zastanawiał się, czy kierowca strzelałby w tłum. Potem przypomniał sobie szpital i jego wątpliwości wyparowały. Ci ludzie byli zdolni do wszystkiego.

Przejeżdżali ulicami wyglądającymi znajomo. Stopniowo, mimo ruchu, okropnego zanieczyszczenia i dzieci myjących szyby samochodowe na rogach ulic Joaquin poczuł się znów u siebie. Kiedy zbliżyli się do

śródmieścia, Alamedy, Pałacu Sztuk Pięknych, Pałacu Górnictwa i innych atrakcji z pocztówek, poranione megalopolis odzyskało swoją tajemniczość i czar. Joaquin poczuł się pewniej. Nie mogło go tu spotkać nic złego; nawet kartel narkotykowych bossów i morderców nie mógł go skrzywdzić na tych ulicach. To było jego miasto. Tu mógł być królem. Myśli te dodały mu otuchy i pomogły zachować spokój, nawet kiedy terenówka wjechała w wąskie, kręte uliczki niedaleko Placu Garibaldiiego.

Nagle kierowca zatrzymał samochód. Wyłączył silnik i zapalił papierosa.

- Jesteśmy.

Joaquin popatrzył na niego i kiwnął głową, jakby wiedział, o co chodzi.

- Masz iść do tego hotelu, tam. Nie wychylaj się przez kilka dni, może tygodni. Nie zwracaj na siebie uwagi. Najprawdopodobniej niedługo przestaną cię szukać. W końcu masz szczęście: nic o tobie nie wiedzą.

- To wszystko? - spytał Joaquin, nie mogąc się już dłużej powstrzymać od mówienia.

- Nie martw się - mruknął kierowca zza chmury papierosowego dymu. - Ktoś pilnuje ci pleców.

Joaquin chciał zapytać, co to znaczy, ale mężczyzna wyłączył już silnik terenówki. Jego spojrzenie powiedziało Joaquinowi, że nie ma dla niego więcej czasu.

- W hotelu spodziewają się ciebie.

Joaquin wysiadł; wiedział, że może teraz iść dokądkolwiek zechce. Rozważył możliwości. Oddalając się od samochodu, pomyślał, czy nie poszukać domu jakiegoś przyjaciela czy krewnych, ale nikt nie przychodził mu do głowy, więc poszedł w stronę hotelu. Kierowca krzyknął za nim na pożegnanie:

- Skontaktuję się z tobą, kiedy przyjdzie pora!

Zasunął szybę i odjechał.

Joaquin wszedł do hotelu i znalazł recepcję. Stary mężczyzna dał mu klucz.

- Pokój 303. Powiedzieli mi, że musisz odpocząć.

- Tak, muszę się położyć. Ale najpierw coś bym zjadł. - Potem przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy.

Jakby czytając mu w myślach, starzec dał mu grubą kopertę.

- Zostawili to dla ciebie.

Joaquin otworzył ją dyskretnie i zobaczył plik nowiotkich pesos, związanych grubą gumką. Była też karteczka:

„Bierz. Oddasz później”.

Bez podpisu. Ale Joaquin nie mógł pozbyć się natarczywego, niewytłumaczalnego wrażenia, że w tym wszystkim maczał jakoś palce Gabriel. Teraz jednak myślał tylko o jedzeniu i odpoczynku. Nie marnując więcej czasu, schował pieniądze do kieszeni, wziął klucz i poszedł do restauracji.

## 32

### FLUKTUACJA KWANTOWA

**Rzeczywistość** nie jest moim przyjacielem.

- Świetny tekst na otwarcie. - Joaquin się zaśmiał.

- Być może... ale nie najlepszy sposób na życie - powiedział dzwoniący; w jego głosie było słyhać kontrolowaną rozpacz.

Joaquin rozpoznał ten ton.

- To był śmiech współczucia. Rzeczywistość nie jest też moim przyjacielem. - Miał nadzieję uspokoić tym dzwoniącego.

- Nie mogę jej ogarnąć. Najczęściej po prostu godzę się z tym, że jestem szalony, marzę o dniu, kiedy obłęd opanuje mnie do końca i wszystko unicestwi.

- Co konkretnie się dzieje?

- Zaczęło się od moich mebli. Codziennie rano budziłem się i widziałem, że się zmieniły. Jednego dnia miałem skórzaną kanapę. Następnie to był jakiś badziewny tapczan z wyprzedaży. Stoły, krzesła, obrazki na ścianach, wszystko się zmieniało. Jednego dnia nie miałem mebli w ogóle: tylko materac na podłodze sypialni i kilka starych lamp w innych pokojach. I nieważne, jakie meble znajdowałem rano, zawsze wyglądały znajomo. Pamiętałem ich historię. Przyjaciela, który pomagał mi je wybrać albo wnieść po schodach, czy coś takiego.

Joaquinowi podobał się głos dzwoniącego: spokojny baryton. Idealny do radia. Żałował, że więcej dzwoniących nie ma takich głosów.

- Ale pamiętam też stare meble. W tej chwili mam ponad sześćset różnych wspomnień urzędnika mojego mieszkania, wszystkie z tego samego tygodnia: tego, kiedy się wprowadziłem.

- I co było potem?

- Zaczęło się to rozszerzać na inne dziedziny mojego życia. Najpierw z przyjaciółmi: budziłem się i miałem zupełnie inny krąg przyjaciół. A czasami przyjaciele, którzy jednego dnia nie żyli, następnego żyli. Czasami byłem żonaty, czasami kawalerem. Zdarzało się, że nawet gejem. A wszystkie te fakty wiązały się z odrębnymi wspomnieniami... z żyć, które przeżyłem... ale których nie przeżyłem. Potem poszła cała reszta: prace, rodziny, nawet miasta, które nazywałem domem. Wszystko się zmieniało. Wszystko. Codziennie budziłem się w zupełnie innym życiu i kładłem się spać, wiedząc, że rano zastanę nowe. W zeszłym tygodniu jeden dzień spędziłem w celi śmierci.

Człowiek, który żył w stanie czystej kwantowej fluktuacji. Joaquin nigdy nie spotkał kogoś takiego. Nigdy nie miał takiego telefonu. Zawsze cieszył się, kiedy znajdował taki kasek dla swoich słuchaczy. Nawet jeśli ten facet kłamał, to i tak wymyślał fajną historię. To było świetne radio.

- Ostatnio zrobiło się jeszcze gorzej. Poprzednio jedna rzeczywistość utrzymywała się przez cały dzień. To była moja niewielka pociecha. Ale kilka dni temu to się zmieniło. Teraz zmiany zachodzą nagle. Z trudem się orientuję z minuty na minutę, kim jestem i gdzie jestem. A przy tym jakaś część mnie to wszystko wie.

Joaquin westchnął. To się robiło nużące.

- Jack, podoba się nam twoja historyjka. Ale nie możesz bez przerwy dzwonić i jej opowiadać. W tym miesiącu dzwoniłeś z nią już trzy razy.

- Wiem. Przepraszam. Ale kiedy zaczęliśmy tę rozmowę, nigdy przedtem nie dzwoniłem; przed dzisiejszym wieczorem nigdy nie słuchałem *Radia duchów*.

- Niezłe zagranie. Ale nic z tego. Zadzwoń, kiedy zdarzy się coś nowego, Jack.

- Nawet się nie przedstawiłem.

W słuchawce zapadła cisza.

Joaquin napił się kawy i uśmiechnął. Lubił telefony Sama i jego cotygodniowe meldunki o zmieniającej się rzeczywistości. Miał nadzieję, że zadzwoni jeszcze raz. *Radio duchów* potrzebowało więcej takich dzwoniących jak Bert. Miał nadzieję, że następnym razem, kiedy Tim zadzwoni,

da do telefonu swoją żonę Phyllis. Sarah też robiła dobre radio. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie zadzwoni.

## 33

### PANNA WIKIPEDIA I MIEJSKIE LEGENDY

Bywały noce, kiedy nieważne, jak uporczywe były telefony, jak gorące dyskusje i jak łzawe wyznania, nie mogłem się skupić na głosach dzwoniących. Odpływałem, tracąc koncentrację. Mój umysł wędrował, wypełniony myślami niezwiązanymi z programem: o kobietach, z którymi spałem, wspaniałych posiłkach, które jadłem, i chłodnych, letnich wieczorach na plażach Chiapas. Co to było za życie, zestarzeć się w jakimś zapuszczonym radiowym studiu? Zostać radiową instytucją, czy raczej jeszcze jednym obleśnym starym capem, który tkwi na antenie, dopóki nie kofnie? Kiedy tak się działo, wypijałem dziesiątki kaw, przyskałem wodą na twarz, robiłem wszystkie te sztuczki, żeby nie zasypiać. Ale nic nie działało.

No, to nieprawda. Jedno działało zawsze: świetny telefon. Taki, który elektryzował całe studio. Tamtej nocy trochę kręciło mi się w głowie; podejrzewałem, że bierze mnie przeziębienie.

Przyszedł telefon. Nie świetny. Nie elektryzujący.

Gość opowiedział historię o „znajomym swojego znajomego”, który poznał śliczną blondynkę, zabrał ją do klubu, a po kilku godzinach namiętności wypił szampana, w którym rozpuściła jakiś narkotyk. Następnego ranka...

- Obudził się obolały z dziwną blizną na boku, tak? - przerwałem mu.

- O kurde. No tak.

- Bo wycięli mu nerkę, żeby ją sprzedać na czarnym rynku - ciągnąłem ze zniecierpliwieniem.

- Aha.

- To właśnie nazywamy „miejską legendą”, historię przekazywaną ustnie przez naiwną łatwowierność ludzi wierzących w zdanie „przytrafiło się

to znajomemu mojego znajomego” - powiedziałem, kładąc nacisk na ostatnie kilka słów.

- Nie. Naprawdę to się przytrafiło znajomemu mojego znajomego.

- Wszystko może się przytrafić temu mitycznemu znajomemu znajomego, bo zawsze dzieje się to daleko i nie ma jak tego udowodnić. To folklor naszych czasów, nieustanne powtarzanie groteskowych anegdot.

- Nie, to wydarzyło się naprawdę. Nie wierzysz mi?

- Nie sądzę, że są jeszcze ludzie, którzy w te bzdury wierzą. Już to słyszałem, w kilku wariacjach. W jednej z nich piękna kobieta zostawia znajomemu znajomego na hotelowym lustrze wiadomość pod tytułem „Witamy w świecie AIDS” czy coś w tym rodzaju. W innych, jak w tej o znajomym twojego znajomego, chodzi o handel narządami. Gdyby jeden procent tych opowieści był prawdą, ta twoja blondynka byłaby nie tylko aktywnym zagrożeniem, ale autentycznym seryjnym przestępcą. Dlatego nie mam chyba innego wyjścia, jak ostrzec naszych słuchaczy, żeby nigdy, przenigdy nie ufali ślicznym blondynkom, które gotowe są wskoczyć z nimi do łóżka. Na szczęście w prawdziwym świecie, przynajmniej w tym, w którym ja żyję, ryzyko, że to się zdarzy, jest skrajnie niewielkie.

- Nabijasz się ze mnie.

- Tak.

- Rany.

- Nabijałbym się z każdego, kto wierzy w te bzdury. Bo jeśli kupujesz takie opowiadki, nie umiem sobie wyobrazić, jakie jeszcze bzdety twój znajomy i znajomy twojego znajomego ci wcisną. A ludzie tacy jak ja mogą potem przez to ucierpieć. Ludzie, którzy nie są totalnymi kretykami.

- Do pewnego stopnia te opowieści mają dużo wspólnego z dowcipami - wtrąciła Alondra, chcąc rozluźnić atmosferę. - Są przekazywane z ust do ust i możemy powtarzać, co słyszeliśmy, nie musimy cytować źródeł. Ich celem jest wywołanie reakcji. W obu wypadkach jest w nich jakiś morał, jakaś puenta; w dowcipach oczywiście zabawna, a w miejskich legendach przerażająca.

Ale wtrącenie się Alondry nie poprawiło mi nastroju. Wpadłem w coś, co nazywała „spiralą irytacji”: stan rosnącego gniewu, wywołany



tym, że cała planeta spiskuje przeciwko Joaquinowi, żeby doprowadzić go do szału. Czy tak mi się zdaje.

- Gówno prawda. Tak było, to się wydarzyło. A panna Wikipedia niech się nie wtrąca - powiedział dzwoniący.

- Panna Wikipedia? - powtórzyła cicho Alondra, kładąc palec na guziku wyciszenia.

- Z przykrością informuję, że zostałeś nabrany. A skoro już o tym wspomniałeś, nie byłoby źle, gdybyś przed zadzwonieniem zajrzał do Wikipedii. I przy okazji, moja koleżanka Alondra ma doktorat z miejskiego folkloru.

Alondra się skrzywiła. Nie lubiła, kiedy się ją broniło, gdy mogła to zrobić sama, nie lubiła też przechwalać się swoimi osiągnięciami, jakby to były medale.

- Cholerna głupia rura! - krzyknął dzwoniący.

- Innymi słowy, oprócz cierpienia na żalostną, dziecinną łatwowierność, nienawidzisz także kobiet. Opowiedz nam, od czego się to zaczęło. Mama cię nie kochała?

- Straszny z ciebie dupek. Idź i się... - Biiip. Watt wyciął jego ostatnie słowa.

Wdawałem się w takie rozmowy co wieczór, bywało, że kilka razy. Zazwyczaj odpuszczałem, ale czasami traktowałem to osobiście, jakby dzwoniący kłócił się bezpośrednio ze mną, a nie z moim bezcielesnym głosem. Chciałem uderzać, bić, kopać. Chciałem wziąć coś pięknego i to zohydzić.

Tak się właśnie czułem, kiedy zadzwonił telefon na drugiej linii.

- Joaquin, chciałem ci opowiedzieć, co zdarzyło się mnie.

Rok temu urodziło się nasze pierwsze dziecko, Edward. Kiedy miał jedenaście miesięcy, uznaliśmy, że będzie spał sam w swoim pokoju. To trudny moment dla wszystkich rodziców; dopiero po kilku próbach udało się nam wytrzymać jego płacz; nie wbiegaliśmy od razu do niego i nie braliśmy go na ręce. W nocy włączaliśmy elektroniczną niańkę i słuchaliśmy, jak gaworzy, woła nas i w końcu zasypia. Pewnej nocy obudziłem się, słysząc z niańki coś, co brzmiało jak głos dorosłego. Pomyślałem, że żona poszła do dziecka, ale spała obok mnie, a głos, który słyszałem, nie brzmiał jak jej. Mogło mi się to przyśnić, ale i tak poszedłem do pokoju synka. Edward nie spał. Klęczał przy ścianie kojca i trzymał jego

szczebelki. Trochę się przestraszyłem, bo to wyglądało dziwnie. Zazwyczaj, kiedy otwierał oczy, po trzech sekundach zaczynał płakać albo nas wołać. Tym razem zachowywał się zupełnie inaczej. Był spokojny i jakby mnie nie zauważał. Zaskoczyło mnie to, ale codziennie zaskakiwało mnie i martwiło tyle innych rzeczy: jak jadł albo nie, chodził czy raczkował, powtarzał słowa czy bawił się bezpiecznie zabawkami. O tym głosie nie myślałem. Dopóki znów się nie odezwał.

Tym razem nie spałem i słyszałem bardzo wyraźnie: dziwny belkot, składający się w niezrozumiałe słowa. Nie wiem, co to był za język, ale nie mogę zapomnieć jego chrapliwego, nieludzkiego brzmienia. Przez kilka chwil leżałem jak sparaliżowany, nie mogłem wstać czy chociaż się odezwać. Potem pobiegłem do pokoju synka. Zanim jeszcze spojrzałem na kojec, od razu wiedziałem, że stało się coś strasznego. Potem zauważyłem jakby cień, który czmychnął w kąt. A Edwarda nie było. Zacząłem krzyczeć, wzywać pomocy, zupełnie postradałem zmysły. Przybiegła żona i nie wiedząc jeszcze, co się stało, też zaczęła krzyczeć. Nie przestaliśmy szukać, nie poddaliśmy się. Ale wiem, że to, co słyszałem, było głosem kogoś lub czegoś, co zabrało Edwarda.

Milczeliśmy. Każde z nas mogło powiedzieć, że to tylko jeszcze jedna miejska legenda, jeszcze jedna opowieść przekazywana wzdłuż „biologicznych wektorów” przez ludzi, którzy puszczali ją w obieg, wzbogacali, dodawali jej wiarygodności, dołączając uczucia i element spontaniczności. Ale nikt z nas nie skomentował tego w ten sposób, bo wiedzieliśmy, że w tym wypadku tak nie jest.

Wypowiedziałem kilka niezręcznych słów współczucia dla straty dzwoniącego. On już odłożył słuchawkę.

Ton programu w tym momencie się zmienił. Stał się ciemniejszy, poważniejszy i taki pozostał przez resztę nocy. Atmosfera przypominała bardziej dom pogrzebowy niż radiowe studio. Związek między nieludzkim głosem a zniknięciem dziecka - słaby, niewiarygodny i niedający się udowodnić - nie miał siły argumentu, a mimo wszystko trudno było w niego nie uwierzyć.

Brzmiało to jak prawda.

# 34

TELEFON 2412, PIĄTEK, GODZ. 02.15  
LODOWA PUŁAPKA

Chciałem wam opowiedzieć o czymś, co mi się przydarzyło w zeszłym roku. To nie jest historia o duchach, ściśle rzecz biorąc. Chociaż może.

- Brzmi nieźle. Dawaj - powiedział Joaquin.

Z głośników dobiegło przeciągłe westchnienie, a potem dzwoniący zaczął opowiadać.

Całe życie żeglowałem po morzach. Nauczyłem się tego fachu, kiedy byłem mały, od ojca, tak jak on od swojego ojca. Mieszkamy nad lodowatymi wodami bieguna północnego, a odkąd skończyłem szesnaście lat, moim obowiązkiem było sterować ładunkami między olbrzymimi górami lodowymi i krami. Nic mnie bardziej nie ekscytowało; poznałem na pamięć najzdradliwsze szlaki Arktyki. Byłem jednym z nielicznych żeglarzy, którzy wypływają na niewielkich statkach, bez wsparcia satelitów i nawigacji GPS. Kiedy w 1990 roku rozpadł się Związek Radziecki, otworzyły się nowe rynki i dla nas, którzy znaliśmy te wody, pojawiły się wielkie możliwości handlowe. Przestałem pracować dla innych i zdołałem kupić jeden statek, potem drugi. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Chociaż to nie była tylko jego zasługa, raczej tego, że nie bałem się lodu i wybierałem trasy, na które inni nie ważyli się wypływać. Wszyscy w branży uważali mnie za eksperta w żeglowaniu po labiryncie wąskich kanałów między krami Arktyki. Ale chociaż imponowałem kolegom i klientom swoją zręcznością i umiejętnościami, nie mogłem nigdy przekonać swojej żony, że wiem, co robię. Próbowwała wszystkiego, żeby mnie nakłonić do pójścia w ślady konkurencji. Nie rozumiała, że straciłbym w ten sposób swoich klientów i wszystkie przywileje, którymi się cieszyliśmy. Nie rozumiała także, że bardziej niż bodźce ekonomiczne tym, co naprawdę mnie motywowało, była radość mierzenia się z lodem, tworzenie nowych przejść tam, gdzie nikt inny nie śmiał się zapuścić, czucie, jak statek wymyka się zwinnie zmrożonym szczekom lodowców. Chciałem ją przekonać, że nic mi nie grozi, a także, przyznając, chcąc jej zaimponować, zabrałem ją ze sobą w podróż. Nigdy nie pływała po tych wodach ani nie postawiła stopy w arktycznym porcie i była przerażona;

musiałem wykorzystać wszystkie sposoby nacisku, oszustwa i szantażu, jakie można sobie wyobrazić, żeby zaciągnąć ją na pokład. Wkrótce pokazywałem jej, jak potrafię skrócić podróż o cały dzień, przepływając przez szczelinę między krami tak wąską, że wyglądała jak kawałek sznurka. Odgłos lodu trącego o pokład statku zawsze sprawiał mi przyjemność, ale ją oczywiście przejmował strachem. Załoga знаła mnie i mi ufała, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę z nieustającej groźby uwięzienia w lodzie.

Joaquin osunął się głębiej w fotel i zakrył twarz dłońmi, słuchając z zamkniętymi oczami. Nagle jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Od razu zrozumiał, co się dzieje; nie po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Wolno, lękliwie otworzył oczy i zobaczył, że stoi na pokładzie statku. Studio, Alondra, Watt, stacja radiowa, budynek, miasto - wszystko zniknęło. Kapitan patrzył na niego zatroskany. Było zimno. Joaquin nie mógł się poruszyć, w żaden sposób nie mógł kontrolować swojego ciała. Odechnął głęboko, usiłował zachować spokój. Narrator stał kilka kroków od niego, ale patrzył przez niego na wylot. W jego świecie jestem duchem, pomyślał Joaquin, znajdując w tej myśli dziwną przyjemność.

Drugiej nocy po wypłynięciu z portu znaleźliśmy kręty korytarz, który wydawał mi się bezpieczny. Ocenilem, że pozostanie żeglowny przez co najmniej dwie godziny, mogłem więc zaryzykować i oszczędzić sobie kłopotu długiego okrążania go. Kiedy jednak wpłynęliśmy w niego, lód zaczął się przesuwać o wiele szybciej, niż przewidziałem. Rozważyłem możliwości i uznałem, że największą szansę mamy, prąc dalej przed siebie, pełną parą. Żona spała. Statek przez jakiś czas przedzierał się przez lód, ale nagle się zatrzymał. Wszyscy rozbiegli się po pokładzie. Wiedziałem aż za dobrze, co będzie dalej, ale nie mogłem się z tym pogodzić. Dałem całą naprzód. Silnik ryczał i wył, ale statek ani drgnął. Za to lód naparł na nas ze wszystkich stron.

Joaquin patrzył, jak narrator chodzi po pokładzie; widział i słyszał otaczającą ich krę. Wąski korytarz wody zniknął. Lód napierał na burty, które jęczały pod jego naciskiem.

Zbiegłem na dół do żony. Chciałem wierzyć, że lód się zatrzyma, znów się otworzy, ale wiedziałem, że tak się nie stanie. Wszyscy krzyczeli.

Kiedy dobiegłem do kajuty, żona siedziała na łóżku, sparaliżowana strachem. Chciałem ją uspokoić, dodać jej otuchy, ale mogłem tylko bezradnie na nią patrzeć. Wszystko działo się o wiele szybciej, niż mogłem to sobie wyobrazić. Okręt zaczął się przelamywać. Chciałem podbiec do żony, złapać ją, ale nie mogłem. Kajuta nagle pękła na dwoje; geometria przestrzeni zmieniła się w jednej chwili. Zmieniła się z mniej więcej sześciianu do równoległoboku przelamanego w połowie. Łóżko wpadło w szczelinę, znikając pod wodą. Schody, na których stałem, wypchnęło w górę, aż nogi zaklinowały mi się między deskami. Słyszałem, jak wokół mnie gniecie się kadłub. Brzmiało to jak krzyk i sprawiało wrażenie, że olbrzymi morski potwór powoli nas wszystkich pożera. Bestia znów wrzasnęła, deski przesunęły się i pękły, wypychając mnie w górę. Wtedy coś poczułem... jakby wielkie palce owijające się wokół mnie.

Wokół Joaquina strzeliły deski pokładu, spadł deszcz drzazg. Usłyszał grzmot wybuchów pod pokładem, wibrującym pod jego stopami. Niektórzy marynarze wyskakiwali przez relingi, prosto na lód. Znali niebezpieczeństwo. Nie przeżyliby dłużej niż minuty, gdyby wpadli do lodowatej wody.

Jeszcze jedna eksplozja zakołysała statkiem. Joaquin upadł. Podewiał się i pobiegł do relingu. Kapitan leżał na lodzie, z bezładnie rozrzuconymi nogami. A od niego odsuwał się jakiś cień... cień czegoś na kształt ramion. Statek przechylił się, wyrzucając Joaquina za burtę. Joaquin przeकोziołkował w powietrzu i wylądował na lodzie obok kapitana. Potoczył się po zamrożonej powierzchni i znieruchomiał, patrząc w rozgwieżdżone niebo.

Zobaczyłem długie, chude ręce, które wynurzały się z wody. Wiem, że to brzmi głupio, ale chwyciły mnie i rzuciły na lód. To coś mnie uratowało, chociaż nie chciałem być uratowany. To, że nie poszedłem tej nocy na dno razem ze statkiem, że spędziłem dwa dni nieprzytomny na lodowcu, wydaje mi się okrutną karą. Uratował mnie norweski lodolamacz; mojej żony nie znaleziono. Wszyscy członkowie załogi zginęli, nawet ci, którzy przeżyli katastrofę i rozbiegli się po lodowcu. Mówią, że kiedyś będę jeszcze chodzić. Mam taką nadzieję, żebym mógł wrócić do Arktyki. Ale nawet jeśli nie będę mógł, przy pierwszej okazji powlokę się do morza, żeby spłacić dług z tamtej nocy.

Wraz z ostatnimi słowami dzwoniącego pozacielesne doświadczenie Joaquina się skończyło. Arktyczna noc zmieniła się w łagodne światło lamp studia. Oznajmiwszy plan odebrania sobie życia, narrator umilkł. Watt i Alondra oczekiwali, co Joaquín powie. Ale on nie mógł wydobyć głosu, z trudem poruszał rękami; miałby problem z odpędzeniem muchy.

W końcu przemówił:

- Co za straszna historia. Ale fakt, że przeżyłeś, to przywilej, szansa, żeby zacząć od nowa, a nie kara. Nawet kiedy wszystko stracone, nie można się poddawać.

Nie wierzył w ani jedno swoje słowo. Przeciwnie, uważał, że dzwoniący ma rację, ale nie mógł powiedzieć czegoś takiego na antenie. Zresztą dzwoniący pewnie wiedział, że Joaquín kłamie; wiedział to prawdopodobnie cały świat.

Joaquín czuł się otepiały, jakby rzeczywiście przebywał na mrozie bieguna północnego, i drżał - niezauważalnie, ale nie mógł tego powstrzymać. Dzwoniący powiedział, że nie chce umrzeć, nie opowiedziawszy najpierw komuś tej historii. Powiedział, że liczyło się dla niego tylko to, żeby usłyszał ją ktoś jeszcze, żeby nie zniknęła razem z jego żoną i statkiem. Rozłączył się. Watt dał reklamy.

Joaquín wciąż nie mógł opanować drżenia.

- Co z tobą? - Alondra patrzyła na niego z niepokojem.

- Byłem tam, na lodzie. Znów się to dzieje.

- Musisz iść do lekarza.

## 35

### NARODZINY RADIA DUCHÓW

Jest późno i sam nie wiem, co robię. Te sny na jawie zaczynają wyprowadzać mnie z równowagi. Ale dziś wieczorem, zamiast analizować swoją rozchwianą psychikę, wracam myślami do wydarzeń, które doprowadziły do powstania *Radia duchów*.

Zacząło się to w dziwnym okresie mojego życia. Chociaż od śmierci Gabriela minęły lata, widmo tego wydarzenia wciąż nade mną wisiało, zacierając nawet najbardziej pogodne dni.

Mieszkałem w Mixcoac w mieście Meksyk i wykonywałem różne prace w radiu, od zastępcy producenta czy zapowiadacza gości po okazjonalne roboty DJ-a czy prowadzenie talk-showów. Brakowało mi kierunku. Włóczyłem się po nędznych knajpach, wyzywając świat, żeby mnie zaatakował. Oddychałem ciemnością i wszystkim, co się z nią wiązało.

Pięłem co noc, usiłowałem wymazać wspomnienia o Gabrielu, nasze muzyczne ambicje czy wydarzenia, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Byłem odrętwiały i samotny. Ale instynkt wojownika pchał mnie do przodu. Ku mojemu przeznaczeniu.

Właśnie wyszedłem z nocnego klubu i wlokłem się ulicą w poszukiwaniu następnego, kiedy obok mnie zatrzymała się limuzyna. Z okna wychylił się jakiś człowiek i zawołał mnie; głos wydał mi się znajomy. Nie widziałem jego twarzy. Kazał mi wsiąść do samochodu. Wymamrotałem coś, że chcę dalej pić, i odszedłem. Drzwi limuzyny otworzyły się za mną i zanim się zorientowałem, ręce silne jak imadła chwyciły mnie i pociągnęły do samochodu.

Znalazłem się na tylnym fotelu. Mężczyzna przedstawił się jako Szczur, ale przypominał mi jakoś Gabriela.

Nie pamiętam, co działo się przez resztę nocy. Mam niejasne wspomnienia barów, kobiet i bólu. Pamiętam, jak śpiewałem i grałem na jakimś instrumencie. Pamiętam głos Szczura, rozmowy, zachęcanie mnie.

- Twoje życie stanie się prawdziwe. Przeszłość to prolog. Przygotuj się na przyszłość, przyjacielu.

Miałem wrażenie, że w kółko to powtarzał. Ale może powiedział tylko raz. Nie wiem.

Obudziłem się następnego ranka w domu, czując tępy ból ręki. Spojrzałem na nią i zobaczyłem bandaż. Zerwałem go i, wstrząśnięty, zobaczyłem dziwny tatuaż: litery ułożone w dziwny wzór.

W

T

J

SNNBWC

A

W

Niedługo potem zaproponowano mi stałą pracę DJ-a w lokalnym radiu. Pierwszej nocy dostałem telegram:

„Joaquinie,  
Gratuluję nowej pracy. Przeszłość to prolog.  
Szczur”

Kilka miesięcy później dostałem pierwszy telefon o duchach.

## 36

Po co?

Zanim Joaquin poznał Alondrę, spotykał się z Eleną, piękną, robiącą karierę osobowością telewizyjną i była zawodową tenisistką. Poznali się w radiu, podczas trasy promocyjnej. Kiedy tylko ją zobaczył, od razu zrozumiał, że musi się z nią zaznajomić. Niewiele ich łączyło, ale zawsze, podczas każdego sam na sam, było im bardzo dobrze - zwłaszcza za zamkniętymi drzwiami.

Elena, wysportowana i niezwykle zmysłowa, zachwycała urodą, ale nie swoim wnętrzem. Podtrzymywanie z nią rozmowy wyczerpywało cierpliwość Joaquina i za każdym razem popadał w desperację. Krótko mówiąc, układało się między nimi doskonale tak długo, jak długo ich związek pozostawał w łóżku.

Którejś nocy Elena zadzwoniła do niego, przerażona. Powiedziała, że śledzi ją jakiś człowiek, który celuje w nią z karabinu czy jakiejś innej broni z długą lufą. Była niedziela, Joaquin nie musiał iść do pracy. W niedzielą noc, jedną z niewielu w tygodniu, mógł się porządnie wyspać i bardzo sobie ten czas cenił. Nie miał ochoty pędzić na ratunek Elenie czy komukolwiek innemu, o ile nie istniało poważne zagrożenie. W tym wypadku podejrzewał, że nie istnieje, że to atak paniki wywołany chorą wyobraźnią.

- Mimo że pojawiała się na antenie tylko okazjonalnie, jękając się w prognozach pogody w popołudniowych wiadomościach, albo plotła coś w porannych programach, Elena wyobrażała sobie, że ma armię fanów,



którzy dniami i nocami ją śledzą. Wydawało się jej, że kiedy tylko wejdzie do pełnej gości restauracji i zdejmie olbrzymie okulary przeciwsłoneczne, szef sali od razu przygotuje jej specjalny stolik. Tymczasem on tylko rzuciwszy na nią okiem, wpisywał ją na listę czekających.

Elena nie pierwszy raz dzwoniła do Joaquina z czymś takim; kilka razy zrobiła to nawet, kiedy był na antenie. Powiadomiła też policję, która w paru przypadkach zareagowała, ale nie znaleziono rzekomego prześladowcy.

Joaquin miał ochotę powiedzieć jej, żeby poszła w diabły, a potem przewrócić się na drugi bok i zasnąć. Za każdym razem, kiedy ją uspokajał i odkładał słuchawkę, znów dzwoniła. Teraz też. W końcu nie miał innego wyjścia, jak tylko do niej jechać. Zwłókł się z łóżka, wgramolił do samochodu i pojechał. Po kilku godzinach daremnego krążenia po okolicy w poszukiwaniu groźnego nieznajomego z karabinem z lunetą, mógł się pochwalić tylko złym nastrojem i zeszywniałym karkiem. Był zmęczony i gotów powiedzieć Elenie, że ma dość znoszenia jej neuroz. Ale kiedy tylko wszedł do mieszkania, skoczyła na niego i owinęła go ramionami, rozgrzana, jakby miała gorączkę. Joaquin chciał ją odepchnąć, lecz nim zdołał to zrobić, poczuł, że Elena trze o niego biodrami. Chciał się oderwać, lecz nie mógł. Jej zmysłowość go pokonała. Resztę nocy spędzili razem. Uznał, że to uczciwe wynagrodzenie; zdarzało mu się zarywać noce z gorszych powodów. Ale chociaż seks był świetny, Joaquin obiecał sobie, że więcej nie da się nabrać na historyjkę z wymyślnym prześladowcą.

O czwartej rano obudziło go pragnienie. Idąc po szklankę wody, usłyszał dziwny hałas. Kiedy wyrzwał za okno, zobaczył mężczyznę siedzącego na drzewie, ledwie zasłoniętego przez rzadkie listowie; trzymał jakieś urządzenie do nagrywania.

- Sukinsynu! Co ty tam, kurwa, robisz?! - wrzasnął.

Człowiek na drzewie na wpół spał. Kiedy usłyszał Joaquina, stracił równowagę, pośliznął się i zawisł trzy metry nad ziemią, z magnetofonem na ramieniu.

- Zabiję cię, skurwysynu! - Joaquin popędził po spodnie, żeby móc się rzucić w pościg.

Kiedy wybiegł z domu, mężczyzna wciąż zwiisał z drzewa. Joaquin podskoczył i złapał go za nogi; nieznajomy na niego spadł. Kiedy Joaquin leżał, bosy i oszołomiony, mężczyzna rzucił się do ucieczki, ale Joaquin go podciął. Powalony, nie stawił już oporu.

- Nie rób mi krzywdy, nagrywałem tylko audio - powiedział.

- Chyba żartujesz. Każę cię aresztować, cholerny zbrodźcu! Powinieneś być wdzięczny, że nie zadzwoniłem po gliny, jak siedziałeś na drzewie, i że nie nakopię ci do dupy teraz.

Zdyszany usiadł obok mężczyzny, któremu wciąż z ramienia zwisał magnetofon. Domyślił się z jego zachowania, że nie jest to człowiek skłonny do przemocy.

- Wiem, że to źle wygląda, ale naprawdę nie robię nic złego. Zbieram tylko dźwięki.

- Zbierasz dźwięki? - Joaquin był autentycznie zaskoczony.

- Nagrywam odgłosy ludzi, ich ruchów i czynności.

- W tajemnicy?

- To musi być w tajemnicy. Zależy mi na autentycznych dźwiękach.

Oczywiście Joaquin natychmiast to zrozumiał. Duża część tego, co robił z Gabrielem, polegała właśnie na tym: zbieraniu „znalezionych” dźwięków, często potajemnie. Chociaż skupiali się głównie na przyrodzie, owadach, ptakach i zwierzętach, nagrywali też ludzi, maszyny i odgłosy ulicy. I też wpadali przez to w kłopoty.

Kompilowali i klasyfikowali swoje znaleziska, a potem je wyglądali, edytowali i przerabiali, żeby zsampłować. Przez lata zebrali całkiem imponującą kolekcję. Ta dźwiękowa biblioteka była dla nich powodem do dumy i przydawała oryginalności muzyce, którą grali.

Joaquinowi minęła wściekłość; projekt faceta interesował go bardziej niż posłanie go za kratki. To było za wiele jak na zbieg okoliczności; zakrawało na spisek albo czary. Jak to możliwe, że w mieście Meksyk, o populacji liczącej ponad dwadzieścia milionów osób, wśród tysięcy najróżniejszych przestępców Joaquin trafił na takiego samego złodzieja audio, jak on i Gabriel? Szansa na takie spotkanie jest jedna na dziesięć tysięcy? Na sto tysięcy? To nie było nawet nieprawdopodobne. Pomyślał o innych zbiegach okoliczności w swoim życiu. Czasami prawie wierzył, że stoi za tym wszystkim jakaś „niewidzialna ręka”, że jego przeznaczeniem manipuluje ktoś lub coś w jakimś nieznanym celu. Joaquin nie miał daru wiary, ale nie mógł zaprzeczyć, że jego życie rządziło się czasami dziwnymi prawami. Porządek w chaosie. Sens w bezsensie. Przeznaczenie.

Nie pytając o pozwolenie, chwycił plecak swojego jeńca i zaczął przetrząsać zawartość.

- Proszę bardzo, czuj się jak u siebie - powiedział nieznajomy.
- Chcę zobaczyć, co tam masz, jakim sprzętem się posługujesz.

Znalazł kilka magnetofonów i mikrofonów, jeden z nich z potężnym, teleskopowo rozkładanym bomem, który widziała Elena, a także wysokiej jakości słuchawki i notes.

- Mogę? - spytał, podnosząc go do góry.
- Proszę.

Zaczął przerzucać strony pełne notatek i uwag. To był połowy notatnik ze szczegółami nagrań: opisami każdej sytuacji, osoby i pory dnia. Notatkom towarzyszyły schematy sytuacyjne i różne techniczne zapiski. Nieznajomy miał jednolity, wyrobiony charakter pisma; nie wiedzieć czemu, wzbudziło to zaufanie w Joaquinie, który nie mógł sobie wyobrazić, by ktoś, kto pisze tak porządnie, mógł mu zrobić krzywdę.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie to ryzykowne?

- Ale warto.

- Jak wybierasz obiekty? Jak decydujesz, kogo nagrywać?

- Obserwuję ludzi, aż zobaczę coś, co mnie zaintryguje. To może być sposób, w jaki chodzą, jedzą, rozmawiają, śmieją się, cokolwiek. Nie umiem tego wytłumaczyć. Mam bardzo elastyczne kryteria.

- Ale naprzykrzasz się mojej dziewczynie i to się musi skończyć.

- Nie chciałem nikomu się naprzykrzać, tylko zbierałem jej dźwięki. Ona ich nie potrzebuje i nie będzie jej przeszkadzać, jeśli je zachowam.

Joaquin chciał mu wytłumaczyć, że rozumie, że tak naprawdę ma ochotę posłuchać jego zbiorów. Ale pozostał stanowczy.

- Jeśli oddam cię w ręce glin, prawdopodobnie spędzisz noc w areszcie. Skonfiskują ci dźwięki i sprzęt. Mogą ci nawet zakazać zbliżyć się do magnetofonu przez resztę życia.

- Będę trzymać się z dala od twojej dziewczyny. Nie jestem nią zainteresowany, słowo.

- Jeśli ona się o tym dowie, skończysz jeszcze gorzej. Była przekonana, że jesteś jakimś jej szurniętym fanem, jednym z niezliczonych wielbicieli, którzy czatują nocami, żeby tylko przyuvažić ją w nocnej koszuli. I wierz mi, lepiej dla ciebie, żeby tak myślała, bo jeśli do całego tego zamieszania dojdzie jeszcze rozczarowanie, nie spocznie, dopóki nie zostaniesz ukarany.

- Naprawdę mi przykro.

- Przykro nie wystarczy. Do czego używasz swoich nagrań?
- Do tworzenia dźwiękowych krajobrazów.
- Muzyki?
- Tak bym tego nie nazwał. Interesuje mnie budowanie krajobrazów z zastosowaniem różnych warstw audio. Staram się tworzyć minimalistyczne, abstrakcyjne tekstury, gdzie bohaterowie tkają opowieści swoimi ruchami, głosami i hałasami.
- Chyba nie rozumiem.
- To bardzo proste. Wyobraź sobie filmy, których nie widzisz.
- Dużo ich zrobiłeś?
- Kilka. To miesiące ciężkiej pracy, składanie dźwięków, znajdowanie narratywów, ustawianie tła... Krótko mówiąc, to trwa. Ale mam parę gotowych.
- Gotowych do czego?
- Żeby posłuchał ich ktoś oprócz mnie.
- Niech zgadnę: nie masz zbyt wielu przyjaciół?
- Trochę mam.
- Jasne - odparł Joaquin z nieskrywanym sarkazmem. - Pokazałbyś mi swoje prace?
- Pewnie. Teraz?
- Nie, nie teraz. Tworzenie dźwiękowych krajobrazów... Można z tego wyżyć?
- Oczywiście, że nie. Mam normalną pracę jako specjalista obsługi klienta w międzynarodowej korporacji marketingowej.
- I co tam robisz?
- Rozmawiam przez telefon z potencjalnymi klientami dwanaście godzin dziennie, siedząc w sali z trzydziestoma dziewięcioma innymi specjalistami obsługi klienta takimi jak ja. Dzwonię do ludzi w najróżniejszych porach, ale firma każe nam to robić w wyjątkowo niedogodnych momentach. Łatwiej wtedy sprzedać im rzeczy i usługi, których nigdy nie chcieli ani nie potrzebowali.
- Telemarketing?
- Otóż to.
- Podglądacz i telefoniczny drapieżnik. Nie jesteś też przypadkiem seryjnym mordercą ani kanibalem?
- No, nikogo nie zabiłem, taki głodny też nigdy nie byłem.
- Chyba dostrzegam tu prawidłowość. Kręci cię wtrnianie różnych rzeczy ludziom, których słyszysz, ale nie widzisz.

- Chyba masz rację. Nigdy tak o tym nie myślałem. Ale musisz zrozumieć, moja praca w firmie telemarketingowej to nie jest coś, co robię dla przyjemności. Muszę z czegoś płacić rachunki.

- Oczywiście, ale mimo to pewnie nie jest tego warta.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do namawiania starszerek z parkinsonem czy alzheimerem, żeby zainwestowały oszczędności całego życia w akcje firmy farmaceutycznej na dzień przed tym, jak bankrutują.

- Robiłeś takie rzeczy?

- Tego nie powiedziałem.

- Czyli nie robiłeś.

- Tego też nie powiedziałem.

- Jesteś zawodowym oszustem.

- Wszystko, co robię, jest legalne. Niezbyt etyczne czy miłe, ale legalne. Nie łamię prawa; tworzę tylko warunki niezbędne, żeby moi szefowie mogli wykorzystać zaufanie naiwnych i bezbronnych ludzi.

- Obrzydliwe. Rzuć to wszystko i chodź pracować dla mnie.

- Jak? Mam dla ciebie kraść?

- Potrzebuję inżyniera dźwięku do swojego programu.

- Programu?

Joaquin opowiedział mu o *Radiu duchów*. Mężczyzna słuchał z zainteresowaniem.

- Nigdy nie pracowałem w radiu.

- Tym lepiej. Zaczniemy od zera.

- A co z aresztowaniem i twoją dziewczyną?

- Zapomnij o tym. Przestań pracować dla tych naciągaczy, chodź do mnie, i wszystko będzie ci wybaczone. Chociaż będę musiał wymyślić jakąś wymówkę dla Eleny.

- Powiedz jej, że uciekłem.

- Powiem, że ciebie zabiłem, pociąłem na kawałeczki i wrzuciłem do kanału. - Za coś takiego dostałby jeszcze kilka godzin wdzięcznego seksu.

- Jak chcesz.

- Nie, będę musiał jej powiedzieć prawdę. Co znaczy, że prawdopodobnie zostaną bez dziewczyny. Dlatego mam nadzieję, że to co dla ciebie robię, jest tego warte. Masz. - Joaquin dał mu wizytówkę; miał dzięki stacji. - Przyjdź w poniedziałek o ósmej wieczorem, to pogadamy.

- Wiesz, gdybyś chciał jakieś pamiątki po niej, to mam tu trochę...

- Nie przeginaj.
- Dzięki. Naprawdę proponujesz mi pracę?
- Tak. Jak się nazywasz? Ja jestem Joaquin. - Wyciągnął rękę, żeby przypieczętować umowę.
- Ludzie mówią na mnie „Watt”.

## 37

TELEFON 1904, PONIEDZIAŁEK, GODZ. 04.01

TŁUMACZ

To będzie opowieść o mnie - mówił dzwoniący - ale jeszcze bardziej o człowieku, który przez wiele lat był moim przyjacielem, Norbercie Gutermanie.

To wydarzyło się dawno, jakieś dziesięć lat temu, kiedy pracowałem w śródmieściu Nowego Jorku. Wtedy wciąż starałem się zrobić karierę jako menedżer średniego stopnia w Banku Oszczędnościowym Imigrantów. Zazwyczaj pracowaliśmy od ósmej do piątej, ale najczęściej zostawałem dłużej, wiecie, żeby zaimponować szefom. Jeździłem zatłoczonym pociągiem o siódmej rano, a wracałem prawie pustym o ósmej albo dziewiątej wieczorem.

Rzadko miewałem wolny czas, a kiedy już miałem, najczęściej spędzałem go w barach albo w domu, oglądając mecze piłki nożnej w Telemundo. Któregoś niedzielnego poranka, powodowany kaprysem, postanowiłem pójść do Central Parku, sam nie wiem dlaczego. Może dla świeżego powietrza. Wziąłem gazetę, pomyślałem, że może znajdę sobie jakieś przyjemne miejsce na słońcu i poczytam dział finansowy. Idąc ścieżką, zauważyłem mężczyznę, który siedział samotnie przy stole do szachów, odosobnionym na małym placyku pod dwoma dębami. Mężczyzna był chudy, starszy, miał na sobie brązowy garnitur, nieco wytarty, ale czysty, a na kolanach trzymał staromodną teczkę. Chociaż siedział przy stole na dworze, oczami wyobraźni zobaczyłem go w bibliotece - kojarzył się z jej klimatem, z grubymi, oprawionymi w skórę księgami

i boazerią. Można nawet powiedzieć, że przez kanty spodni i wyraźne zmarszczki oraz cienie na twarzy sam przypominał dobrze zachowaną, starą książkę.

Kiedy przechodziłem, podniósł wzrok i pomachał do mnie, co mnie zaskoczyło. Do tej pory ludzie w tym mieście nie byli raczej przyjacielscy, a nie licząc profesjonalistek, do których czasami chadzałem, starałem się unikać kontaktów poza pracą. Przyszło mi do głowy, że może chce mnie okraść. Coś w jego wyglądzie - sylwetka, a może włosy, kręjące się trochę na karku, czy buty - kojarzyło mi się z przedwczesnym bezrobociem, samotnym mieszkaniem i, nie umiem powiedzieć dlaczego, piklami i cebulkami pływającymi w słoju.

Niepotrzebnie się martwiłem. Mężczyzna spojrział na szachownicę przed sobą, z ustawionymi już figurami, i zapytał:

- Zagra pan?

Niewiele brakowało, a pokręciłbym głową i poszedł dalej, ale coś każało mi zostać. Może litość albo ciekawość.

I tak zagraliśmy w szachy. Sprawdził mnie, pozwolił mi na kilka ruchów, a potem pokonał prostym zbiciem hetmana. Powiedział, że nazywa się Norbert. Był polskim imigrantem, z zawodu tłumaczem, specjalizującym się we wschodnioeuropejskiej poezji i historii. Spytałem, czy tłumaczył coś, co mogłem czytać.

- Sądząc po pana wyglądzie, wątpię - odparł.

To było zawstydzające, ale prawdziwe. Nie czytałem porządnej książki od skończenia studiów, a co do poezji, cóż, bajki na dobranoc chyba się nie liczyły.

Naprawdę dobrze się bawiłem, ale w końcu się pożegnałem. To było zwyczajne losowe spotkanie, myślałem, historia, którą będę pamiętał przez kilka tygodni, może miesięcy, a potem zapomnę. Kiedy odchodziłem, Norbert zawołał za mną:

- Czyli w przyszłym tygodniu, tak? - Zaśmiałem się i machnąłem ręką.

W następny weekend byłem zajęty, pojechałem na konferencję, która zajęła mi prawie cały dzień. Potem czułem się zmęczony, wypilem sześciopak piwa, obejrzałem mecz i poszedłem spać. Ale nie mogłem przestać myśleć o tej partii szachów, na granicy cienia, o swoim przeciwniku zastanawiającym się nad ruchami; wyobrażałem sobie, że tak samo rozważnie dobierał słowa, zanim zapisał je na papierze. Tydzień później znów tam poszedłem. Norbert siedział na zwykłym miejscu, czytał; nie wspomniał o niedotrzymanym spotkaniu. Od tamtej pory chodziłem tam co niedziela. Czasami wykręcałem się od weekendowych spotkań

albo przekładałem projekty na poniedziałek. Cotygodniowa gra stała się dla mnie tropikalną wyspą na morzu pracy. To był mój jedyny autentyczny kontakt z drugim człowiekiem, czas, kiedy mogłem posiedzieć w ciszy parku, rozkoszować się krzykami dzieci, szmerem fontann w oddali, tylko żyć, oddychać i myśleć. Przyjaźń bez zobowiązań.

Wyglądało na to, że Norbert niewiele już pracuje, ale co tydzień czekał na mnie, z książką w innym języku, a czasami z kanapką, zawsze z żytniego chleba, z surową cebulą. Rozmawialiśmy o poezji albo historii; opowiadał o swoim dzieciństwie w Polsce. Podziwialiśmy też mijające nas kobiety. Norbert, widzicie, uwielbiał kobiety. Znał tyle różnych anegdot, często zarzucałem mu, że zmyśla, ale w duchu wierzyłem.

Kiedy poznaliśmy się lepiej, czasami zapraszałem go gdzieś, na obiad, na kawę, na recytację poezji czy do teatru. Zawsze odpowiadał, że jest zajęty, chociaż było widać, że się wykręca; myślałem, że może chce zachować jakąś część swojego życia dla siebie, zapuszczone mieszkanko, żonę - a może mieszkał w przytułku. Czy może w ogóle nie miał domu. Nie miałem jego numeru telefonu ani adresu. Spotykaliśmy się tylko przy tym stole w parku. Czasami robiliśmy rundkę wokół stawu, patrzyliśmy na ryby polujące na muchy, kiedy zapadał zmierzch.

W końcu rzuciłem pracę. Myślę, że miały na to duży wpływ moje spotkania z Norbertem; zacząłem się bać chodzenia do biura, żyłem tylko dla tych dni w parku. Zapisalem się na studia podyplomowe i uczelnia w Baltimore przyjęła mnie na kurs pisarski. W weekend przed moim wyjazdem usiadłem przy stole w parku i powiedziałem Norbertowi, że to nasze ostatnie spotkanie. Przyjął te wieści spokojnie. Zagraliśmy w milczeniu i posiedzieliśmy trochę, aż musiałem już iść. Obejrzałem się, odchodząc; siedział z rękami na kolanach, patrzył za mną tęsknie, tkwił w miejscu tak samo mocno jak dąb, którego gałęzie zwisały nad nim jak markiza.

Na drugim roku studiów trafiłem do pewnego antykwariatu; potrzebowałem mało znanego tekstu do zadanej pracy, a w uczelnianej bibliotece go nie znalazłem. Przeszukując półki, zobaczyłem małą, poźółkłą książeczkę, z rodzaju tych, jakie drukowali w latach siedemdziesiątych. Na okładce widniał napis *The Minsk Publishers in 1952*, czarno na białym. Ta książka nie pasowała do oprawionych w skórę i płótno twardych okładek sąsiednich tomów, więc przerzuciłem kilka pierwszych stron. Autorem był Ignacy Chodźko, nieznanne mi nazwisko, ale pod spodem widniały słowa, które zwróciły moją uwagę: „przetłumaczone z polskiego przez Norberta Guttermana”. Poczulem dreszcz radości. Miałem wrażenie,



jakbym przez lata patrzył przez dziurkę od klucza, a ktoś nagle otworzył przede mną drzwi na oścież.

Wieczorem przejrzałem całość. W słowach tej dziwacznej polskiej opowieści słyszałem głos Norberta, skupienie i uwagę, z którymi robił wszystko, co robił. Pomyślałem sobie, że to jest jak okno do jego umysłu, potwierdzenie, że ten człowiek miał za sobą bogatą, żywą historię, które ja byłem zaledwie ostatnim rozdziałem.

Na końcu zauważyłem notkę *O tłumaczu*. Chwilę później książka wypadła mi z palców i wylądowała otwarta, drukiem do spodu na podłodze. Podniosłem ją lekko drżącą dłonią, i przeczytałem jeszcze raz kilka pierwszych zdań.

„Norbert Gutterman (1901-1984) był jednym z najwybitniejszych tłumaczy XX wieku. Urodzony w Polsce, mieszkał w wielu krajach na całym świecie, długo w Nowym Jorku. W 1980 roku przeprowadził się do Cuernavaca w Meksyku, gdzie w czerwcu 1984 roku zmarł z przyczyn naturalnych”.

To zdarzyło się dziesięć lat temu. Od tamtej pory moje przeżycia z Norbertem nigdy mnie nie opuszczają. W najgorszych chwilach myślałem, że zwariowałem. W najlepszych - myślę czule o człowieku, którego poznałem, i zastanawiam się, kim naprawdę był.

Do Nowego Jorku wróciłem dwa lata temu. Nie mogłem tu nie wrócić. W pierwszy weekend po powrocie pojechałem do parku. Musiałem się przekonać, czy moje niedziele w mieście to sen.

Często wracam do stolika, siedzę, czytam książki i czekam. Rozpocząłem wiele partii, czekając na niego. Czasami łapię delikatny zapach pikli i cebuli i myślę, że przyszedł zagrać w szachy.

## 38

### TELEFON

**O** ósmej rano (według rozkładu dnia Joaquina, o północy), zadzwonił telefon.

- Tak?! - ryknął Joaquin, krzesząc z siebie resztki energii.  
- Cześć, chcę się z tobą podzielić opowieścią - powiedział głos, imitując styl *Radia duchów*.

- Co?

- Opowieścią. Mam dla ciebie opowieść.

- Pomyłka. - Joaquin już miał odłożyć słuchawkę, ale jego ręka zniechęciła, kiedy zdał sobie sprawę, że poznaje ten głos.

- Nie, Joaquin. Żadna pomyłka. Chcę z tobą porozmawiać i wolałbym to zrobić w zaciszu twojego domu, ale możemy dalej trzymać się formuły programu. Byłoby ci wygodniej?

- Kto mówi?

- Ktoś, kto chce ci opowiedzieć historię.

- Słuchaj, nie wiem, skąd masz ten numer, ale to niewłaściwa pora i niewłaściwa osoba. Miłego dnia!

Joaquin trzasnął słuchawką. Był pewny, że to zakończy sprawę. Nie mógł zasnąć. Alondra podniosła głowę.

- Nie mów mi, że to było to, co myślałem. Ktoś znalazł nasz numer i chce nam zrobić niespodziankę z dostawą do domu?

- Na to wygląda. Miejmy nadzieję, że nie będzie wydzwaniał.

- Miejmy. - Alondra opadła na poduszkę.

W pokoju było prawie zupełnie ciemno dzięki ciężkim zasłonom, które założyli, żeby móc spać do późna. Joaquin, wstając z łóżka, uderzył się w kolano. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że dłonie mu spuchły, a twarz to wielki strup gotów w każdej chwili odpaść. W ustach czuł nieprzyjemny, kwaśny posmak.

Poszedł do łazienki, włączył światło i przyjrzał się sobie w lustrze. Twarz nie wyglądała jak wielki strup, ale dwudniowy zarost, worki pod oczami, śmiertelnie blade usta i naciągnięta skóra sprawiały, że wyglądał na piętnaście lat starszego. Kiepski postęp.

- Co najmniej piętnaście, może więcej - powiedział na głos.

Cicho wyszedł z łazienki i powlókł się do kuchni. Włączył swoją najnowszą zabawkę, Saeco Primea Touch Plus, prezent od stacji. Kiedy espresso kapała do filiżanki, telefon znów zadzwonił.

Tym razem Joaquin sprawdził identyfikację dzwoniącego: J. Cortez i numer, który nic mu nie mówił.

W duchu podziękował technologii umożliwiającej łapanie na gorącym uczynku imbecyli, którzy nękali ludzi ukryci anonimowo za swoimi

sluchawkami. Imbecyli za głupich, żeby wiedzieć, iż każdy telefon ma funkcję blokady identyfikacji dzwoniącego.

- Wierzę w mikroczip - mruknął do siebie, podnosząc słuchawkę - a ty masz teraz oficjalnie przerąbane. Tak?

- Joaquin, chyba nas rozłączyło.

- Tak, zgadza się. Bo odłożyłem słuchawkę. Posłuchaj, panie... - zerknął na wyświetlacz - ...panie J. Cortez, nie znam cię i nie mam ochoty z tobą rozmawiać, zwłaszcza o tej porze.

- Chcę ci tylko opowiedzieć historię.

- Nie rozumiesz, że to ani pora ani miejsce? Bądź tak miły i nigdy więcej tu nie dzwoń.

- Mój przyjaciel miał straszny wypadek, kiedy był nastolatkiem. Jego życie legło w gruzach. Wydawało się, że to koniec, że zamkną go w drewnianej trumnie i pochowają tak samo jak resztę ofiar. Ale on wyzdrowiał i życie potoczyło się dalej. Kilka lat później znów niewiele brakowało; został zmiażdżony, spalony na popiół. Ale znowu, kiedy wszyscy myśleli, że zamiotą go do pudełka i odłożą na półkę razem z innymi relikami, on stanął na nogi i żył dalej. Myśleli, że ma albo wielkie szczęście, albo anioła stróża, ale tak naprawdę ten przyjaciel miał swoją tajemnicę. Był wampirem, który wysysał energię życiową z innych, pasożytem, który mógł przetrwać wszystko, kradnąc wewnętrzny płomień ludziom.

Joaquin słuchał, zdezorientowany, wściekły i przestraszony zarazem. Co to za bzdury? Gryzące oskarżenie? Czy prawda o jego życiu?

- Dobra, opowiedziałeś swoją historię. A teraz czego chcesz?

- Nie moją. Twoją.

- Nie lubię, kiedy ludzie naruszają moją prywatność.

Tysiące słuchaczy wiedziało, że Joaquin przeżył wypadek samochodowy, w którym zginęli jego rodzice, a ci, którzy trochę pogrzebali, mogli z łatwością dotrzeć do okoliczności śmierci Gabriela.

- Czego chcesz? - powtórzył.

Usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki.

Joaquin rzucił bezprzewodowy telefon na kuchenny blat.

- Uprzejmie spieprzaj - mruknął pod nosem.

Idealna espresso, którą sobie przygotował, wystygła. Nienawidził zimnej kawy. Patrzył, jak gruba warstwa *crema* - nie za jasnej, nie za ciemnej - się rozpuszcza. Kawa umierała.

Ale wypił łyk, analizując to, co się właśnie stało. Myśli miał zagramowane, przydarzyło mu się za dużo dziwnych rzeczy. I żadna nie miała sensu.

Nigdy wcześniej nie odebrał takiego telefonu i nieważne, jak to było rozwścieczające, czuł tylko wielką dziurę w piersi.

Z sypialni wyszła Alondra. Przytrzymała się futryny drzwi, jakby budynek się trząsł.

- To znów ten idiota? - spytała, osłaniając oczy ze śladami tuszu do rzęs.

Joaquin kiwnął głową.

Weszła do kuchni, wyciągając T-shirt, aż zakrył jej pępek.

- Twoja kawa.

- Co?

- Twoja kawa, wystygła.

- Aha.

Podniósł filiżankę i wypił jednym haustem.

Alondra nigdy nie widziała, żeby Joaquin kiedykolwiek wypił zimną espresso. Tym razem nawet nie mrugnął.

Wziął długopis i zapisał numer, który widniał obok „J. Corteza” na identyfikacji dzwoniącego.

- Co chcesz zrobić?

- Poszukać gościa.

Pokręciła głową.

- Alondra, muszę to zrobić.

Nic nie powiedziała. Usiadła obok niego, czekając. Patrzył na kartkę, jakby to był szyfr, który można złamać, albo rysunkowa zagadka *Znajdź Indianina*.

- Zrobisz mi kawę, czy będę musiała iść do Starbucksza?

Joaquin zerwał się i zrobił jej espresso z idealną *crema*, godną reklamy z sypialnią skąpaną w porannym świetle. Myślami był gdzie indziej - nie zamysłony, roztargniony czy zaspany. Naprawdę gdzie indziej.

Ciepłe, zmysłowe ciało Alondry i intymność ich domu wydawały mu się nierzeczywiste, niczym scenografia wymagowanej reklamy kawy. Czuł się odcięty od tego skromnego rajku, wyrzucony z niego przez J. Corteza. Słowa tamtego zdołały jakoś przebić twardą skorupę, która chroniła go podczas jego komunii z umarłymi. Telefon strzaskał ją jednym niszczącym ciosem.

Alondra dopiła kawę i wstała.

- Idę wziąć prysznic. Idziesz ze mną? Dobrze by ci to zrobiło, może nawet zmyłyby ci się te wory pod oczami.

Joaquin zawahał się, ale naprawdę nie mógł tracić czasu. Musiał iść.

- Nie, idź sama. Mam coś do zrobienia.

Wykręcił numer. Niech łowy się rozpoczną.

Telefon zadzwonił jakieś dziewięć razy, zanim odezwał się chrapliwy głos z mocnym hiszpańskim akcentem.

- Halo?

- Kto mówi?

- Pastor Cuahtëmoc Illuicamina, do usług.

- Pastorze jakiś tam, może pastor powtórzyć nazwisko? Głos w słuchawce cierpliwie powtórzył.

- Chyba pastor do mnie dzwonił przed chwilą - powiedział Joaquin, chociaż wiedział, że to nie był ten sam głos.

- A pan to...?

- Niech mi pan odpowie: dzwonił pan do mnie, żeby opowiedzieć mi historię?

- O czym pan mówi?

- Mam pana numer w swojej identyfikacji dzwoniącego. „J. Cortez”.

To pan, tak?

- Już mówiłem, jestem pastor Cuahtëmoc Illuicamina, ze Świątyni Chrześcijańskiego i Tolteckiego Odkupienia.

- Jakiego odkupienia?

Pastor powtórzył.

- No, nie znajdzie pastor odkupienia głupimi telefonami.

- Nie dzwoniłem do pana. Nie wiem nawet, kim pan jest.

- W takim razie ktoś zadzwonił do mnie z pana telefonu. Kto to był?

- Nikt nie dzwonił z tego telefonu.

Joaquin nie chciał się kłócić. Miał dowód, że telefonowano z tego numeru. Zamierzał tam pojechać i pokazać J. Cortezowi dowód. Przy odrobinie szczęścia osobista wizyta powinna położyć kres nękanii. Ostrzegłby pastora, żeby więcej z nim nie zadzierał.

Uzbrojony w nazwisko i numer telefonu z łatwością znalazł adres Świątyni Chrześcijańskiego i Tolteckiego Odkupienia dwoma wpisami w Google'u. Zdziwił się, że to zwykłe mieszkanie w szeregowcu na obrzeżach miasta.

Ubrał się szybko, nie czekając, aż Alondra skończy prysznic, i po pięciu minutach jechał już na spotkanie z pastorem Illuicamina.

Budynek był jednym z licznych bloków mieszkalnych olbrzymiego osiedla. Joaquin wjechał na siódme piętro windą pomazaną graffiti i w ciemnym korytarzu znalazł numer 713. Drzwi do mieszkania zastał otwarte na oścież, ze środka dobiegały głosy. Kiedy Joaquin podszedł bliżej, na korytarz wyrzwał chłopiec ośmio- czy dziewięcioletni. Wewnątrz przy kuchennym stole siedziały dwie otyłe kobiety i słuchały radia. Joaquin uśmiechnął się do chłopca, ale ten trzasnął drzwiami. To było dziwne; Joaquin miał wrażenie, że z mieszkania dobiega głos Watta, ale o tej porze dnia *Radia duchów* nie nadawano. Wzruszył ramionami; miał ważniejsze rzeczy na głowie.

Zastukał mocno do drzwi. Otworzył mu niski, krępy mężczyzna, wyglądający na jakieś pięćdziesiąt pięć lat, okutany w stary szlafrok.

- W czym mogę pomóc? - spytał głosem zblazowanego mariachi.

- To ja przed chwilą dzwoniłem.

- Aha - powiedział sceptycznym tonem mężczyzna.

- Chcę wyjaśnić tajemnicę telefonów, które dostałem. Mówię tajemnicę, bo według mojej identyfikacji dzwoniącego pochodziły one z pana telefonu, a skoro mówi pan, że to nie pan dzwonił, pomogę panu dowiedzieć się, kto. To dla dobra nas obu.

- Ale nikt się tu nie kręci i nie dzwoni po ludziach.

- Porozmawiajmy - rzucił Joaquin, bezceremonialnie wciskając się do świątyni-mieszkania. Zaskoczony mężczyzna go przepuścił.

Mieszkanie było małą, ciasną kawalerką. W dziwnych miejscach postawiano w niej zakurzone meble, a wszystkie dostępne powierzchnie zajmowała osobliwa kolekcja przedmiotów: porcelanowych figurek, plastikowych butelek wypełnionych dziwnymi płynami, domkami dla lalek, plastikowymi żołnierzami, pustymi kartkami papieru, tępymi ołówkami, najróżniejszymi latarkami, magazynami religijnymi sprzed kilkudziesięciu lat, częściowo rozmontowanym radiem, owocami, krzyfkami, wyschniętymi tortillami. Joaquin z niedowierzaniem patrzył na ten chaos. Co za żalosne, zawstydzające miejsce. Kto mógł tu mieszkać?

Szybko jednak zauważył, że bibeloty i ustawienie mebli tworzą pewną prawidłowość. W tym chaosie była logika. Gadżety zostały ustawione z maniacką precyzją, z delirycznym zapalem kogoś, kto uważa, że przedmioty posiadają tajemną moc, jeśli odpowiednio się je połączy. Uwagę Joaquina zwróciło coś jeszcze; z czymś mu się to kojarzyło, ale nie umiał powiedzieć z czym.

- Przyjacielu, przyjechał pan w nieodpowiedniej chwili. Jak pan widzi, zamierzałem się wykąpać, a potem odprawić mszę.

- Nie zajmę panu dużo czasu. Mogę usiąść?

Telefon wprowadził Joaquina w wojowniczy nastrój; nigdy nie zachowywał się tak wobec nieznanego, nie mówiąc już o duchownym - nawet jeśli był to duchowny toltecko-chrześcijański.

- Nie mam pojęcia, kto mógł do pana dzwonić.

- Proszę się zastanowić. Jeśli nie uda mi się tego ustalić, będę musiał iść na policję. - Joaquin podniósł odrażające nakrycie głowy z plamami keczupu. Keczupu... albo krwi.

- To mógł być chłopak, ale nie sądzę. On nie robi takich rzeczy.

- Chłopak?

- Jeden z członków mojej kongregacji. Czasami pomaga w sprawach administracyjnych.

- Proszę. Już mamy jakiś ślad. Jak się ten chłopak nazywa i gdzie może go znaleźć?

- Barry. Będzie tu niedługo.

- Jak niedługo? Może powinienem po niego pójść. - Joaquin podniósł i oglądał przedmioty ze stołu, krzesel i podłogi.

Miał przeczucie, że nie powinien ich ruszać - nie tylko dlatego, że brudził sobie ręce, ale dlatego, że burząc porządek-nieporządek wśród nich panujący, mógł uwolnić coś, czego w pełni nie rozumiał, coś złego. Skąd przysłała mu do głowy taka niedorzeczna myśl?

Nie był łatwowierny ani nie bał się szarlatanów, ale rozmawiając z pastorem, miał nieodparte wrażenie, że w tym miejscu mogło wydarzyć się coś bardzo dziwnego.

- Nie wiem, gdzie może być.

- Cóż, będziemy musieli go znaleźć.

W tym momencie ton głosu pastora się zmienił. Mężczyzna przybrał ponury wyraz twarzy.

- Przyszedeś mnie zabić - powiedział. - Widziałem to w moich wizjach.

Potem oczy uciekły mu pod czaszkę i zaczął recytować coś, co brzmiało jak modlitwa.

- Nie przyjechałem tu nikogo zabijać, chcę tylko, żeby mi dać spokój. Pastor podniósł głowę i ciągnął swoją dziwną modlitwę, inkantację, czy cokolwiek to było.

- *Sholotl, xelatl, dominum budadl...*

- Wystarczy. Nie przyjechałem tu nikomu nic robić.

Mężczyzna ignorował Joaquina, podnosząc głos, powtarzał mantry dziwnych słów, które brzmiały jakby znajomo. Joaquin do niego podszedł. Kiedy był już o krok, pastor nagle podskoczył i uderzył go w twarz.

Joaquin zrobił unik, ale nie dość szybko. Poleciał do tyłu i uderzył mocno o szufladę pełną połamanymi zabawkami; wzdłuż kręgosłupa strzelił mu płomień bólu.

Kiedy poderwał się, kaznodzieja go kopnął; najpierw w zębra, potem w brzuch. Facet już to robił, pomyślał Joaquin, uchylając się przed kolejnym ciosem. Potem u pastora dały o sobie znać wiek i waga. Przestał kopać i złapał krótki, świszczący oddech. To mogła być jedyna szansa Joaquina.

Zaszarżował, wbijając prawy bark w brzuch pastora. Ten nawet nie drgnął, zasypał Joaquina gradem ciosów... w brzuch i nerki. Joaquin się zachwiał.

Gdzie, kurwa, ten gość nauczył się bić? I dlaczego bije się ze mną?

Uchyłał się i blokował ciosy, szukał sposobności do oddania. Kolano w jaja. Przedramię w gardło. Cokolwiek, co powstrzymałoby pastora.

W końcu znalazł sposób. Schylił się, złapał mężczyznę w pasie i ścisnął. Nie o to mu chodziło, ale podziałało.

Pastor wił się i szarpał, próbując się uwolnić, ale Joaquin trzymał mocno, zaciskając uchwyt jak imadło. Nozdrza wypełnił mu zapach taniego mydła i wody po goleniu; zdumiewające, jak wpakował się w tę sytuację: tajemniczy telefon, a niecałą godzinę później szamocze się z tołtecko-chrześcijańskim duchownym.

Życie czasem zaskakuje.

Kiedy to pomyślał, pastor uwolnił się, odepchnął od Joaquina, splótl dłonie, wyrznął go w czubek głowy.

Joaquin zachwiał się, podłoga zakołysała się na jego oczach i zmieniła w galaretkę. Wyglądała tak kusząco: miękka, przyjemna i zachęcająca. Chciał na nią upaść.

Kiedy drzwi się otworzyły, spojrzał w ich stronę. W oczach mu się dwoiło, zobaczył tylko zarys sylwetki.

- Mistrzu, nie mogłem znaleźć...

Pastor odwrócił się w stronę głosu, a Joaquin posłał mu prawy sierpowy w szczękę, mając nadzieję, że może ufać swoim oczom. Głośne trzaśnięcie i łomot padającego na podłogę ciała powiedziały mu, że może.



- Co jest, kurwa? - zawołała plama w drzwiach.

Joaquin wbił w nią wzrok. Kształt przybrał postać jasnowłosego chłopaka trzymającego pakunki. Kiedy tylko nabrał wyrazistości, chłopak rzucił paczki i uciekł.

- Wracaj ! - wrzasnął Joaquin.

Powodowany niekontrolowanym impulsem ruszył w pościg. Przypomnił sobie, jak pastor chłopaka nazywał.

- Barry, czekaj. Chcę cię tylko o coś zapytać!

Ale chłopak skręcił na schody, zeskakował po parę stopni w dół, odbijając się od ścian. Joaquin popędził za nim najszybciej jak mógł, stracił niemal kontakt z podłożem, potykał się i skakał.

Na parterze prawie dopadł Barry'ego w holu, ale chłopak zdążył wypaść na ulicę. Joaquin pognał za nim, opętany siłą, której nigdy przedtem nie czuł. Jego stopy wydawały się unosić nad chodnikiem; wymijał ludzi, jakby poruszali się w zwolnionym tempie.

Świeże powietrze i gorączka pościgu rozjaśniły mu w głowie. Dodały energii. Miał wrażenie, że bawi się z tym chłopakiem w berka, wiedział, że lada chwila go dopadnie. Barry pędził co siłą, wpadał na przechodniów, aż w końcu na którymś zakręcie potknął się, stracił równowagę i upadł. Joaquin wyhamował nad nim i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać, ale zrobił to w taki sposób, żeby było jasne, iż ucieczka nie ma już sensu. Barry rozciął sobie kolano. Kiedy zobaczył, że Joaquin się nad nim nachyla, zasłonił twarz.

- Chcę cię tylko o coś zapytać - powiedział Joaquin, zdyszany po pogoni.

## 13

### ODPŁYWY I DRABINY

Amfa nie działała. Kawa nie działała. Jestem upiorem, pomyślałem, rzuconym w krainę duchów. Nic nie wydawało się rzeczywiste. Może nigdy takie nie było.

Zrobiłem jedyną rzecz, która mi pozostawała.

- Dzwoniący, jesteś na antenie.  
Mój głos brzmiał dziwnie, odbijał się echem w słuchawkach.  
- Są w rurach, wiecie.  
- Co? - spytałem. Efekt echa się wzmógł.  
- No, to jedna z ich kryjówek. Jedno z miejsc, w których można ich osaczyć.

- Dzwoniący, o czym właściwie...  
- Wydaje mi się, że są tam cały czas. Ale ich nie widzimy. Są dla nas za szybcy. Za sprytni.

Ściany studia zaczęły migotać i się wyginać. Znów się zaczyna, pomyślałem.

- Trzeba być cicho. I mieć cierpliwość. Służyłem w siłach specjalnych w Wietnamie. Umiem być cicho. I jestem cierpliwy. Bardzo cichy. Bardzo cierpliwy.

Cisza i cierpliwość. Sam bym chciał trochę tego mieć. Ściany studia zrobiły się przezroczyste. Jediną rzeczą, która łączyła mnie z rzeczywistością, był głos dzwoniącego.

- Wczoraj wieczorem siadłem na najwyższym szczeblu drabiny w kuchni. Jakies dwa metry od zlewu. Ale byłem dość wysoko, żeby móc zajrzeć do środka... do odpływu. Siedziałem tam wiele godzin.

„Stałem się jednością z nocą”, jak to nazywał instruktor na szkoleniu.

Zobaczyłem przed sobą dolny szczebel drabiny. Białe plamy zaschniętej farby.

- Twoje ciało znika. Kończyny, korpus, szyja... wszystko... gdzieś indziej. Jesteś tylko oczami... patrzysz... czekasz.

Podniosłem wzrok. Dzwoniący przycupnął na szczycie drabiny. Tkwił w niewiarygodnym bezruchu, prawie dwuwymiarowy cień w czarnym polowym mundurze. Postawiłem stopę na pierwszym szczeblu i podciągnąłem się na drabinę.

- I tak siedziałem. Nieruchomo. Oczy na zlewie... na odpływie... czekałem.

Na szczycie drabiny spojrzałem dzwoniącemu nad lewym ramieniem do odpływu: czarnej czeluści w morzu wypolerowanego aluminium.

- Siedziałem tam wiele godzin. Ale mi to nie przeszkadza. Przypomina mi o szczęśliwszych czasach: parnych nocach w delcie Mekongu.

Jego oddech spłynął się pode mną. Nie przypominał żadnego oddechu, jaki słyszałem - był autonomiczną funkcją zakamuflowaną latami praktyki. Gdybym nie wiedział, że to oddech, mógłbym go wziąć za letni wietrzyk albo łopot skrzydeł ważki.

- Gdzieś około trzeciej zacząłem coś słyszeć: coś przeciskało się przez rury.

Ja też to usłyszałem. Przypomniało mi się jedno z bardziej niesamowitych nagrań Gabriela - odgłos parzących się ślimaków. Dźwięk sugerował lepkie falowanie i coraz słabsze wymagania nieludzkiej seksualności.

- Potem zobaczyłem.

Coś załśniło w odpływie, odbite blade światło księżyca wpadało do kuchni przez okno nad moim prawym ramieniem. Nie mogłem uwierzyć, co widzę. To było niemożliwe.

- Pojedyncze wodniste oko patrzyło na mnie z odpływu.

Oko skakało od dzwoniącego do mnie. Potem przestało, zamrugalo i zaczęło znów się rozglądać.

- W oku widać inteligencję.

Dzwoniący może ją widział, ja nie. Oko przypominało ludzkie, ale jego spojrzenie sugerowało przeżycia olbrzymie i bezimienne. Nie, nie inteligencję, coś o wiele bardziej przerażającego: wiedzę.

- Równie szybko jak się pojawiło, oko zniknęło. Pomyślałbym, że to sen albo halucynacja, gdybym nie widział go tak często.

Wokół mnie zaczęło się z powrotem pojawiać studio. Usłyszałem głos Alondry.

- Dzwoniący, nie powiedziałaś nam, czym są te istoty. Wiesz? Domyślasz się?

- Niektórzy sądzą, że oni wymarli. Albo powrócili do jakiegoś zapomnianego domu w gwiazdach. Ale ja myślę, że to oni, że są w rurach.

- Dzwoniący, kto to jest? - powtórzyła z naciskiem Alondra.

- Toltekowie.

## GDZIE SA WSZYSCY?

Barry był optymistą, a przynajmniej tak uważał. Skończył nauki polityczne i poświęcił się całkowicie sprawom Ameryki Łacińskiej. Nie-strudzenie poszukiwał duchowej stymulacji.

Przez rok mieszkał w małej, ubogiej osadzie w górach Guerrero. Potem złapał paskudną infekcję przewodu pokarmowego, która prawie go zabiła; pracował na plantacjach trzciny cukrowej na Dominikanie, gdzie doświadczył bliskich niewolnictwu warunków życia robotników plantacji; w Peru wstąpił do stowarzyszenia studentów i robotników walczących z lokalnym despotą Ayacucho.

Zawsze jednak brał urlop od swoich społecznych krucjat i spędzał wakacje w rodzinnym domu w Hamptons. Jego rodzice założyli mu fundusz powierniczy, żeby mógł robić, co chciał podczas studiów, teraz jednak uważał, że korzystanie z tych pieniędzy jest niemoralne, i starał się utrzymywać innymi sposobami. Brał dorywcze prace na budowach, był sprzedawcą w sklepie zoologicznym albo kelnerem. Jego głównym źródłem dochodu stał się jednak „handel kulturowy”. Prawie codziennie krał kilkanaście książek: bestsellerów, albumów, cennych pierwszych wydań, ilustrowanych rękopisów i innych skarbów, które potem sprzedawał na eBayu albo Amazonie. Według jego złożonego systemu religijnej logiki, były to akty sprawiedliwości, zadośćuczynienie za wieki ucisku. Jak można się spodziewać, jego życie przepełniała paranoja. Cały czas wypatrywał policji, uważał na wszystko, co podejrzane, co mogłoby położyć kres logice i porządkowi jego życia.

Dlatego właśnie, kiedy zobaczył Joaquina walczącego z kaznodzieją, założył, że prawdziwym celem Joaquina jest właśnie on.

Kiedy Joaquin zapewnił go, że nie jest policjantem, ochroniarzem z księgarni ani pracownikiem biblioteki, Barry, który dygotał ze strachu, odprężył się.

Joaquin, wciąż zdyszany, wyjaśnił mu, że dostał dziwaczny i wyjątkowo nieprzyjemny telefon z numeru pastora.

- Chociaż, jak mówiłem, głos w słuchawce zdecydowanie nie należał do niego - zakończył.

- Oczywiście, że nie. Pastor ma o wiele ważniejsze zajęcia niż głupie telefony. Ale jeśli jesteś pewny, że on nie dzwonił, to dlaczego się biliście?

- Nie wiem. Opowiedziałem mu, jaki mam problem, a on odparł, że przyszedłem go zabić. - Głos Joaquina był zabarwiony sarkazmem.

- Po to przyszedłeś.

- Proszę cię. Czy ja wyglądam na mordercę? Ja się tylko broniłem, bo się na mnie rzucił.

- Znam pastora J. Corteza bardzo dobrze, on nie jest agresywny.

- Wróćmy tam i wyjaśnijmy to całe nieporozumienie. Może w identyfikacji dzwoniącego był jakiś błąd.

Joaquin tak naprawdę nie miał ochoty wracać, nie sądził, żeby z tymi dwoma cokolwiek załatwił. Ale chciał przeprosić za to, że zachował się tak napastliwie. Popęłił błąd. Przeszło mu przez myśl, żeby przekręcić szybko do Alondry i opowiedzieć jej, gdzie jest i co się stało, ale kiedy wsadził rękę do kieszeni, odkrył, że zgubił telefon. Musiał mu wypaść podczas szamotaniny albo pościgu. Stracił rzecz bardzo cenną. Tu chodziło o coś więcej niż zwykle posiadanie i zgubę. Więcej niż o to, że się od komórki uzależnił. To małe elektroniczne urządzenie było dla niego koniecznością. Naprawdę wierzył w mikroczipy.

Nagle nie mógł sobie przypomnieć swojego numeru, numeru stacji czy komórki Alondry. Zawsze używał zapisanych numerów i teraz czuł się kaleki, zagubiony.

- Zgubiłem telefon - powiedział.

- Nic dziwnego, pewnie ci wypadł, kiedy mnie gonieś.

- Miej oczy szeroko otwarte, może go znajdziemy.

Doszli do budynku. Joaquin szedł na górę, powoli, ostrożnie, przyglądał się każdemu stopniowi, mając nadzieję, że znajdzie telefon. Bezskutecznie. Uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich kilku minut zmieniły się jego priorytety: nie przejmował się już telefonem, który tak go wzburzył wcześniej. Teraz najważniejsza była komórka. Jej brak sprawiał mu ból... fizyczny ból. Dotarł na siódme piętro i ruszył korytarzem. Barry szedł za nim. Joaquin nie odrywał wzroku od ziemi, wciąż mając nadzieję, że jego drogocenny aparat gdzieś się pojawi.

Drzwi mieszkania 713 były otwarte, co chyba zaniepokoiło Barry'ego, bo zawahał się i spojrzął na Joaquina. Potem wykrzywił się w dziwnym grymasie i gestem pokazał, żeby Joaquin wszedł pierwszy, jakby się bał, że zastaną w środku jakiegoś intruza. Joaquin wolno przekroczył próg. Kiedy nerwowo rozglądał się po podłodze i lustrował zabałaganione

pomieszczenie, szukając komórki, jego uwagę przyciągnęły czerwone plamy i kałuże czerwonej cieczy. Przypomnił sobie keczup, który widział na nakryciu głowy, ale to było coś innego. Wtedy usłyszał krzyk Barry'ego.

- Nie! Morderca!

Wzrok Joaquina skoczył na środek pokoju, gdzie za stołem leżało ciało pastora skąpane w krwi. Brudny szlafrok był rozchyłony, ukazując dziesiątki - nie, setki ran zdobiących korpus; szczeka wisiała bezwładnie, na wpół oderwana od twarzy.

Barry podniósł zakrwawiony nóż i machnął nim w stronę Joaquina.

- Nie podchodź do mnie, ty sukinsynu, ty... morderco!

- O Czym ty mówisz? Wyszliśmy stąd razem. A on żył!

- Nie zbliżaj się, bo skończysz gorzej niż on!

Joaquin w pierwszym odruchu chciał uciekać. Nie byłoby łatwo przekonać policję, że on tylko pastora pobił, zwłaszcza kiedy przed bójką miał w rękach nóż, najpewniej narzędzie zbrodni. Barry podniósł słuchawkę telefonu; jego palec zawisł nad klawiaturą, ale ręka mu się trzęsła i nie mógł znaleźć właściwych cyfr.

- Pomyśl, Barry. Kiedy wybiegliśmy, on żył. A od tamtej pory cały czas się widzieliśmy.

- Stul pysk, skurwysynu, morderco! Kiedy tu przyszedłem, tłukłeś go. Zamkną cię i wyrzucą klucz - odparł Barry.

Ucieczka nie była rozwiązaniem. Złapanie go nie trwałoby długo; każdy w miarę kompetentny detektyw sprawdziłby tropy i go znalazł. Życie Joaquina zawisło na włosku: cienkim żalonym włosku. Co mógł zrobić? Albo zaczekać na przyjazd policji i wszystko, co się z tym wiązało, albo uciec z nadzieją, że udowodni swoją niewinność później. Musiał szybko zdecydować.

Rozglądając się rozpaczliwie, zauważył, że dziwne przedmioty w pokoju zostały poprzestawiane. Nie w tym rzecz, że zapamiętał dokładnie, gdzie stały małe figurki, papiery i kawałki owoców, ale ogólne wrażenie, jakie sprawiały te wszystkie przedmioty, było inne. Ktoś je poruszył. Przypominało to czytanie akapitu po zmianie porządku słów; myśl pozostawała może ta sama, ale ton się zmienił.

- Barry, posłuchaj mnie. Biliśmy się i on wygrywał. Nawet kiedy odwróciłeś jego uwagę, z trudem go powaliłem. Nie ja to zrobiłem. Kiedy tu wszedłeś, on żył. Zrobił to ktoś, kto tu przyszedł po nas. Może wykorzystali otwarte drzwi.

Barry nie odpowiedział. Dalej wystukiwał numery na telefonie i rozłączał się, jakby próbował złamać jakiś tajny kod. Ile można wykręcać 911? - pomyślał Joaquin.

- Nie działa! Telefon jest zepsuty, na linii słychać tylko głosy i hałasy!  
- wykrzyknął Barry.

Nagle rzucił telefon i wybiegł z mieszkania.

- Pomocy, pastor nie żyje! - wołał. - Zabili pastora!

Myśl o zlinczowaniu przez żądny krwi tłum, domagający się sprawiedliwości, powinna Joaquina przerazić, ale przyjął postawę fatalistyczną. Podniósł telefon z podłogi, oczyścił krzesło i usiadł, żeby zaczekać. Cała sytuacja wydawała mu się abstrakcją. Ciało rozciągnięte na podłodze. Dziwne przedmioty zagracające pokój. I ten oszalały, jasnowłosy chłopak, który wydzierał się na korytarzu.

- Oto twoje życie w *Radiu duchów* - powiedział do siebie.

Spojrzał na telefon. Może powinien zadzwonić do Alondry. Ale co miał jej powiedzieć? Sytuacja była niepojęta nawet dla niego; dla Alondry zabrzmiałaby jak zupełne szaleństwo. Ale i tak uważał, że powinien do niej zadzwonić, biorąc pod uwagę to, jak wyszedł z mieszkania. Kto mógł wiedzieć, ile to wszystko potrwa?

Wcisnął guzik rozmowy, ale zamiast sygnału usłyszał tylko mamrotanie, suchą wibrację, dalekie głosy zlewały się w monotonne buczenie.

Barry wbiegł do mieszkania, zdyszany i blady. Spojrzał na Joaquina z przestraszeniem.

- Nikogo tu nie ma... nikogo.

- Co to znaczy nikogo?

- Albo gdzieś poszli, albo ktoś ich zabrał.

- O czym ty mówisz?

- Zobacz. Sam się przekonaj.

Rzeczywiście, budynek wydawał się opuszczony. Kilka minut wcześniej Joaquin widział ludzi w korytarzach, słyszał głosy dzieci, ryczące radia i telewizory, czuł mieszaninę zapachów jedzenia i detergentów. Teraz... nic. Wszędzie panował dziwny, nierzeczywisty spokój.

- Gdzie są wszyscy? - spytał.

- Nie wiem. Nigdy niczego takiego nie widziałem.

- Może jest jakieś spotkanie, zebranie mieszkańców? Parada, na którą wszyscy poszli? - podpowiadał Joaquin, świadom, jak głupio to brzmiało.

Sytuacja sugerowała tylko jedno: katastrofę. Pustka była taka, jaką pozostawiają po sobie wielkie tragedie. Masowy exodus wywoływany przez trzęsienia ziemi, wojny czy zmasowane inwazje Obcych.

- Pastor nie żyje, a cały budynek jest pusty.

Joaquin nie musiał odpowiadać. Barry sformułował to tak, jakby między oboma tymi wydarzeniami był jakiś związek.

- Muszę wezwać gliny - oświadczył chłopak.

Wyszedł z mieszkania, rozglądając się ze zdumieniem. Pukał do wszystkich drzwi, krzyczał, wołał sąsiadów. Joaquin szedł za nim w milczeniu. Co mógł zrobić?

Kiedy zeszli na ulicę, widok był taki sam: totalna pustka i cisza. Pod sklepami ani w nich nie było żywej duszy. Samochody stały, żadnego ruchu na ulicy.

- Bomba neutronowa - powiedział Joaquin, przerażony, ale i zafascynowany tą myślą.

- Co? - wykrztusił Barry, coraz bardziej wystraszony. Obrócił się w panice dookoła własnej osi, wypatrując śladów życia za sklepowymi witrynami i w zaparkowanych samochodach.

- Bomba, która niszczy tylko istoty żywe, a nieorganiczne pozostawia nietknięte.

- Co?

- Nic. Tylko głośno myślałem.

Barry milczał, zdawało się, bardzo długo.

- „Neutronowa bomba, żeby zabić biednych”, jak w tej piosence Dead Kennedys.

- „Działa ładnie, szybko i czysto, i załatwia sprawę” - zacytował Joaquin.

Przeszli kilka przecznic, Barry zajrzał do kawiarni. Ani kota, ani karalucha, ani choćby cienia. Stoliki nakryte, niektóre dania na talerzach jeszcze ciepłe. Nie było żadnych śladów ucieczki, chaosu ani przemocy. Wyglądało to, jakby wszyscy po prostu zniknęli... wyparowali. Joaquinowi przypomniał się jeden z odcinków *Strefy mroku*.

- Zupełnie, jakby razem z pastorem umarł cały świat - powiedział Barry.

- Barry, dlaczego ciągle łączysz to wszystko z jego śmiercią? - Joaquin szerokim gestem wskazał otoczenie.

- Tak przepowiadała jego wizja: opuszczone miasta, burze piaskowe, ludzie unoszą się z ziemi i ruszają w kosmiczną podróż.



- Chrześcijańskie wniebowzięcie?  
- Wizje pastora - powtórzył stanowczo. Joaquin szukał słów. Żadnych nie znalazł.

- Sen znika, kiedy śniący przestaje go śnić - wyrecytował Barry nieobecny głosem.

Joaquin postanowił wrócić do domu i zostawić go razem z jego fantazjami i trupem. To wszystko było zbyt dziwne - a on wciąż nie wiedział, kto do niego dzwonił. Ale w tej chwili to najmniejsze z jego zmartwień. Ruszył szybko do samochodu.

- Dokąd idziesz? - zawołał za nim Barry.

Joaquin nie odpowiedział, nie odwrócił się.

- Wracaj! Nie możesz mnie tak zostawić!

Barry krzyczał, ale nie próbował go zatrzymać. Dopiero przy samochodzie Joaquin zdał sobie sprawę, jak to wszystko na niego wpłynęło. Dłonie mu się trzęsły, zlewał go zimny pot. Wsadzenie kluczyka do stacyjki zajęło mu ponad minutę, wrzucenie biegu jeszcze dłużej. Potem odjechał, najszybciej jak mógł.

Jechał cichymi ulicami, przestraszony i zdezorientowany. Zamiast południa pora dnia wyglądała raczej na poranek. Joaquin rozpaczliwie wypatrywał śladów życia. Czuł, że samochód ślizga się po jezdni, jakby była oblodzona. Unosił się, zygzakował, dryfował bez celu. Joaquin odtwarzał sobie w głowie walkę z kaznodzieją, znów czuł jego ciosy, ale wynik się zmieniał. Wyobrażał sobie, jak łapie nóż z podłogi i raz za razem wbija go w pastora. Patrzył, jak jakiś cień wślizguje się do mieszkania, rzuca na duchownego i rozszarpuje go na kawałki szponami. Widział, jak pastor sam się dźga, lzy płyną mu po policzkach. Widział oczy, które przyglądają mu się ze wszystkich odpływów w mieszkaniu. Śmierć J. Corteza wyzwoliła coś rosnącego i niepohamowanego, coś, co Joaquin z trudem pojmował.

- Co się dzieje z postaciami ze snu, kiedy śniący się budzi? - zapytał sam siebie.

Głupie myśli, prawda? Ale może miały jakiś sens. Może to był trop. Cała ta sytuacja go przerastała. Czuł coraz większą wściekłość.

Trąbił klaksonem, wciskał gaz do dechy, tłukł pięściami w deskę rozdzielczą i wrzeszczał z całych sił. Sięgnął do kieszeni po komórkę. Miał dziwne wrażenie, że nosi fantomowy telefon; wyobrażał sobie, że tak właśnie odczuwają ból brakujących kończyn ludzie, którym je amputowano.

Jeździł pod prąd jednokierunkowymi ulicami; wrzucał wsteczny; wjeżdżał na chodniki; raz po raz stawał na hamulcu. Pozwolił, żeby dezorientacja nim owładnęła, aż zgubił się kompletnie. Nie pamiętał, jak się tu dostał. Żaden znak na ulicy nie wyglądał znajomo. Jak miał wrócić do domu? Równie dobrze mógł trafić do innego miasta.

Zrozpaczony zatrzymał samochód na środku ulicy, uderzył czołem w kierownicę i wyrzeczwał:

- Co jest, kurwa?!

Wtedy samochód za nim zatrąbił. Czar prysł. Miasto się zbudziło. Wszystko znów było w ruchu. Tu i tam chodzili ludzie, wchodzili do sklepów, jedli i rozmawiali.

Radio w samochodzie ożyło nagłą eksplozją trzasków; z kakofonii głosów wyklarował się powoli dialog dwóch mężczyzn, sprzecających się na temat wojny.

- Gdzie się wszyscy podziali? - pytał sam siebie. Powoli ruszył, zdezoorientowany, ogłuszony gwarem miasta.

Czuł ulgę, ale w jego myślach czaiły się nie dające spokoju wątpliwości. Co się naprawdę stało? Czy rzeczywiście widział zwłoki? Czy pastor i Barry byli prawdziwi? Jedyne, co wiedział na pewno, to że wciąż nie ma komórki. Jechał ulicami i alejami, które znów wyglądały znajomo. Wkrótce dotarł do mieszkania.

Zerknął na zegarek: ósma. Jak to możliwe? Przecież wychodził z domu później.

Joaquin nie wytrzymał. Siedział w samochodzie i płakał.

## 41

### POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Alondrę obudził odgłos szturmowania drzwi. Joaquin nie wrócił na noc i była pewna, że to on dobija się, pijany w trupa. Nie zdarzało się często, ale zdarzało. Wstała, ledwie patrząc na oczy; ubrana tylko w koszulkę kilka rozmiarów za małą i majtki, boso poszła do drzwi. Zanim do nich dotarła, otworzyły się na oścież i Joaquin wpadł do środka, spocony i rozczochrany.

- Alondra, musisz posłuchać. Wiem, że to co powiem, brzmi idiotycznie, ale właśnie zdarzyło mi się coś niesamowitego.

- Wyobrażam sobie, skoro wracasz o tej porze. Idź się wykąpać i wyśpać. Pogadamy później.

Nie przepadała za niespodziankami, a jeszcze mniej za histerykami. Może to przez jej irlandzką krew - nie lubiła ludzi, którzy gestykulowali, albo podnosili głos, mówiąc rzeczy zupełnie nieistotne. Szczególnie działała jej na nerwy podekscytowani mężczyźni, którzy zachowywali się tak, jakby ich entuzjazm i emocje podnosiły wagę tego, co mówili. Chciała usłyszeć, co Joaquin miał do powiedzenia, ale musiał się uspokoić, żeby potraktowała go poważnie.

- Nie, nie rozumiesz. Musimy porozmawiać.

- Teraz? To konieczne? - spytała, odgarniając włosy z twarzy wierzchem dłoni.

- Pojechałem do tego mieszkania, z którego był ten telefon.

- Jaki telefon?

- Nie pamiętasz? Telefon, który nas obudził.

- O czym ty mówisz? Ty mnie właśnie obudziłeś.

- Wiem, że jest ósma. Nie wiem, co się dzieje, ale o ósmej odebrałem dziwny telefon, z Google'a wziąłem adres identyfikacji dzwoniącego. To był ksiądz, kaznodzieja czy jakiś szaman, czy cholera wie kto. Wdałem się z nim w bójkę, a potem przyszedł Barry i musiałem go gonić, a kiedy wróciliśmy, on nie żył.

- Kto nie żył?

- Kaznodzieja. Został zadźgany i Barry myślał, że to ja zrobiłem.

- A kto to jest Barry?

- To asystent tego kaznodziei, uczeń, przyjaciel, kochanek... Skąd mam wiedzieć?

- Zacznij od początku.

- Uwierz, zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego, a najdziwniejsze jest to, że teraz wszystko wskazuje, że to się wcale nie wydarzyło.

- Słucham?

- Nie pamiętasz? Jak piliśmy wcześniej kawę? Poszłaś wziąć prysznic. A ja wyszedłem.

- Pewnie wczoraj.

- Nie wczoraj, to było dziś. Jeśli to się nie wydarzyło, to kiedy wyszedłem?

- Nie wróciłeś do domu po programie.

- To gdzie poszedłem?
- Joaquin, weź się w garść. Nie wiem, gdzie poszedłeś. Miałam nadzieję, że mi powiesz.
- Spałem tu, obok ciebie. Telefon zadzwonił o ósmej rano i mnie obudził.
- Mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, że nic takiego nie było.
- To musi być jakoś związane z tymi moimi koszmarami na jawie. To tak, jakby mojego mózgu używał ktoś inny; jakby ktoś włamywał mi się do głowy. Równia pochyła; te przeżycia stają się coraz dłuższe, coraz bardziej intensywne, coraz bardziej wciągające.
- Włamanie do mózgu?
- Tak się czuję. Nie przychodzi mi do głowy inna metafora, która lepiej by to tłumaczyła. To, co się ze mną dzieje, to coś więcej niż zwykłe halucynacje. To jak życie we wszechświecie równoległym.
- O czym ty mówisz, do cholery? O astralnych projekcjach i przeżyciach pozacielesnych?
- Nie wiem, co to jest, ale zapewniam cię, że nie były ani przyjemne, ani oświecające. Czuję się, jakbym tracił zdolność rozróżniania tego, co jest rzeczywiste, a co nie.
- To brzmi jak niezły odjazd... odzywają się czasy, kiedy brałeś grzyby albo kwas? Brałeś coś cięższego?
- Nie, nigdy nie brałem takich rzeczy, a to nie mogą być flashbacki, to coś innego. Przychodzą jakby z zewnątrz, nie ze środka.
- Tak właśnie działają flashbacki.
- To nie są flashbacki.
- Co się z tobą dzieje? Obawiam się, że jeśli te zwidy nie są wynikiem działania narkotyków, jedyne co pozostaje to ostra psychoza. -W głosie Alondry zabrzmiał ton pogardy.
- Wiem, że nie ma racjonalnego wytłumaczenia, ale jestem wysany do historii, które opowiadają niektórzy dzwoniący. Dosłownie; ni z tego ni z owego ich głosy zaczynają mnie wciągać, a otoczenie się zmienia. Opuszczam studio i staję się bezwolnym uczestnikiem ich strasznych opowieści.
- Zbyt poważnie traktujesz swoją pracę w *Radiu duchów*. Popadasz też w skrajność z empatią wobec słuchaczy. - Alondra nie wierzyła w to, co opowiadał Joaquin.
- To coś więcej niż wyobrażanie sobie tego, co mi ludzie mówią przez telefon.

- Cóż, skoro nie zamierzasz mi pozwolić spać, napijmy się kawy.
  - Jeszcze raz?
  - Nie, pierwszy raz. Uwierz mi, wiem z całkowitą pewnością, kiedy wypijam pierwszą kawę danego dnia.
- Poszli do jadalni. Alondra usiadła, trąc oczy.

Joaquin poszedł prosto do ekspresu. Nie było ciepło; przyrządził dwie espresso. Pili kawę w milczeniu. Joaquin napotkał spojrzenie Alondry i zrobiło mu się głupio, że tak wpadł do domu. Zwłoki kaznodziei i sparaliżowane miasto wydawały się nierzeczywiste, jak coś, co widział w filmie. Ale kiedy tylko usiadł i odprężył się, poczuł ból po ciosach. Pobiegł do łazienki obejrzeć się w lustrze. Po uderzeniu w twarz został ślad, na żebrach miał parę siniaków. Wrócił do Alondry, ale nie powiedział. Mieszkanie było bardziej rozświetlone niż kiedykolwiek. Wszystko jaśniało niczym na zdjęciu z „Architectural Digest”. Hałas z ulicy wzmógł się, ale on prawie tego nie zauważył.

- Twoja kawa - odezwała się Alondra.
- Co z nią?
- Stygnie, a ty nie znosisz zimnej kawy. Czy może to się zmieniło?
- Nie. To się już wydarzyło.
- W porządku, będziemy ciągnąć tę rozmowę.
- Nie, zapomnij.
- Dzięki.
- Pamiętasz, jak ci wspominałem, że mam powracające sny o Toltekach? - spytał Joaquin.

- Tak, pamiętam też, jak cię pytałam, skąd wiesz, że to Toltekowie, a nie Olmekowie czy Nahuatle. Były tam znaki „Znajdujesz się na terytorium Tolteków”?

- Nie, oczywiście że nie. Ale to był sen. Wiesz, jak to jest w snach. Wiem, że to byli Toltekowie. A ten kapłan mówił, że ma świątynię chrześcijańsko-toltecką.

- Nie czytałeś chyba *Przewodnika po tolteckiej mądrości dla kompletnych durniów!*

- Co to jest?
- Jeden z tych podręczników do samoświecenia, inspirowany filozofią Tolteków. Autorką jest jakaś gospodyni domowa o nazwisku Rosenthal, bez wątpienia z Long Island albo Redondo Beach.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Nie pytaj. Po prostu uwierz, Toltekowie są wykorzystywani przez szamańską turystykę, guru pseudorozwoju duchowego i antynaukową antropologię już od kilkudziesięciu lat.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego nie chcesz o tym rozmawiać?

- Powiedzmy, że to sprawy, na których się znałam w innym czasie i w innym miejscu, i nie mam ochoty do tego wracać. - Westchnęła. - Poza tym staram się odciągać od tego swoich studentów. Gdybym tego nie robiła, mielibyśmy kolejne pokolenia małych Carlosów Castanedów, którzy biegają po wzgórzach i udają Naguali, a tego, zapewniam cię, nam nie potrzeba.

- Mogłabyś przynajmniej jakoś mnie naprowadzić. Co to jest ta toltecka mądrość, którą nawet dureń może opanować po przeczytaniu jakiejś makulatury?

- To seria technik podążania „Ścieżką Tolteków”. - Alondra skrzywiła się. - Można kupić setki książek, płyt CD i filmów, wciskających łatwowiernym sekrety rzekomych tolteckich przepowiedni, ewangelii i wyroczni.

- Barry wspominał o proroczych wizjach.

- Istnieją też przewodniki, jak wykorzystywać mądrość Tolteków do osiągnięcia wewnętrznego spokoju, osobistej przemiany, mądrości, szczęścia, wolności, manipulowania energią ciała, a nawet, jak mieć wspaniały, magiczny seks taki jak prekolumbijscy, który, jak wszyscy wiemy, był naprawdę widowiskowy. - Parsknęła śmiechem.

- Wiesz co, nie rozumiem.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Kim byli prawdziwi Toltekowie?

- To dopiero pytanie, co?

- A odpowiedź?

- Skomplikowana, skomplikowana... skomplikowana.

- Daj mi szansę.

Alondra westchnęła przeciągle i przeczesала dłonią gęste, czarne włosy.

- Co ma to nam dać? - spytała.

- Zrób mi tę przysługę. Myślę, że to ważne.

Podeszła do lodówki, wyjęła butelkę wody, odkręciła nakrętkę i wypila kilka długich łyków. Wzięła głęboki oddech, spojrzała czule na Joaquina i opowiedziała mu historię Tolteków.

- Większość ludzi popełnia błąd i uważa, że Toltekowie byli narodem, cywilizacją czy państwem. Przez długi czas badacze Mezoameryki przyjmowali ten pogląd i umiejscawiali ich cywilizację w Tula w stanie Hidalgo. Można znaleźć nawet książkę pod tytułem *Sztuka Tolteków*, która utrwała jeszcze tę błędną koncepcję.

- Dobrze, to nie naród. Czym są?

- To tak naprawdę mit stworzony przez Azteków, żeby dodać religijnej wagi swojemu podbojowi ludów Mezoameryki. Jedno z narzędzi, za pomocą których zbudowali swoje imperium.

- Rany! Naprawdę? Kiwnęła głową.

- Nie brzmi to bardzo new-age'owo.

- Niespecjalnie.

- I jak to działało?

- Cóż, Aztekowie twierdzili, że istniała starożytna cywilizacja zwana Toltekami. Mogłabym wejść w szczegóły tego mitu, ale najważniejsze jest, że byli oni starożytną cywilizacją posiadającą imperia i rozległe miasta, a więc wszystko, co kojarzyło się ze sztuką, rozwojem miast czy jakąkolwiek scentralizowaną władzą było „tolteckie”. Toltekowie równa się starożytna arystokracja. Znaczy, jeśli popierasz dążenie do zbudowania imperium, jesteś szlachetny.

- Genialne.

- Aztekowi nie można odmówić sprytu. To jeszcze nie wszystko, bo słowo Toltec znaczy „artysta” albo „wytwórca”. W potocznej mowie prawdopodobnie można to było rozciągnąć nawet na „murarza”. Dlatego Aztekowie za pomocą języka skaptowali robotników, którzy wznosili budowle imperium.

- Chwileczkę - wtrącił Joaquin. - Wszyscy się z tym dziś zmagamy. Stajemy się Toltekami, będąc przekonani, że z nimi walczymy.

- Nie rozumiem.

- To zupełnie jasne. Nie widzisz?

- Nie.

- Wydaje się nam, że jesteśmy tacy mądrzy i postępowi. Ale wynosząc na piedestał technologię, nawet z dobrych powodów czy głupich, nawet w *Radiu duchów*, przesuujemy granice imperium. Stajemy się Toltekami.

- Chyba masz rację. - Alondra pokiwała głową.

- Zaczekaj, to nie wszystko.

Joaquin rozejrzał się po kuchni. Skakał spojrzeniem od podłogi do sufitu, od kąta do kąta, wzdłuż sztukaterii.

- Co się stało?

- Oni tu są: prześlizgują się między dniem a nocą, światłem a cieniem, snem a rzeczywistością.

- Toltekowie? To ma sens - powiedziała Alondra. - Toltekowie rzekomo wierzyli, że życie jest snem.

Joaquin przypomniał sobie słowa Barry'ego: „Sen znika, kiedy śniący przestaje śnić”.

- Wierzyli, że nasze życie nie jest rzeczywiste. Zostaliśmy nauczeni wierzyć w rzeczywistość, którą wyśnił ktoś inny. W ten sposób, kiedy w końcu przebudzimy się, możemy zapanować nad snem i zyskać szczęście. Tak mi się wydaje. - Alondra wzruszyła ramionami.

- Tak mówił Barry, że sen znika, kiedy śniący przestaje śnić. Nie wspominałem jeszcze o tym, że kiedy pastor zginął, cały świat się zatrzymał.

- Dobra, o ile twój pastor nie był samym papieżem Benedyktem, możemy chyba założyć, że to co się wydarzyło, ty śniłeś. Myślisz, że naprawdę wszystko się zatrzymało?

- Kiedy Barry to powiedział, ja odjechałem, a opustoszałe ulice przywodziły na myśl wymarłe miasto. Opowiedz mi więcej o Toltekach. Wierysz w to wszystko?

- Nigdy w to nie wierzyłam, ale wierzył ktoś, kto był obecny w moim życiu. Zapomnij o tym. Wiesz, że nie noszę rozmawiać o przeszłości.

Joaquin nachylił się do niej.

- Teraz właśnie cię proszę, żebyś zrobiła wyjątek.

- Nie jestem ekspertem od Tolteków, ale jak mówiłam, te kultury bazują na koncepcji świadomych snów.

- Świadomych snów?

- Polega to na tym, że możesz śnić i jednocześnie mieć tego świadomość oraz kontrolę, w ten sposób przeżywać swoje sny jako rodzaj „alternatywnej rzeczywistości”, gdzie możesz robić wszystko: latać, urzeczywistniać swoje najbardziej zboczone i szalone fantazje seksualne bez żadnego niebezpieczeństwa.

- Czuję się, jakbym przeżywał cudze koszmary, ale nie z własnej woli.

- Joaquin, moim zdaniem to naturalne, do pewnego stopnia, że kiedy codziennie słuchasz horrorów, umysł zaczyna ci płatać figle.



- Ale skąd się biorą moje wizje?

- Niewątpliwie z tego samego miejsca, co reszta naszych bodźców: z otoczenia, telewizji, filmów, gier komputerowych. Skąd mam wiedzieć? Może z *Matriksa*. Obejrzenie całej trylogii pięćdziesiąt razy pod rząd nie zrobiłoby nikomu dobrze na wyobraźnię. Zamieniasz się w Neo fal eteru.

- To nie jest śmieszne.

Przestała się uśmiechać, ale niezbyt przekonująco.

- Dobrze, dobrze, to sprawa żywotnej wagi, a nie tylko umysłowa niestrawność.

- To nie są tylko obrazy, wizje czy echa mediów. To prawdziwe przeżycia, które przenoszą mnie z miejsca na miejsce razem z zapachami, kolorami, brudem i bólem. Ze wszystkim. Spójrz.

Joaquin pokazał ślad na twarzy i podwinął koszulę, żeby Alondra zobaczyła sińce po uderzeniach pięści pastora.

- Co ci się stało?

- Pobiliśmy się z grubasem w szlafroku dziś, choć to nie istniało.

- No, czasami są wydarzenia działające psychosomatycznie. Bywa, że fizycznie odzwierciedlamy to, co sobie wyobrażamy. A może się o coś uderzyłeś. Mnóstwo rzeczy wchodzi w grę.

Alondra przyjrzała się uważnie siniakom na torsie Joaquina. Zdecydowanie wyglądały jak ślady po pobiciu, a nie objawy zaburzeń emocjonalnych.

- Nie spadłeś gdzieś ze schodów?

- Sam już nie wiem, w co mam wierzyć.

## 42

### W SZPITALU KANIBALI

Szpital miał długie, bezkresne korytarze. Należał do wojska i podczas II wojny światowej sporo się tu działo. Joaquin i Gabriel podczas pierwszej przejażdżki na wózkach bez pielęgniarek zwiedzili liczne skrzydła swojego piętra. Czytali tablicę pamiątkową wiszącą przed biurami administracji i obserwowali pielęgniarki. Zwłaszcza jedną, która miała- jak

się obaj zgodzili - najbardziej imponujące piersi w całym szpitalu. Robili wszystko razem, o ile tylko mogli uniknąć rozmowy o sprawach osobistych.

Po wielu dniach strachu i samotności, oglądania teleturniejów, talk showów i oper mydlanych, Joaquin znów pojechał szukać Gabriela. Czuł potrzebę bycia blisko niego, dowiedzenia się, kim jest, co robił, gdzie chodził do szkoły i jakiej słuchał muzyki. Najbardziej martwiło go jednak pytanie, którego wciąż nie odważył się zadać: co się z nimi stanie po wyjściu ze szpitala? Nie miał jeszcze pojęcia, co w jego sprawie postanowiono: Kto się nim zaopiekuje? Gdzie będzie mieszkać? Cały czas miał wrażenie, że śmierć rodziców nigdy się nie wydarzyła. Musiał wierzyć, że Gabriel przeżywał podobne katusze, powoli godząc się z nową rzeczywistością.

Kiedy tylko pozwolono mu poruszać się samemu, Joaquin ruszył wózkiem na poszukiwanie Gabriela. Któregoś ranka znalazł go w ogrodzie, czytającego książkę. Zatrzymał się kilka metrów od niego.

- Dobrze cię widzieć. Właśnie skończyłem czytać powieść, którą pozyczyłem od gościa na łóżku obok - powiedział Gabriel.

- Co to jest?

- Stephen King. Lubisz horrory?

- Bardzo. I Stephena Kinga też.

- Chcesz przeczytać? Tylko oddaj, kiedy skończysz, bo sąsiad zatłucze mnie swoimi kulami. Tak dosłownie powiedział.

- Kiedy się jest na wózku, to poważna groźba.

- Nie masz nic do czytania?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie planowałem pobytu tutaj.

Gabriel się zaśmiał.

- Ja też nie planowałem takich wakacji.

Porozmawiali trochę o muzyce, trendach, technikach niektórych gitarzystów i sprzecznie używanym przez klawiszowców. Potem przeszli do dyskusji o stylach i powodach robienia muzyki w czasach, kiedy to pole wydawało się całkowicie nasycone. Ich rozmowa na tym się nie skończyła; stała się jednym z krytycznych momentów ich związku - sporem niemożliwym do rozstrzygnięcia, ale istotnym dla tego, jak postrzegali muzykę.

- Uważam, że dopóki czujesz potrzebę wyrażania się przez muzykę, dopóki dobrze się bawisz i sprawia ci to przyjemność... - mówił Gabriel, który podchodził do tego z większą swobodą.

- Zgadza się, ale ważne jest, żeby wiedzieć, że to, co robisz, ma znaczenie, jest jakąś innowacją. Że mówisz coś, czego nie powiedział jeszcze nikt inny.

- Czemu to miałyby być ważne? Po pierwsze i najważniejsze, muzykę robisz dla siebie.

Joaquin lekceważąco machnął ręką.

- Gówno prawda. Każdy robi muzykę dla publiczności. Może na jakimś poziomie daje ci to satysfakcję, stymuluje cię, może nawet masz potrzebę to robić, ale jeśli nie bierzesz pod uwagę słuchacza, cała reszta nie ma znaczenia.

- Nie, to rzecz drugorzędna. Najpierw musi ci to sprawiać przyjemność i dawać satysfakcję z tego, co robisz. Potem możesz sprawdzić, czy podoba się komuś jeszcze.

- Powiedzmy, że tak jest, kiedy grasz klasykę, gdzie najbardziej liczy się technika. Wtedy można to postrzegać jak sport, który próbujesz uprawiać z coraz większym wdziękiem, szybkością i zręcznością. Albo jeśli jesteś mariachim albo muzykiem sesyjnym, i wystarczy ci tylko zagranie swojego i zainkasowanie gotówki.

- Nie, mylisz się. Masz najemniczą wizję muzyki.

- A ty gadasz bzdury. Jedyna osoba, która mogłaby spełnić twoją ideę „grania muzyki dla siebie”, to niedorozwinięta szesnastolatka, która nie miała jeszcze okresu.

Kłócili się tak bez końca. Ich spory różniły się intensywnością i zazwyczaj traciły spójność, aż któryś z nich wściekał się i kazał drugiemu spieprzać. Parę chwil później znów rozmawiali, jakby nic się nie stało.

Gabriel i Joaquin zaczęli podbijać kolejne tereny szpitala. Spędzali razem coraz więcej czasu i w końcu załatwili sobie przeniesienie do osobnej sali.

Większość pielęgniarek odnosiła się do nich z czułością i poświęcała im więcej uwagi niż innym pacjentom. Nie zmuszały ich do bezsensownych diet, pozwalały korzystać ze starego radiomagnetofonu, a jedna nawet w ramach przyjaznego gestu pożyczyła im starą gitarę. Myślała, że będą grać popularne przeboje dla reszty pacjentów. Przeżyła gorzkie rozczarowanie, kiedy usłyszała ich muzykę, pełną dźwięków organicznych, metalicznych, gardłowych, a nawet gastrycznych. Było w tym dużo humoru à la Zappa, ale też ziarno tego, co miało się rozwinąć w ich przyszłe brzmienie. Ulubieńcy pielęgniarek szybko stracili swoje „muzyczne przywileje”; irytowali pacjentów, personel i sąsiadów. Gabriel zbudował

bardzo prosty syntezator z elektronicznych podzespołów, które zwędził ze składziku ze starym medycznym sprzętem. Magnetofonami wzmacniał stworzone dźwięki. Joaquin zbierał puszki, butelki, kawałki metalu i drewna oraz inne przedmioty, których używał jako prowizorycznej perkusji. Niestety, często po powrocie do pokoju odkrywał, że jego instrumentarium wywalono do śmieci. Gabriel usłyszał o technice cięcia taśm, stosowanej przez beatników takich jak William Burroughs; wytłumaczył Joaquinowi, jak nieskończone otworzyłyby się przed nimi możliwości, gdyby włączyli do swojej muzyki rytmy, tekstury i głosy z radia.

- Brzmi to trochę jak to, co robili dadaści - odparł Joaquin z entuzjazmem.

- Zgadza się. Coś takiego, muzyka ready-made.

Kiedy czas nużąc ci się dłuży, sam wymyślasz sobie rozrywki. Biedak z zaawansowanym zapaleniem trzustki miał kolekcję kaset; córka, jak widać, wolała nagrywać wiadomości niż pisać listy. Joaquin i Gabriel doszli do wniosku, że chory w takim stanie, nie zauważy braku kilku kaset, więc je „pożyczili”. Nagrywali odgłosy szpitala, głosy, zakłócenia radiowe, a potem za pomocą ostrego noża i taśmy klejącej zrobili kilka loopów i odtworzyli je na magnetofonie.

Którejś nocy, kiedy rozmawiali do późna, Joaquin bawił się radiem. Kręcił potencjometrami, szukając brzmień, które mogliby włączyć do skomponowanego wcześniej kawałka, kiedy trafił na *Radio duchów*, program, w którym słuchacze dzwonili i opowiadali najróżniejsze straszne historie, niewytłumaczalne zdarzenia i makabryczne przeżycia. Niektóre tak niewiarygodne, że nie dawały się opisać. Ogólnie rzecz biorąc, tematyka audycji była fascynująca i od pierwszej chwili wciągnęła ich obu. Od tej pory słuchali jej wiernie co wieczór. Taką zmianą złamali duszącą monotonię szpitala, za to powtarzanie czegoś regularnie dało im przyjemną namiastkę normalności. Już wkrótce codzienna dawka grozy stała się najbardziej ekscytującą chwilą dnia.

Oczywiście opowieści o strasznej śmierci, duchach i wypadkach wydawały się ostatnim rodzajem rozrywki, jaki można by polecić chłopcom, którzy właśnie tragicznie stracili rodziców. Ale w pewien sposób historie te działały na nich jak szczepionki, pomagały dzielić się bólem. Większość z nich swoją naiwnością neutralizowała grozę i przekształcając ją w coś łatwego do zaakceptowania, ludzkiego - nawet śmiesznego. Gabriel i Joaquin uważnie słuchali dzwoniących i popijali colę, którą przemykali do swojego pokoju.

Nieraz zostali przyłapani przez pielęgniarki, ale zwykle mogli słuchać dalej, chociaż czasami narzucały swoją wolę, wyłączając im cenne radio, czy nawet grożąc jego konfiskatą. Na szczęście kończyło się na pogrożkach.

Czasami chłopcom udawało się nawet zapalić trawkę, zdobywaną od sprzątacza w zamian za najróżniejsze przedmioty, jakie wpadały im w ręce, od prawie pełnych pudełek czekoladek po elektryczne maszynki do golenia, które „znajdowali”, kiedy zostawiano ich gdzieś bez nadzoru.

Gabriel często twierdził, że niedługo odwiedzą go koledzy ze szkoły. Mówił, że przedstawi Joaquina członkom swojego zespołu, lecz mijały dni i nikt się nie zjawiał. Po jakimś czasie Joaquín zrozumiał, że to delikatny temat. Nie znał szczegółów, ale jak widać przyjaciele Gabriela za bardzo za nim nie tęsknili. Ten kilka razy dzwonił do swojego kolegi Mike'a, który za każdym razem obiecywał, że do niego wpadnie. Joaquín nie spodziewał się wizyt żadnych znajomych, ale z lękiem czekał, aż odbierze go babcia. Przedstawiono jej sytuację i rozmawiał z nią przez telefon; to była bardzo trudna rozmowa. Żadne z nich nie płakało. Oboje z wielkim wysiłkiem zachowywali powściągliwość, tamowali swoje uczucia, jakby pojedyncza łza miała uwolnić niekontrolowaną lawinę emocji.

Ktoregoś ranka zjawił się Gabriel.

- Chodź, coś ci pokażę. Nie uwierzysz.

Joaquín wyszedł za nim na korytarz i na rampę, gdzie zatrzymali się pod drzwiami.

- Jesteśmy - powiedział Gabriel. - Co o tym sądzisz?

- O czym?

- O torze, kretynie. - Gabriel wskazał ścieżkę okrążającą rzadko uczęszczaną część ogrodu.

Nagle ruszył wózkiem w dół rampy, odpychał się rękami, nabierając prędkości. Joaquín się przestraszył; myślał, że Gabriel chce mu powiedzieć coś osobistego, a on nagle pędził na łeb na szyję pustym szpitalnym korytarzem. Pojechał za nim, najszybciej jak mógł. Nie miał pojęcia, jak wytrzymałe są wózki, a myśl o tym, co by się stało, gdyby kogoś przejechali, nawet nie powstała mu w głowie.

Nachylenie było całkiem spore i po chwili Joaquína dzieliło zaledwie parę metrów od Gabriela. Zobaczyła ich pielęgniarka i zaczęła krzyżeć: „Stać! Stać!” Joaquín skupił się na dogonieniu Gabriela. Nagle otworzyły się drzwi i na korytarz wyszli doktor Scott, pediatra, i pan Garda,

administrator szpitala. Gabriel skręcił w lewo, ale Joaquin nie zdążył. Doktor, widząc naprzeciwko rozpedzony wózek, zasłonił twarz i zawołał słabo: „Nieeee!”

Na szczęście wyścig nie miał poważniejszych konsekwencji. Doktor wyszedł z tego tylko z kilkoma otarciami i zranionym ego; Joaquin go nie poturbował, bo zdążył skręcić w krzaki. Panu Garcii nic się nie stało. Chłopcy tłumaczyli się, że Gabriel stracił panowanie nad wózkiem, zjeżdżając po rampie, a Joaquin chciał go dogonić i zatrzymać; niechcący go popchnął, i wózek przyspieszył. Doktor, bardzo urażony, upierał się, że to wcale nie był wypadek, że chłopcy namierzyli go umyślnie. Chciał ich oskarżyć o napaść i uszkodzenie mienia. Dyrektor szpitala, doktor Friedman, przypomniał mu, że napastnicy to dwaj zwykli chłopcy na wózkach, którzy niedawno stracili rodziców.

- Doktorze Scott, nie jestem pewien, czy uda się panu przekonać sędziego, że są winni.

- Ale oni na mnie napadli.

- Zostawmy to. Zdarzył się wypadek. Nic podobnego już nigdy się nie powtórzy. Tak?

Chłopcy przytaknęli, tłumiąc chichoty.

Joaquin dostał nowy wózek, bo tamten nie nadawał się do użytku. Obaj podreperowali sobie reputację, niektóre pielęgniarki, zwłaszcza te młodsze, były nimi zaintrygowane. Ale sporo osób uważnie im się przyglądało, więc musieli zachowywać się poprawnie. Scott nie odpuszczał, powtarzał, że zapłacą za to, co zrobili; szpiegował chłopców i robił, co mógł, żeby pozbyto się ich ze szpitala. Friedman, chociaż ich bronił, też nie był zbyt zadowolony z obecności dwóch znudzonych, szalonych nastolatków i wołałby, żeby ich przeniesiono do innej placówki. Na szczęście dla chłopców, z prawnego punktu widzenia nie mógł nic zrobić. Biurokracja rządziła się skomplikowanymi zasadami i procedury zajęłyby kilka tygodni czy miesięcy.

Nocami Joaquin i Gabriel słuchali *Radia duchów*, a chociaż mieli mniej sposobności znajdowania kontrabandy, która uprzyjemniałaby im wieczory, program wciąż sprawiał im ogromną radość.

Któręgoś wieczoru wymknęli się cichcem z pokoju, posuwali się bezgłośnie korytarzem. Wiedzieli, że niełatwo będzie im dotrzeć do gabinetu dyrektora niezauważenie, ale Joaquinowi raz się już to udało. Trudno było o dyskrecję, jadąc środkiem szpitalnego korytarza w dwóch wózkach skrzypiących bardziej niż stary tapczan w burdelu.

Zsynchronizowali swoje ruchy, żeby zminimalizować hałas. Podróż trwała prawie godzinę: godzinę z trudem tłumionych chichotów, zanim dotarli do drzwi gabinetu dyrektora. Joaquin spróbował klucza, który dostał od pracownika szpitala za prawie pełną butelkę płynu po goleniu Aramis. Pasował. Szybko wsunęli się do środka, zamknęli za sobą drzwi i podjechali do telefonu. Gabriel był pierwszy; podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Zajęte. Spróbował jeszcze raz. Zajęte. I znów, to samo. Rozczarowany odłożył słuchawkę. Joaquin przyłożył palec do ust, żeby zachować ciszę, i sam wykręcił numer. Zajęte. Spróbował jeszcze raz i usłyszał głos młodej dziewczyny.

- Tu *Radio duchów*. Usłyszemy jakąś ciekawą historię? Szybko podał słuchawkę Gabrielowi.

- Tak - powiedział Gabriel. - Chcę opowiedzieć historię.

- Proszę mówić głośniejsze.

Joaquin dusił się ze śmiechu.

- Jakies dwa lata temu trafiłem do Szpitala Świętego Michała w Houston. Miałem mieć operację w związku z niewydolnością nerek.

Joaquin ledwie stłumił napad śmiechu.

- Operację wyznaczono mi na następny dzień, ale ze strachu nie mogłem zasnąć, więc przejechałem się po szpitalu na wózku. Wtedy usłyszałem hałas, który zwrócił moją uwagę. Zajrzałem do gabinetu, w którym paliło się światło, i zobaczyłem tam siedzących przy stole lekarzy i pielęgniarki, wszyscy pożerali zakrwawione wnętrzności.

U szczytu stołu siedział dyrektor szpitala, doktor Friedman. Ale krojeniem ludzkiego ciała i rozdzielaniem porcji kierował doktor Scott. Pacjent, którego operowano tego dnia, mój sąsiad z sali, z chorobą prostatą, leżał bez ruchu na podłodze. Następnego dnia powiedziałem im, że nie mogą mnie operować, bo kręci mi się w głowie i całą noc wymiotowałem. Doktor Scott niechętnie przełożył operację i zamiast mnie wzięli na stół młodą kobietę z wielkim guzem na plecach. W nocy znów pojechałem na przejażdżkę. Tym razem chciałem sobie samemu udowodnić, że poprzedniej nocy nie miałem halucynacji. Kiedy dojechałem do pokoju, w którym widziałem kanibali, zobaczyłem Scotta i Friedmana; raczyli się wciąż pulsującymi narządami dziewczyny. Chciałem uciec, ale szpital jest jak forteca, więc codziennie musiałem wymyślać nowe wymówki, żeby nie zawieźli mnie na salę operacyjną.

Joaquin nie mógł się już powstrzymać, ryknął śmiechem. W końcu Gabriel odłożył słuchawkę. Śmiali się tak, że pospadali z wózków.

Potem „pożyczyli” parę należących do dyrektora przedmiotów i wyszli cichutko z gabinetu. Nie byli już tylko słuchaczami *Radia duchów*; stali się dzwoniącymi i pękali z dumy.

- Jeśli z jakiegoś powodu nie zostanę muzykiem, wiem, kim chcę być.
- Lekarzem kanibalem?
- Gospodarzem programu radiowego.

Nie mogli przestać, się śmiać.

W końcu nadszedł dzień, kiedy babcia Joaquina mogła go odwiedzić. Był wtedy z Gabrielem, czytali w ogrodzie jak każdego popołudnia. Kiedy zobaczył babcię, próbował wstać; uświadomił sobie, że nie może, i podjechał do niej. Gabriel poczuł się niezręcznie, zostawił ich. Rozmawiali długo, bez składu i ładu, nie mówiąc nic konkretnego.

Później Joaquin wrócił do pokoju.

- Zamieszkać z babcią, kiedy stąd wyjdę - powiedział Gabrielowi. - Nie wracam do Meksyku.

## 43

### NIEISTNIEJĄCY PROGRAM

Joaquin pomyślał, że dobrze mu zrobi wyjście z domu. Może kupi sobie parę płyt albo pójdzie do supermarketu zabić czas. Miał zszargane nerwy; zaczynał mówić do siebie. Jechał samochodem, kiedy zadzwoniła komórka, nowa, do której jeszcze się nie przyzwyczyił. To był Prew, dziennikarz z „Newsweeka”; wydawał się zdenerwowany.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mam pytanie. Właśnie rozmawiałem ze sprawdzającym fakty naszego pisma, znalazł problem w wywiadzie.

- O co chodzi? Myślałem, że skasowaliście ten artykuł kilka miesięcy temu, kiedy nie chciałem rozmawiać o Gabrielu.

- Tak było. Ale wy odnieśliście sukces, my mieliśmy wolne miejsce i postanowiliśmy go wydrukować. Tyle że, jak mówię, jest problem.

- Jaki?



Joaquin zezłościł się na myśl, że ktoś odgrzebał jego stary wywiad i że batalion pracowników „Newsweeka” węszy, szukając błędów, sprzeczności i stwierdzeń, które mogłyby mieć dla tygodnika konsekwencje prawne.

- To drobiazg, ale on uważa, że coś się panu pomyliło, kiedy pan mówił, że słuchał programu podobnego do waszego, będąc z Gabrielem w szpitalu.

- Co pomyliłem?

- Cóż, taki program nie istnieje.

Z głosu reportera przebijała troska.

- Oczywiście, że istnieje. Wasi fakto-sprawdzacze się pomylili.

- Panie Joaquinie, to są zawodowcy. Pracują dla tygodnika od lat i nigdy nie mieliśmy z nimi problemów. Czy wypadek mógł wpłynąć na pana pamięć?

- Nie, jestem całkowicie pewny tego, co powiedziałem.

- Niemożliwe. Takiego programu nie było w rejonie Houston od trzydziestu lat; w archiwach nie ma żadnych audycji o duchach, upiórach czy potworach. Sam je przejrzałem.

- Panie Prew, to jakaś pomyłka. To nie byłby pierwszy raz, kiedy muszę szukać dokumentów, które zniknęły z bibliotek czy archiwów. Znajdę je, niech mi pan da trochę czasu.

- Pan mnie nie zrozumiał. Naprawdę szukaliśmy. Sprawdziliśmy wiele tomów zapisów i rozmawialiśmy z kilkoma ekspertami. Nikt nie wiedział, o co chodzi.

Joaquin zatrzymał samochód, czując, że kręci mu się w głowie. Nie potrzebował akurat teraz takich wieści; jego kontakt z rzeczywistością i tak był kruchy.

- Wiem, że może mi się mieszać wiele rzeczy z przeszłości. Ale w tym wypadku nie mam wątpliwości. Ten program uratował mi życie; zainspirował mnie do robienia tego, co robię teraz.

- Czy możliwe, że słyszał go pan w Meksyku?

- Jestem pewien, że to było w szpitalu. Nie ma innej możliwości.

- Zna pan kogoś jeszcze, kto mógłby go wtedy słuchać?

Joaquin próbował sobie przypomnieć, ale on i Gabriel nie dzielili się z nikim swoimi przeżyciami. O tej porze obowiązywała cisza nocna; słuchania radia po dwudziestej pierwszej zabraniał regulamin, co więcej, nie sądzili, żeby kogoś jeszcze w szpitalu taki program interesował.

- Z tego co wiem, słuchaliśmy go tylko ja i Gabriel.

- Tylko pan i pana zmarły przyjaciel. - Niedowierzenie w głosie Prewa było wprost namacalne.

- Na pewno słuchało go dużo ludzi. Ja ich nie znam.

- Wspomnienia to tylko chemiczne reakcje, proste wyładowania elektryczne. Trudno o rzecz bardziej kruchą.

- Możliwe, ale wtedy to była bardzo ważna część mojego życia.

- Dajmy temu spokój. To nic wielkiego, po prostu wykreślę tę część.

- Nie, Prew, niech pan tego nie robi. Proszę mi dać trochę czasu...

Joaquin rozłączył się, przyspieszył i ostro zawrócił, nie bacząc na inne samochody. Wśród trąbienia klaksonów i wyzwisk popędził w przeciwną stronę. Pomyślał, że powinien wrócić do domu i odpocząć; wciąż nie otrząsnął się po śmierci pseudoszamana, zresztą nie był nawet pewny, czy naprawdę do niej doszło. Z drugiej strony, chciał o tym zapomnieć, założyć, że to tylko halucynacja, koszmar albo omdlenie. Pamiętał jednak żywo wszystko, co się wydarzyło. Zresztą w tej chwili miał inną, pilniejszą sprawę do załatwienia. Musiał udowodnić, że ta audycja radiowa istniała. Gdyby mu się nie udało, wszystko ległoby w gruzach; ten program był kamieniem węgielnym jego wspomnień. Ale gdzie zacząć szukać? Widział rozwiązanie. Zadzwoił do Alondry.

- Muszę jechać do Houston, natychmiast. Muszę coś sprawdzić, bo zwariuję.

Nie pozwalając jej odpowiedzieć, zrelacjonował, co się stało. Nic nie zrozumiała.

- A jakie to ma znaczenie?

- W tej chwili to najważniejsza rzecz na świecie.

- Uspokój się, Joaquin. Zostaw to mnie. Zbadam sprawę i najdalej za dwa dni będziemy wiedzieć, czy naprawdę istniał, czy to wytwór twojej wyobraźni.

- Nie mogę. Muszę jechać teraz.

- Dramatyzujesz. Uspokój się. Weź głęboki oddech. Wyjazd w tej chwili nic ci nie da.

- Alondra, nie możesz powiedzieć nic, co by mnie przekonało, żebym nie jechał.

Westchnęła.

- Dobrze, ale pozwól, że się tym zajmę i dowiem się, kto ci może pomóc. Wracasz jutro?

- Prawdopodobnie, chyba że znajdę coś bardzo ważnego.

- Uważaj na siebie, dobrze?

Joaquin jechał za szybko. Czuł nieustępliwy ciężar na piersi, a głowę wypełniała mu gęsta, abstrakcyjna mgła. Przyjechał na lotnisko, kupił bilet powrotny i ruszył do swojej bramki. Zadzwoiła jego komórka. Nowa. Obcy w jego kieszeni.

- Dowiedziałam się dla ciebie czegoś. Max Stevens jest ekspertem od radia w Houston i całym Teksasie.

- Super. Daj mi jego namiary.

- Rozmawiałam z nim. Joaquin, nie musisz tam lecieć. On ma telefon. Możesz zadzwonić.

- Alondra, muszę.

- Jak chcesz. Prześlę ci SMS-em jego numer. Umiesz obsługiwać nowy telefon?

- Tak, nie martw się. Wysyłaj. Muszę się z nim umówić.

- Już cię umówiłam. Stevens spotka się z tobą dziś. Powiedziałam, że to pilna sprawa. Jest bardzo życzliwie nastawiony.

Wsiadając na pokład samolotu, Joaquin uświadomił sobie, że nie był w Houston od bardzo dawna. Nie pamiętał dobrze tego miasta i to go martwiło. Jak mógł zapomnieć miejsce, w którym tak długo mieszkał? Potem przypomniał sobie swój powrót do Meksyku sprzed lat. Tamto miasto też wydało mu się nieznanym. Uspokoił się. Wtedy wspomnienia wróciły, wrócić i dziś.

Ale wtedy w Meksyku było inaczej. Od chwili przylotu Joaquin czuł się, jakby wylądował na obcej planecie. Wydawało mu się, że trafi na miejsce, pytając o drogę; kiedy jednak ruszył wynajętym fordem taurusem 2007, zrozumiał, że bez mapy nie trafi nawet do śródmieścia, co powinno być przecież proste. Patrzył, jak zielony metalik maski odbija słoneczne promienie.

- Moją religią jest komputerowy czip - mruknął do siebie, odczytując drogę do domu Stevensa z ekranu swojego nowego telefonu.

Podróż przebiegła bez incydentów. Skręcając w Monroe, w stronę autostrady, minął kawiarnię. Przy stolikach wystawionych na chodnik siedziała gromadka ludzi, stłoczonych wokół radia. Mieli puste oczy. Filizanki trzymali centymetry od ust, ale nie pili. Joaquin wiedział, że o tej porze nie mogli słuchać *Radia duchów*, ale miał dziwne wrażenie, że to właśnie robili. Chciał nawet zatrzymać się, opuścić szybę i spróbować posłuchać, ale rozmyślił się i pojechał dalej.

Biuro znajdowało się w luksusowym drapaczu chmur w centrum. Stevens miał sekretarkę i zespół asystentów - chodzili w tę i z powrotem

nosząc segregatory, pudełka i pliki dokumentów. W poczekalni wisiały plakaty, które reklamowały jego książki, zdjęcia Stevensa, jak ścisła dłońie znanym osobom, oraz olejny obraz przedstawiający żaglowiec na oceanie. Joaquin nie musiał czekać długo.

- Pan Joaquin, miło mi pana poznać. Tak się składa, że jestem panem bardzo zainteresowany, bo zamierzam o panu napisać w następnej książce. Pana program odniósł spory sukces.

Joaquin wysłuchał jeszcze kilku komplementów; chciał je odwzajemnić, mówiąc coś pozytywnego o książkach Stevensa, których nigdy nie czytał, ale nic nie przyszło mu do głowy. Powiedział, że to przyjemność i zaszczyt go poznać.

- Przyleciałem do pana, ponieważ nikt nie zna się na tej branży lepiej.

Stevens, wysoki, chudy mężczyzna o ostrych rysach twarzy i nienaganej prezencji, wydawał się zadowolony.

- Przejdę od razu do sedna sprawy. Szesnaście lat temu miałem w tym mieście poważny wypadek. Byłem hospitalizowany przez sześć tygodni i w tym czasie słuchałem wieczorami audycji radiowej o duchach i zjawiskach nadprzyrodzonych, bardzo podobnej do tej, którą teraz prowadzę. Program nadawano bardzo późno, może nawet szedł całą noc. Słuchacze dzwoniли i opowiadali straszne i tajemnicze historie, i rozmawiali o wszystkim, co wiązało się z duchami. Może mi pan cokolwiek opowiedzieć o takim programie?

- Nic nie przychodzi mi do głowy - odparł Stevens.

- Jest pan pewny?

- Całkowicie. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że mógł się pan pomylić. Ale mogę sprawdzić jeszcze raz. Posiadam najobszerniejsze i najpełniejsze archiwum audycji radiowych w tym stanie, może nawet w kraju; pan pozwoli.

Stevens usiadł do komputera i coś wpisał. Joaquin czekał w milczeniu. Im dłużej czekał, tym głębiej zapadał się w fotel. Wyczuwał, że nic się nie dowie; było to dla niego tak samo przykre, jakby dowiedział się od lekarza, że cierpi na nieuleczalną chorobę.

W końcu Stevens się odezwał:

- Panie Joaquinie, musiała zajść jakaś pomyłka. Mam tu dane o nocnych audycjach, rok po roku, z ostatnich trzydziestu lat i nie widzę ani jednego programu podobnego do tego, który pan opisuje, czy w ogóle zajmującego się tematami, które pan wymienił.

- Wiedziałem, że mi pan to powie, panie Stevens. Dlatego przyjechałem osobiście. Uważam, że ten program zaginął, że się tak wyrażę.

- Co to znaczy... zaginął?

- Z jakiegoś powodu nie znalazł się w oficjalnych archiwach.

- Czemu miałyby się tak stać?

- Nie wiem. Ale mogę panu zagwarantować, że on istniał.

Stevens zmrużył oczy. Joaquin wyczuł, że to człowiek, który nie nosi sprzeciwu ani krytyki.

- Panie Joaquinie, mam kompletne archiwum. Bezbłędne. Nie ma mowy o jakimkolwiek przeoczeniu i nie rozumiem, co ma pan na myśli, mówiąc o niezarejestrowanym programie.

- Chcę tylko wiedzieć, czy coś takiego w ogóle jest możliwe.

- To śmieszne. Nie. Posiadam drobiazgowo i wyczerpujące dane... - Stevens wymówił ostatnie słowa wolno i z naciskiem - ...na temat wszystkich programów emitowanych w rejonie Houston w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

- Nie wątpię. Ale jestem pewien, że ten program istniał.

- Pamięta pan jakieś inne jego szczegóły? Nazwisko prowadzącego, stację, dni, w które go nadawano?

- Pamiętam, że było tam kilka osób, mężczyźni i kobiety. Nadawano go nocą, trzy czy cztery razy w tygodniu, ale nie przypominam sobie stacji.

- Może numer telefonu?

- Nie mam go, ale chyba mogę zdobyć. - Joaquin pamiętał, że kiedy Gabriel dzwonił, zapisał numer w notesie, który być może wciąż znajdował się wśród innych pamiętek, włączonych przez niego latami z miejsca na miejsce. - Możliwe, żeby to były audycje podziemne? Utajnione?

- Chyba tak. W takim wypadku na pewno nie zostałyby zarejestrowane w moim archiwum.

- Czy jest jakiś sposób, żeby dowiedzieć się czegoś o takich programach?

- Nie wiem.

- Musi być ktoś, kto je dokumentuje.

Stevens tracił cierpliwość.

- Przykro mi, że nie mogę panu pomóc. - Wstał, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

- Nie chcę zabierać czasu, ale sprawa jest dla mnie ogromnie ważna.

Irytacja Stevensa była oczywista; machinalnie kręcił nadgarstkami, uciekał wzrokiem. Joaquin nie zamierzał odchodzić z pustymi rękami. Musiał coś dostać, cokolwiek.

- Jest kolekcja Thea Winklera... - powiedział niechętnie Stevens.

- Czyja?

- Winkler to dyletant, który przez lata gromadził audycje uniwersyteckie, podziemne i pirackie. Nieuk i hochsztapler, ale może coś wiedzieć o tym, czego pan szuka.

- Bylbym wdzięczny, gdyby podał mi pan jakiś kontakt do niego.

- Poda panu moja sekretarka. Do widzenia.

Stevens wyprowadził Joaquina z gabinetu. Wyglądało na to, że się obraził, bo zwrócono się do niego ze sprawą, która nie miała związku z nim samym; prawdopodobnie skazał już Joaquina na wycięcie ze swojej następnej książki.

Joaquin mu podziękował i wziął od sekretarki kartkę z numerem telefonu, pod który zadzwonił, kiedy tylko wyszedł na zewnątrz.

Odebrał Winkler. Chyba nie miał sekretarki. Był zdumiony, gdy dowiedział się, skąd Joaquin ma jego numer.

- Stevens? Ten nadęty despota o mnie powiedział? Nie do wiary.

Joaquin wyjaśnił, czego potrzebuje, a Winkler zaproponował, żeby któregoś dnia wpadł.

- To musi być dziś.

- Jest późno. Nie da rady.

- Proszę, panie Winkler, to awaryjna sytuacja. Kończy mi się czas i muszę się z panem spotkać dziś. To nie potrwa długo.

Winkler zgodził się bez entuzjazmu; Joaquin ściągnął nowe wskazówki z MapQuesta i ruszył w drogę. Okazało się, że jego celem jest zapuszczony magazyn w dzielnicy domków jednorodzinnych na przedmieściu.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - odezwał się Joaquin, zanim Winkler, potężny grubas w kombinezonie, zdążył otworzyć usta.

„Archiwum” było stołem jadalnianym otoczonym stosami płyt, starych magnetofonów i sprzętu radiowego. Każdą płaską powierzchnię pokrywały centymetry kurzu; śmierdziało pleśnią i marihuaną.

- Jasne. Po pana telefonie myślałem o tym programie. Chyba wiem, o co panu chodzi. Mogę coś tu mieć.

Otworzył szufladę i zaczął przeszukiwać tysiące zakurzonych papierów. Mijały wieki. Joaquin prawie wpadał w rozpacz.

- Proszę, jest - powiedział nagle Winkler, podnosząc poźółkłą, wy-  
miętą kartkę.

Joaquin nie mógł uwierzyć. To pierwsza dobra wiadomość od dawna,  
wręcz zbyt dobra, żeby wierzyć w jej prawdziwość. Może nie był jednak  
wariatem i nie osuwał się w koszmar absurdu. W końcu, mając to na-  
granie, znalazłby potwierdzenie swoich wspomnień. Zamierzał od razu  
zadzwoić do Prewa i Stevensa, tylko po to, by im udowodnić, że nie  
kłamał i nie oszalał.

- Ma pan jakieś nagrania w swoim archiwum?

- Tak, mam coś w bibliotece audio. Ale wie pan, żeby móc utrzymać  
to wszystko, spodziewam się dobrowolnych wpłat.

- Ile pan chce, Winkler?

- To nie tak, że pana kasuję. Moje archiwum jest dostępne dla każ-  
dego, ale może pan jakoś wyrazić uznanie dla wysiłku, który to wszystko  
reprezentuje.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, ile mam „dobrowolnie wpłacić”?

- Joaquin był gotów dać tyle, ile będzie trzeba, o ile tylko mógłby posłu-  
chać nagrań programu.

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów - rzucił Winkler bez zastanowienia.  
Joaquin wyjął wszystkie pieniądze, które miał w portfelu.

- Sto pięćdziesiąt i mogę wypisać czek na jeszcze sto.

- Normalnie nie przyjmuję czeków - odparł Winkler - ale tym razem  
zrobię wyjątek.

Zagłębił się w zapleśniałe głębiny swojego „archiwum” i po jakichś  
dziesięciu minutach wrócił z kasetą. Włożył ją do starego magnetofonu  
Nagra i zaczął przewijać w przód i w tył, aż rozległ się jakiś dźwięk. Nie  
minęły trzy sekundy, kiedy Joaquin rozpoznał głosy.

- Nie, stop. Pomylił się pan, to nie jest program, którego szukam.

- To jest *Radio duchów*.

- Tak, wiem. To mój program, mój głos. To ja. Ja szukam podobnego  
programu, ale nadawanego w latach osiemdziesiątych.

- Słuchaj pan, to zostało nagrane ponad dwadzieścia lat temu. Wi-  
dzisz pan? - Winkler wskazał pudełko, z którego wyjął kasetę. Było napi-  
sane: *Radio duchów*, 13 wrz. 1983”.

- To niemożliwe. Musiała zajść jakaś pomyłka. Może przy opisywaniu  
pudełka. Ta kasetka musiała zostać nagrana kilka miesięcy temu.

Winkler popatrzył na niego bez zrozumienia, jakby Joaquin mówił w  
obcym języku.

- Przestałem nagrywać w tym formacie co najmniej dziesięć lat temu.  
- W takim razie coś się pomieszało. To jest mój program, *Radio duchów*. Nie słyszy pan, że to mój głos? A przecież nie mogłem go prowadzić dwadzieścia lat temu.

- Nie rozumiem. Prowadzi pan program *Radio duchów*, to jest nagranie tego programu z pana głosem, ale nie to, którego pan szuka?

- Nie, ja szukam podobnego programu, który był nadawany dwadzieścia lat temu. Tamten mnie zainspirował.

- Dobra, nieważne. To jest *Radio duchów*, nadawane w latach osiemdziesiątych. - Winkler miał pudełko pełne kaset opisanych nazwą i datami nadawania programu.

Joaquin wyjął pierwszą z brzęgu i włożył ją do magnetofonu zamiast pierwszej. Winkler mu nie przeszkadzał. Joaquin wcisnął przycisk „play” i znów usłyszał swój głos i Alondry. Wydawało mu się nawet, że rozpoznaje konkretny program.

- To też z niedawna.

Winkler zajrzał do pudełka i sprawdził stan taśmy.

- O ile dwadzieścia lat temu to niedawno.

- Dwadzieścia lat to nic. - Joaquin włączył trzecią kasetę.

Taki sam wynik. Sprawdził inne; na każdej to samo.

- Dobra, chyba już zaspokoilem pana ciekawość - powiedział w końcu Winkler.

- Nie! Nic nie rozumiem! Muszę się dowiedzieć, co tu się dzieje.

- Nic się nie dzieje, człowieku. Pytał pan o ten program, no to jest. Czarno na białym.

- Dzieje się to, że tu jest chaos i bajzel! Niech się pan rozejrzy! Nie wyobrażam sobie, żeby tu się dało zachować jakikolwiek porządek. Stevens mnie uprzedzał.

- Stevens to idiota, a moje archiwum jest w porządku. Mam w dupie, czy mi pan wierzy, ale te nagrania to naprawdę *Radio duchów* z 1983 roku.

Joaquin pożałował, że tak wybuchł. To była najgorsza możliwa pora na tracienie panowania nad sobą, ale nie potrafił się powstrzymać.

- Ja to widzę tak: albo pan gównu wie o tym wszystkim, albo chce mi wmówić, że zwariowałem.

Nagle Winkler wskazał grającą kasetę.

- Pan posłucha.



Joaquin posłuchał. To była przerwa na wiadomości. Prezenter mówił o wydaniu *Dzienników Hitlera*. Ani słowa o tym, że zostały sfalszowane. A potem nadano reklamę „światowej premiery” *Powrotu Jedi*.

- Zaraz, zaraz - powiedział Joaquin. - Ty to wrzuciłeś, tak? Robisz sobie ze mnie jaja, tak? Kto ci kazał? O co tu chodzi?

- Dobra, dość tego, stary - Winkler się wściekł. - Wynocha albo sam cię stąd wyniosę po kawalku. Widziałem już różnych czubków od teorii spiskowych, ale takiego jak ty jeszcze nie. Won! - Odwrócił się i chwycił stojący pod ścianą kij bejsbolowy.

Joaquin w tym czasie schował do kieszeni jedną kasetę. Wiedział, że to koniec rozmowy, a nie mógł wyjść bez jakiegoś dowodu. Jeśli ryzykował życie, uznał, że powinien to zrobić dla czegoś, co było tego warte.

- To nie paranoja. Nie rozumiesz? Niemożliwe, żeby nagranie miało dwadzieścia lat i był na nim mój głos oraz mojej dziewczyny.

- Wynocha. Nie wiem, o czym mówisz, i nie chcę wiedzieć, zjeżdżaj.

Joaquin wiedział, że oberwie kijem, jeśli będzie się kłócić, więc wycofał się powoli do drzwi, nie spuszczać wzroku z rozwścieczonego archiwisty.

- Przepraszam. Wybacz. Ale ta sprawa tak na mnie wpłynęła. Moje życie zależy od tego, czy znajdę ten program.

- Oczywiście. Pewnie dostałeś rozkazy od Obcych, którzy chcą najechać Ziemię. Wypieprzaj stąd, ale już!

Joaquin ostrożnie otworzył drzwi. Wyszedł na światło słońca, wciąż jasne, chociaż zbliżał się wieczór. Winkler z hukiem zatrzaskał za nim drzwi.

Joaquin miał w kieszeni dowód, że z rzeczywistością działo się coś dziwnego. Wciąż jednak liczył, że znajdzie racjonalne wytłumaczenie. Czy to możliwe, że Winkler pomylił taśmy? Ale co z wiadomościami? Skąd się tam wzięły? Pozostały po poprzednim nagraniu? Nawet sam Joaquin uważał, że to mało prawdopodobne.

Kiedy wsiadł do samochodu, opadł na oparcie i zamknął oczy. Musiał odciąć się od świata; potrzebował, żeby przez chwilę nie działo się nic dziwnego. Otworzył oczy i zobaczył noc. Zamknął oczy, przerażony. Kiedy znów podniósł powieki, świeciło popołudniowe słońce. Obejrzał swoje odbicie we wstecznym lusterku, swoje oczy. Przyszło mu na myśl, jak dziecku, żeby zasłonić twarz jeszcze raz i sprawdzić, co się stanie. Przez kilka sekund patrzył na dłonie, potem przyłożył je do twarzy.

Zamknął oczy i na chwilę znieruchomiał; otworzył - i samochód znów otaczała ciemność. Joaquin stracił panowanie nad sobą. Rozsypał się. Do tej pory był pewien, że wszystko jakoś zacznie nabierać sensu. Myślał, że te dziwne wydarzenia skurczą się do interesujących anegdot, zapomnianych wraz z mnóstwem innych niewytłumaczalnych, ale mało znaczących wydarzeń.

## 44

### INNA TRANSMISJA

Zatrzymał się w pierwszym motelu, jaki napotkał, bez nazwy i żadnych luksusów. Klientelę zdawały się tu stanowić podejrzane parki, przemykające w półmroku z samochodów do pokojów i z powrotem.

Joaquin nie czuł się na siłach szukać czegoś lepszego; musiał po prostu przespać się i schronić gdzieś przed tym wszystkim, co mu się przydarzało. Miał zamiar wrócić do domu. Nie było powodu, żeby zostawał w Houston. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Alondry. Ale co by jej powiedział? Nie chciał nawet myśleć, jak potoczyłaby się rozmowa. Mimo to czuł nieprzepatą potrzebę wykręcenia jej numeru, usłyszenia głosu, który przywróciłby mu normalność i przypomniał o codziennym życiu. Dałby mu poczucie, że cokolwiek by się działo, zawsze może wrócić do domu.

Nie zadzwonił.

Dom wydawał się miejscem całkowicie nieokreślonym. Prawie abstrakcją.

Od czasu, kiedy zadzwonił do niego Prew, Joaquin nie odpoczywał ani chwili; mięśnie pleców i nóg zmieniły się w gigantyczne węzły. Padł na łóżko, nie zdejmując plastikowej narzuty. Słyszał historie o plamach nasienia i bakteriach w motelach, ale go to nie obchodziło. Nawet ebola wydawała się niczym w porównaniu z groźbą wiszącą mu nad głową. Przez mózg przelatywały mu słowa jak upiory: psychoza, schizofrenia, depresja maniakalna, epilepsja skroniowa, alzheimier. Coś jest ze mną nie tak, myślał. Nie było innego wytłumaczenia tego, co się działo:

neurologiczne krótkie spięcie, wadliwe łącze albo postępująca aż do całkowitego wyniszczenia choroba mózgu. Przeraził się, ale alternatywa była jeszcze gorsza. Pomyślał o wysłuchiwanym codziennie historiach o groteskowych wypadkach, sensoryjnych przestępstwach i niewytłumaczalnych zdarzeniach. Gorszy niż te horrory był brak opowieści, zniknięcie wspomnień, milczenie wyobraźni. Czy tam właśnie zmierzał? W tę otchłań?

Dławił go lęk: przerażające wrażenie tonięcia, jakby razem z motelowym pokoikiem osuwał się w przepastne głębinę opuszczonego kopalnianego szybu. Kiedy tylko błysnęła ta myśl, po grzbietach dłoni przebiegł mu spazm, niczym iskra elektryczna. Joaquin zdrętwiał, bał się, że nawet najlżejszy ruch oczu zmieni jego otoczenie i naprawdę znajdzie się w dyszących czeluściach szybu.

Odezwała się komórka. Joaquin podniósł głowę i spojrzął na aparat. Miał nadzieję, że dzwoni Alondra, żeby spytać, kiedy wraca i jak mu idzie, i żeby powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Ale nic nie było w porządku. Od bardzo dawna.

Z obawą sięgnął po telefon, jakby w materacu kryły się przyczajone do ataku węże, i spojrzął na identyfikację dzwoniącego w nadziei, że mały wyświetlacz doda mu otuchy.

Cyfrowy ekranik jednak jeszcze bardziej go zaniepokoił. Widniało na nim tylko jedno słowo: Joaquin.

- Nie jestem najlepszą osobą, żeby dzwonić do mnie w tej chwili - mruknął do siebie.

Przyszło mu do głowy, by pozwolić dzwoniącemu nagrać się na pocztę. Konfrontacja z nagraniem byłaby mniej straszna niż odebranie telefonu i narażenie się na Bóg wie co. Z jakiegoś powodu jednak odebrał.

- Halo.

- Cześć, Joaquin. Na wakacjach? - Dziwny głos stawał się znajomy.

Nie było nikogo, z kim Joaquin chciałby rozmawiać mniej niż z tym kimś, tajemniczym dowcipnisiem odpowiedzialnym za wszystko, co się do tej pory stało.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Może to ja będę zadawać pytania: kim ty jesteś... teraz?

- Tym samym facetem co zawsze.

- Tym samym facetem, który prowadził program radiowy dwadzieścia lat temu?

Joaquin milczał. Skąd on wiedział o kasetach?

- Wiesz, że nie o to chodzi - mówi głoś. - Twój świat się rozpada.

- To ty stoisz za tymi dziwnymi rzeczami. Skąd masz mój telefon? - Nagle wszystkie elementy pokrętej teorii wskoczyły na miejsce. - Ty zabiłeś szamana! - wykrztusił Joaquin. Pokręcił głową, zdziwiony, że wcześniej na to nie wpadł. Chyba było zbyt oczywiste.

- Poważne oskarżenie, ciekawe, że rzuca je człowiek, który pobił zmarłego, zanim go zamordowano.

- Śledzisz mnie?

- Masz pewność, że on nie żyje?

W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi i aż podskoczył, upuszczając telefon. Rozejrzał się zdezorientowany. Pokój wydawał się olbrzymi. Co się działo z jego oczami? Nie widział drzwi, okna, telewizora. Wstał, podniósł telefon, znalazł drzwi i krzyknął:

- Kto tam?!

- Proszę pana, zostawił pan kartę kredytową w recepcji.

Joaquin otworzył portfel, sprawdzał. Niemożliwe, żeby jej zapomniał. Nigdy nie gubił takich rzeczy jak karty kredytowe czy komórki. Ścisnął telefon w prawej ręce, przesypując przez palce lewej pieniądze i karty. Popatrzył na podłogę, na plastik i zielony papier rozrzucone jak połamany wachlarz. Nie było jej. Bał się tego, co zobaczy, ale otworzył drzwi; stał za nimi goniec z kartą w ręku. Kiedy Joaquin podniósł wzrok, w oczy spojrzął mu J. Cortez, szaman. Wypłówiały mundurek z trudem go mieścił; spodnie były za krótkie, a marynarka opinała brzuch.

Joaquinowi bezwładnie opadła ręka, w której ścisnął telefon, ale i tak usłyszał gromki śmiech po drugiej stronie.

- Ty! Co ty tu robisz? - spytał, gwałtownie kręcąc głową, żeby przejaśnić myśli.

- Powinien pan bardziej uważać. Niebezpiecznie jest zostawiać takie rzeczy. - Cortez podał mu kartę.

- Co się stało z twoimi ranami? Z Barrym? - wykrztusił Joaquin, chociaż wiedział, że nie powinien oczekiwać odpowiedzi.

- Wszystko w porządku. Co do Barry'ego, obawiam się, że biedak wciąż się błąka - odparł Cortez z błyskiem w oku.

- Co się dzieje?

- O co panu chodzi? - Szaman przechylił głowę.

- Daj biedakowi napiwek - wtrącił głos z telefonu - i przestań zawracać mu głowę głupimi pytaniami.

Joaquin wpatrywał się w J. Corteza, czy Cuahtémoca, czy kimkolwiek był ten człowiek, jeszcze kilka dni temu martwy. Ten uśmiechnął się i wyciągnął prawą rękę w teatralnym, jak mogło się wydawać, geście. Joaquin podniósł z podłogi banknot i upuścił go na nadstawioną dłoń. Pseudoszaman-goniec-pastor wyszczerzył się w uśmiechu, odwrócił i poszedł.

- Co to miało znaczyć? - powiedział Joaquin do telefonu.

- Chciałem ci pokazać, jaki poziom usług oferuje twój motel.

- Rozłączam się.

- I uczciwość, nie zapominajmy o tym. Uczciwość.

- Żegnam.

- Nie rozłączysz się. Za bardzo jesteś ciekawy, co się z tobą dzieje.

- W tym momencie sam nie wiem, czy chcę cokolwiek rozumieć. Możesz zatrzymać sobie telefon, który mi wtedy gwizdnął.

- Dziękuję. Tak zrobię. Biorąc pod uwagę, ile moich rzeczy ty sobie zatrzymałeś, to i tak niewiele.

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- Dobrze wiesz. O twojej karierze udawacza.

- Że co?

- Chciałbym, żebyś sobie zadał pytanie: Czy po to przeżyłeś?

- Nie rozumiem.

Ale Joaquin w głębi ducha wiedział, z kim rozmawia, nie miał wątpliwości. Rozmawiał z martwym człowiekiem, z kimś, kogo widział na stole w kostnicy. Głos, cynizm, czarny humor, wszystko się zgadzało. Ale co się stało z wielkoduszością, z przyjaźnią? Pozostała tylko głęboka uraza.

- Rozumiesz aż za dobrze. Przy tobie zawsze ktoś musi umrzeć: twoi rodzice, Gabriel, Cortez, wszystko jedno. Niedługo przyjdzie kolej Alondry, a potem, kto wie? Każdy, kto podejdzie za blisko. Dla ciebie żadna ofiara nie jest zadowalająco wielka. I po co to wszystko?

- Jedynym, kto umrze, jesteś ty, sukinsynu.

- Co sprawiło, że stałeś się wygodnym, aroganckim tchórzem, Joaquinie, który może kontaktować się ze światem tylko ukryty za mikrofonem? Tchórzem, który ze strachu porzucił muzykę?

- Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Nie muszę nawet z tobą rozmawiać.

- Mylisz się. Jesteś mi winien to wszystko i więcej. - Głos był jak eksplozja, jak ryk dobywający się z telefonu, wypełniał cały pokój, odbijał

się od wszystkich powierzchni, obrysowywał przedmioty jak sygnał jakiegoś upiornego sonaru. Joaquin powoli się odwrócił. Wiedział, że nie jest już sam. Kiedy zobaczył Gabriela, upuścił telefon i ciężko upadł na łóżko.

- Co ty tu robisz?

- To moje pytanie: co ty tu robisz? - Głos Gabriela był zabarwiony gniewem.

- Co to za pytanie? - Joaquin chciał wymówić imię Gabriela, ale nie mógł złożyć sylab. Przez tyle lat prowadzenia programu radiowego nigdy nie czuł się tak werbalnie bezsilny.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Zmarnowałeś życie.

- Nawet jeśli to prawda, czemu miałyby cię to obchodzić?

- Bo ci ufałem. Ufałem ci rozpaczliwie, miałem nadzieję, że zrobisz to, czego ja nie mogłem.

- To o to chodzi? Jesteś sfrustrowany, że nie zrobiłem ze swoim życiem tego, co ty chciałeś ze swoim? - Joaquin pomалу wychodził z szoku konfrontacji z duchem.

- Co obaj chcieliśmy zrobić.

- Jak na to wpadłeś?

- Kiedy mnie zabrakło, powinieneś być iść dalej naszą ścieżką. A ty porzuciłeś wszystkie nasze pasje, wszystko, co nadawało znaczenie twojemu życiu. Jak długo zamierzałeś je tak marnować?

Joaquin nie mógł znaleźć słów na swoją obronę; jego elokwencja zniknęła, argumenty darły się na strzępy, zanim jeszcze je wyartykułował. Czuł zawroty głowy i ostry ból w skroniach.

- Naprawdę interesuje cię istnienie tych, których już z nami nie ma? Wszystko ci o tym opowiem. Chodź, przejedziemy się. Domyślam się, że nie jesteś zbyt zajęty. - Sarkastyczny ton Gabriela był upiornie znajomy.

Gabriel wyszedł z pokoju, a Joaquin podążył za nim, pogodzony z losem, jakkolwiek by był.

- Weźmy twój samochód. Chcę wrócić do miasta, w którym dorastaliśmy.

W głowie Joaquina tańczyły myśli: w każdej chwili on może zniknąć. Obudzę się sam, zlany zimnym potem. Przypomniał sobie, co Alondra mu mówiła o świadomych snach i technikach, które kiedyś znał. Teoria głosiła, że można się zorientować, czy się śni, patrząc na prawą rękę. Dobra, powiedział sobie. Spójrz na prawą rękę.

Jego ręka powoli się uniosła, poczuł mrowienie w opuszkach. Potem prawa dłoń pojawiła się w jego polu widzenia, wnętrzem do góry.

Co teraz? - pomyślał.

W snach nie można zgasić światła, przypomniał sobie słowa Alondry.

Pstryknął wyłącznikiem. Światło dalej się paliło. Przełączył go znów, kilka razy. Pokój pozostał jasno oświetlony. Uśmiechnął się. Gabriel zjrzał do środka i zauważył, jak Joaquin bawi się wyłącznikiem.

- Jeśli lepiej się czujesz, uważając, że to sen, świetnie. Ale chodź już.

- Jeśli to nie sen, jak wyjaśnisz coś takiego? - Pstryknął jeszcze raz.

Światło zgasło.

- Nie zapominaj, że w snach nic nie jest trwałe. Wszystko się zmienia; ciała stałe to płyny, tożsamości się wymieniają - mówił Gabriel, idąc w stronę parkingu.

A potem, w jednej chwili, znaleźli się w samochodzie. W snach wszystko się zmienia.

- Dokąd jedziemy? - Joaquin włączył silnik.

- Po prostu jedź.

Kiedy wyjeżdżali z parkingu, zadał pytanie, które go dręczyło od chwili pojawienia się Gabriela.

- Jak wróciłeś?

- Ty mnie sprowadziłeś. Byłem po drugiej stronie tego, co niektórzy z nas lubią nazywać „czwartą ścianą”.

- Czy to nie określenie teatralne?

- Tak. Wyobraź sobie, że jesteście oddzieleni szybą. Wy jesteście po jednej stronie, my po drugiej.

- Czyli bez przerwy nas obserwujecie przez szybę.

- Niezupełnie. Po drugiej stronie jest inaczej. Bardzo długo nie wiedziałem nawet, czym jestem. Czulem tylko potrzebę. Potrzebę znalezienia czegoś. Wyrównania rachunków. Po tej stronie nie mamy tych ograniczeń co wy. Cały czas was wyczuwamy, nawet kiedy nie wiemy, co to znaczy, ale tylko niewielu z nas może wpływać na waszą stronę. Tylko wyjątkowi. A ja jestem jednym z tych wyjątkowych. Szukałem ciebie i znalazłem, w jedyny sposób, jaki znałem. Przez dźwięk. Przez radio. Och, i przez mały pokaz światła, który może pamiętać. Miałem luksus słuchania, jak ty i twoi dzwoniący bełkoczą o swoich fantazjach na temat naszego świata. Nie umiem sobie wyobrazić, co się robiło w naszym świecie przed wynalezieniem radia. Marconi, Kochamy cię.

- Słuchacie radia?

- To niewiarygodne, jak tu się nic nie zmienia - powiedział Gabriel.

Joaquin miał już odpowiedzieć, że jest zupełnie przeciwnego zdania, kiedy uświadomił sobie, gdzie są. Jechali tą samą autostradą, na której wiele lat temu on i Gabriel spotkali się w fatalnym i brzemiennym w skutki czołowym zderzeniu.

- Jesteśmy tu - mruknął.

- Zawsze tu jesteśmy.

Zatrzymał samochód na poboczu. Wysiedli; obok nich przewalały się gęste fale aut. Jakimś cudem zrobił się środek dnia. Słońce prażyło, jasne, czyste, anonimowe. Tym razem Joaquin przyjął zmianę lekko, patrzył na samochody i podziwiał taniec promieni słonecznych na metalu.

- Widziałeś ich? - spytał. Wiedział, że Gabriel zrozumie, że pyta o rodziców.

- Wciąż tu są. Być może największa różnica między nami polega na tym, jak pamiętamy, jak doświadczamy naszych wspomnień. Pamięć to coś, co tkwi w ciemnym zakątku umysłu; zaklinamy to na różne sposoby, żeby uchwycić mgnienia przeszłości. W głowie masz wyrte przypadkowe obrazy swojego życia, ale z upływem czasu te obrazy się zmieniają, są modyfikowane, wypaczone. Dla ciebie wspomnienia to coś osobistego, kruchego. Przemykają przez twoją głowę jak tumany kurzu, w jednej chwili powstają, w następnej znikają. Tu jest inaczej. Wspomnienia są wszędzie wokół nas, tak samo promienne czy bolesne jak w dniu, kiedy powstały, i zawsze dostępne. I rzeczywiste. Bardzo, bardzo rzeczywiste. Wy trzymacie je zamknięte w ciemnej szufladzie, my - ci wyjątkowi z drugiej strony - możemy je codziennie odwiedzać.

Słuchając Gabriela, Joaquin przypomniał sobie jego manię polaroidów, nieustannego tworzenia wspomnień, które uwiarygodniałyby jego eksperymenty.

- Po co mnie tu sprowadziłeś? - Wykład o pamięci był najwyraźniej wstępem do czegoś innego.

Wtedy Joaquin zobaczył zbliżającego się szarego vana. Chciał zamknąć oczy, uciec, obudzić się z tego dziwnego snu, ale nie mógł odwrócić wzroku. Van wpadł w poślizg, przewrócił się i pojechał na boku po asfalcie. Czarne volvo zjechało na przeciwny pas i zderzyło się czołowo z zielonym fordem w eksplozji metalu, gorąca i dźwięku. Przez ułamek chwili otaczała je aureola światła. Na wszystkie strony poleciały odłamki.



Joaquin widział wszystko: iskry, ogień, krew, metal. Widział śmierć rodziców. Ojcu urwało głowę, potoczyła się, wirując po masce. Matka nadziała się na makabryczną stalową drzazgę. Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł. Słyszał koncert łomoczących odgłosów, jakby każdy dochodził do niego na innym kanale. Mógł się skupić na jednym z nich albo na wszystkich jednocześnie. To było dla niego bezprecedensowe przeżycie słuchowe. Wtedy przypomniał sobie tamten głos: „Naprawdę powinieneś posłuchać”.

- Zamierzam przelecieć twoją dziewczynę. Chciałem ci najpierw powiedzieć, żebyśmy uniknęli wszystkich nieprzyjemności jak ostatnim razem, kiedy mieliśmy tę samą dupę. Pamiętasz tę małą rudą, którą rznąłem na tylnym siedzeniu twojego samochodu, kiedy na ciebie czekaliśmy?

- Co takiego? O czym ty mówisz, do cholery? - Joaquin wciąż widział zderzenie, ale jednocześnie zobaczył coś innego. To była Luca, wspomniana ruda, siedząca na Gabrielu z podwiniętą spódnicą i majtkami wokół kostek.

Wtedy usiłował rozegrać to na luzie, jakby go to nie obchodziło. Ale kiedy usłyszał, jak jęczy, zobaczył, jak rusza się w górę i w dół na Gabrielu, zalał się zimnym potem i trząsał z wściekłości. Niezle się wkręcił w Lucę i nie mógł uwierzyć, że Gabriel go zdradził. Nie powiedział jednak ani słowa. Usiadł za kierownicą i ruszył. Kiedy samochód podskoczył na wyboju, usłyszał, jak dochodzą - ona z wysokim piskiem, Gabriel z gardłowym chrząknięciem. Później żadne z nich o tym nie wspominało, ale przez resztę wieczoru Luca i Gabriel uśmiechali się do siebie jak wspólnicy jakiejś zapomnianej zbrodni. Joaquin kilka dni wcześniej przespał się z byłą dziewczyną Gabriela, na której jego przyjacielowi rzekomo już nie zależało. Zrozumiał, że to zemsta. Ale wszystko skończyło się tak samo jak wiele innych rzeczy. Po butelce szkockiej i skręcie pogadali, uścisnęli się i wszystko zostało wybaczone. Tak się przynajmniej Joaquinowi zdawało.

Patrzył, jak walkman, jego walkman, wylatuje z samochodu, uderza o asfalt i pęka na chwilę przed tym, jak zmiażdżyły go koła toyoty. Samochody się zatrzymały. Kilku kierowców wysiadło i stało na drodze, patrząc na płonące szczątki. Niedaleko Gabriela leżał zakrwawiony but.

- Chodź. Zobaczymy, co z nas zostało. - Gabriel decydował o wszystkim.

Joaquin bezradnie poszedł za nim. Szedł między innymi gapiami, ale w przeciwieństwie do nich patrzył na ofiary beznamiętnie, jakby oglądał

dioramę; analizował części, starał się odczytać znaczenie całości, odszyfrować motywy. Wzdrygnął się, kiedy zobaczył siebie, wyrzuconego na ziemię, poobijanego, z obnażoną piersią, otwartymi oczami i dziwnym grymasem na twarzy. Nie, niezupełnie grymasem. Prawie z uśmiechem. Nie miał pojęcia, że znaleziono go w takim stanie. Nic dziwnego, że ludzie woleli go nie odwiedzać; oczy miał martwe, a usta wesole.

- Znaleźli nas tu, bo naszym przeznaczeniem było coś wielkiego, coś ważnego.

- Ważnego dla kogo? - wykrztusił Joaquin. Z trudem łapał oddech.

- Ważnego dla nas, ważnego dla wszystkich. Ważnego dla każdego, kto wierzy, że muzyka i sztuka znaczą więcej niż radiowy program o duchach.

- Nie dla mnie.

- Kłamiesz. Chciałeś czegoś więcej niż zabawiania chorych na bezsenność i straszenia staruszek. Nie tylko ja chciałem zrobić w życiu coś wielkiego.

Wycie syren, przyjechały karetki i policja.

Obok przebiegła z krzykiem kobieta w kolorowym, pasiastym swetrze.

- Cholera, cholera! Skóra mnie pali, skóra mnie pali! Chodź szybko, Roger, pali!

Siwowłosy, utykający mężczyzna, przypuszczalnie Roger, podążył za nią w milczeniu.

- Zawsze chciałem dowiedzieć się, co tej kurwie było - powiedział Gabriel.

- W każdym razie - odezwał się po chwili Joaquin - już za późno, żebyś zrobił cokolwiek ważnego.

- Tak ci się zdaje?

- Chcę wracać do motelu. Nie wytrzymam ani sekundy dłużej.

- Powodzenia. Muszę cię uprzedzić, że geografia tu jest trochę dziwaczna; kapryśna, jeśli wolisz.

- Co takiego mówiłeś przed chwilą o Alondrze? - spytał Joaquin, przypominając sobie niewybredną uwagę.

- Że ją przelecę.

- Ty gnoju. Nie przypuszczałem, że śmierć tak na ludzi działa.

- Ja jestem gnojem? Nie wyobrażasz sobie, jak ty rozczarowałeś mnie. Myślałem, że staniesz się kimś. Kimś wyjątkowym.

- To po co mnie teraz odwiedzasz?

- To twoje radiowe wyznanie uświadomiło mi, że nie ma dla ciebie nadziei, że stałem się dla ciebie wy tłumaczeniem pograżenia w pospolitości.

- Jadę stąd.

Gabriel milczał. Widocznie nie przeszkadzało mu, że zostanie sam. Joaquin wyczuwał, że ich rozmowa jeszcze się nie skończyła.

Często marzył o powrocie Gabriela. Pragnął go, modlił się nawet o niego: jako ducha, człowieka, potwora. Nieważne. Chciał, żeby Gabriel wrócił. Wyobrażał sobie jego powrót na setki sposobów. Ale nigdy nie tak. Nie spodziewał się, że Gabriel będzie na niego wściekły. Nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że Gabriel stanie się jego wrogiem. Wsiadł do samochodu. Znów była noc; wraki samochodów i cały ten chaos zniknęły. Ruszając, Joaquin próbował się zorientować. Nie było żadnych znaków. Jechał na oślep w noc. Asfalt się skończył, ale on nie zatrzymał się, samochód podskakiwał na pustynnych wybojach. Spojrzał na komórkę - brak zasięgu. Włączył radio, przeszukując częstotliwości. Nic. Tylko trzaski, aż... coś... głosy, śmiech. Prawie od razu poznał, co to jest. Alondra rozmawiała z dzwoniącym, który znał jakąś historię, ale bał się, że go wyśmieją.

- A tymczasem, dopóki nasz dzwoniący nie zdecyduje się, czy chce, byśmy usłyszeli jego opowieść, przerwa na reklamy. Tu *Radio duchów*.

Do usłyszenia za chwilę.

## 45

TELEFON 2109, SRODA, GODZ. 03.22

DOMEK DLA LALEK

Na linii była Lindsay, dzwoniąca z Dighton w Rhode Island.

- Prosimy. Co cię do nas sprowadza o tej porze nocy?

- Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo lubię wasz program. Słucham co noc, od początku do końca.

- Dziękuję, Lindsay. Pracujesz na nocnej zmianie?

- Może to wampir, jak ten gość, który dzwonił jakiś czas temu i mówił, że przyjedzie i wyssie z nas krew - wtrącił Watt.
- Nie, problem w tym, że od jakiegoś czasu nie mogę spać.
- Hm. Byłaś u lekarza?
- Tak, i chodzę na terapię. Ale nie mogę brać pigułek. Kiedy zasypiam, mam straszne koszmary.
- Z powodu jakiegoś traumatycznego przeżycia, jak sądzę? - spytała Alondra.
- Tak.
- Ale brak snu przez długi czas może być niebezpieczny. Zrobisz sobie w końcu większą krzywdę, niż gdybyś stawiała czoło tym koszmarom.
- Wiem.
- Cóż, szczerze mówiąc, nikt z nas tu nie jest lekarzem. Może po prostu opowiedz, co cię dręczy - zaproponował Joaquin.

Przez ostatnie pięć lat pracowałam jako opiekunka do dzieci, zamierzałam do końca studiów. Ale musiałam przestać. Bardzo lubię maluchy, pracowałam u rodziny z dwulatkami bliźniakami i po prostu je uwielbiałam. Kiedy skończyły cztery lata, rodzice wysłali je do przedszkola i już mnie nie potrzebowali. Szukałam nowej pracy i znalazłam ogłoszenie kobiety, która pracowała w dużej agencji reklamowej. Potrzebowała kogoś, kto zająłby się siedmioletnią dziewczynką; nazwijmy ją Angie. Zatrudniła mnie, nie pytając o referencje i dała bardzo wysoką pensję. Zgodziłam się z radością. Angie była grzeczna, ale sprawiała wrażenie aż za bardzo cichej i boleśnie nieśmiałej. Po jakimś tygodniu zaczęłam się martwić. Podejrzywałam, że jej matka nie powiedziała mi wszystkiego. Może Angie cierpiała na jakieś schorzenie. Mogły to być łagodne objawy autyzmu, bo unikała fizycznego kontaktu, siedziała godzinami bez ruchu i rzadko się odzywała. Jeśli jej pozwalałam, spędzała całe dni na cichej zabawie swoim fantastycznym domkiem dla lalek, jedyną zabawką, która ją interesowała. Jej mamę widywałam czasami rano albo kiedy wracała wieczorem, ale najczęściej Angie była sama, kiedy ja przychodziłam i sama, kiedy wychodziłam. Matka wyjaśniła, że z tego powodu punktualność jest niezwykle ważna. Co tydzień moja zapłata czekała na mnie w kopercie na stole w jadalni.

Codziennie odbierałam Angie o ósmej, zawoziłam ją do katolickiej szkoły i wracałam po nią o trzeciej. Potem spędzałam z nią resztę dnia,

aż wychodziłam o siódmej. To była idealna praca; mogłam przygotowywać się do zajęć, rano chodzić do biblioteki i robić prace domowe oraz korzystać z Internetu, kiedy Angie bawiła się domkiem. Kilka razy chciałam pobawić się z nią, ale kiedy przychodziłam, przestawała, a gdy próbowałam nalegać, robiła się niepokojąco agresywna.

Rozumiałam jej obsesję na punkcie domku. Była to wspaniała wiktoriańska posiadłość, bardzo duża i precyzyjnie wykonana, ze wszystkimi detalami. Wyglądała na antyk, ale nie mam pewności, bo nigdy nie oglądałam jej z bliska. Jedna ściana otwierała się, ukazując wnętrze, a cały domek rozkładał się też na dwie części, tak że Angie mogła bawić się w środku, pochłonięta swoim małym światem.

Któregoś wieczoru w lutym rozszalała się zamieć. Nie miałam ochoty wychodzić w taką pogodę, ale była już prawie pora. Pomyślałam, że mogę poczekać, aż matka Angie wróci i poprosić, żeby odwiozła mnie do domu. Nigdy tego nie robiłam, ale w tych okolicznościach wydawało mi się to rozsądne. Kiedy wybiła siódma, Angie powiedziała mi, że muszę iść. Zaskoczyła mnie, nie przypuszczałam, iż może mieć coś przeciwko temu, żebym została. Wyjaśniłam, że poczekam na jej mamę, i pokazałam swoje buty, nie nadające się na taką śnieżycę. Ale ona nalegała, coraz bardziej zdenerwowana. Biegała do okna i z powrotem do mnie i powtarzała, że śnieg zelżał i mogę iść. Przestraszyłam się. Chciałam dowiedzieć się, co ukrywa, i może porozmawiać z jej matką. To nienormalne, żeby dziewczynka w jej wieku zostawała sama w taką noc.

Po chwili wysiadła elektryczność. Angie stała obok mnie, ale zniknęła w ciemności. Na zewnątrz ulice były opustoszałe. Matka nie wróciła. Nie chciałam Angie zostawiać samej. Zawołałam ją, ale nie odpowiedziała. Zdenerwowałam się, poszłam szukać latarki albo świeczek. Po przeszukaniu chyba wszystkich szuflad w końcu znalazłam latarkę. Angie jak zwykle nie robiła hałasu. Poszłam do pokoju, w którym był jej domek dla lalek. Myślałam, że ona tam jest. Zanim weszłam, kilka razy ją zawołałam, wiedząc, jak bardzo nie lubi, kiedy jej przeszkadzam. Kiedy nie odpowiedziała, weszłam. Była w domku. Pomyślałam, że pewnie czuje się tam bezpiecznie. Usłyszałam jakieś dźwięki, jakby ciche głosiki, i znów ją zawołałam. Nie odpowiedziała. W końcu otworzyłam ścianę na zawiasach i zobaczyłam ją, jak klęczy i bawi się czymś, co wyglądało jak lalki. Z wnętrza domku biła czerwona poświata. Angie popatrzyła na mnie z nieobecny wyrazem twarzy. Wtedy zobaczyłam, co miała w rękach. To były części ciała: korpusy, ręce, nogi, głowy, wijące się i żywe,

jak odcięty ogon jaszczurki. Podeszłam bliżej, żeby lepiej widzieć, i zobaczyłam twarze; rozdziawione usta piskliwymi, rozpaczliwymi głosami wzywały pomocy. W swoich małych rączkach Angie trzymała częściowo kompletną ludzką postać z korpusem kobiety i brodatą męską twarzą. Lalka próbowała uciec, kopała i machała jedyną ręką. Dygotałam; nie mogłam uwierzyć w to, co widzę, więc zwalczyłam obrzydzenie i podeszłam bliżej. Chłopięca głowa zajęczała, kiedy mnie zobaczyła.

- Co to jest? - spytałam, przerażona i zdeorientowana skalą tych lalek i ich makabrycznym realizmem.

- To moje lalki. Chcesz się pobawić? - zaproponowała Angie, z buzią wykrzywioną czymś, co miało być chyba próbą uśmiechu. Poświeciłam latarką wprost na lalki, mając nadzieję, że okażą się sprytnymi elektronicznymi albo mechanicznymi zabawkami, ale tylko oświetliłam grymasy bólu i grozy na ich twarzach i kałuże śliny, łez, krwi i wymiocin wokół nich. Angie wzięła z małego stosiku rękę i przyczepiła ją trzymanemu w ręku ciałku, dociskając.

- Teraz możesz się ze mną bawić - powiedziała. To mnie wytrąciło z transu. Zerwałam się na nogi, wyobraziłam sobie swoje rozczłonkowane ciało w tym upiornym kopcu członków. Angie wstała, trzymając w rękę lalkę, która wiła się i krzyczała ile sił. Rzuciłam się do drzwi, wystraszona, że jak w horrorze nie będę mogła ich otworzyć. Dzięki Bogu mogłam. Wybiegłam na śnieżycę bez płaszcza. Brnęłam na oślep, aż dotarłam do domu. Od tamtej pory bez przerwy słyszę krzyki lalek Angie. Jej matka nigdy więcej do mnie nie zadzwoniła.

## 46

### PODWÓRKOWA PUSTYنيا

Jedno w tym kraju jest pewne, myślał Joaquin, kiedy jego samochód podskakiwał na wyboistym bezdrożu; autostrady, nawet najbardziej odludne, nie kończą się po prostu na pustyni. W radiu Alondra subtelnie żartowała z kobiety, której wydawało się, że co noc widuje ducha zmarłego ojca.

Joaquin nie mógł jej słuchać. Musiał znaleźć autostradę, a był zdezorientowany. Powinien cofnąć się po własnych śladach, ale podejrzewał, że tak się nie uda. Ten labirynt nie wypuściłby go tak łatwo. Zawrócił i przyspieszył, wystawiając głowę za okno. Kiedy tylko spojrzął znów w przód, musiał ostro zahamować. Kilka kroków przed samochodem stał Barry, asystent szamana: dygocząca postać odziana w szmaty.

Joaquin gapił się na niego przez blask reflektorów, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Otworzył drzwi i wolno podszedł do Barry'ego, nie wiedząc, czy zapytać „Co ty tu robisz?” czy „Co ci się stało?” Po chwili, która zdawała się wiecznością, stanął przed chłopakiem. Nie wiedział, o co spytał ani czy w ogóle się odzywał.

- Zimno - powiedział tępo Barry.

- Musisz się czymś okryć - odparł Joaquin, chociaż nie miał żadnych koców.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem, też się zgubiłem. Poznajesz mnie? - Joaquin nagle zauważył, że Barry wcale nie jest zdziwiony spotkaniem w takim dziwnym miejscu.

- Jestem tu przez ciebie. Od kiedy pojawiłeś się w moim życiu, wszystko się rozleciało. - Głos Barry'ego brzmiał oskarżycielsko.

- Nie rozumiem.

- Dlaczego tu jestem? Wypuść mnie.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Nigdy się nie wyleczyłem z tej infekcji, którą złapałem w Guerrero. Jesteś inkubem z piekła.

- Wsiadaj do samochodu. Za parę minut będziemy pić kawę w Starbucksie.

- Wypuść mnie. Jeśli nie żyję, daj mi odejść.

- Wskakuj. Zawiozę cię do domu. No, chodź, tu jest zimno.

Barry popatrzył dziwnie na samochód, jakby ten się właśnie zmaterializował.

- Dlaczego myślisz, że dokądkolwiek tym czymś dojedziemy? Rozejrzyj się. Dokąd chcesz jechać?

- Wsiadaj. Skoro ten samochód mnie tu przywiózł, to i nas stąd zabierze.

- Nie, ja nie mogę wracać. Zobacz.

Barry rozpiął spodnie i pozwolił im opaść na ziemię. Nie miał żadnej białizny. Stał przed Joaquinem nagi od pasa w dół. Ale bardziej zaskakujące

było to, że w miejscu genitaliów miał twarz. Joaquin zobaczył duży orli nos i małe zwierzęce oczka bez wyrazu po jego obu stronach. Pod spodem otwierały się i zamykały bezwargie usta, jak u ryby, która usiłuje oddychać na powietrzu. Poczul, że w gardle wzbiera mu żółć.

- Co to za gówno? - wykrztusił.

Potem zobaczył drugą twarz na kolanie Barry'ego, jeszcze bardziej odrażającą. Małe usta śliniły się i jęczały.

- Ty mi powiedz. Co się ze mną dzieje? Gdyby był tu mistrz, ochroniłby mnie przed tobą.

- Barry, Cortez żyje. Niedawno go widziałem. Jest gońcem w motelu. Ja nie mam nic wspólnego z tym, co się z tobą dzieje.

- Idź do diabła.

- Chodź, zawiozę cię do szpitala.

- Co, myślisz, że zapiszą mi antybiotyki i wyleczą mnie z tego? - Barry wskazał upiorne twarze.

- Nie wiem. Wsiądziesz do samochodu?

- Zostaw mnie w spokoju. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Odwrócił się, podciągnął spodnie i odszedł w ciemną pustynię. Joaquin go zawołał, ale on się nie zatrzymał. Zniknął w ciemności.

Joaquin zobaczył w Barrym przebłyski siebie - załamane, zdruzgotane człowieka, chodzącego trupa.

Nie, powiedział sobie, ja taki nie jestem! Nie stanę się tym czymś.

Wsiadł do samochodu i ruszył. Krajobraz z każdą sekundą robił się coraz bardziej zdradziecki. Joaquin miał paskudne wrażenie, że każdy wybór będzie dla samochodu ostatnim. W końcu zobaczył w oddali światła jakiegoś domu. Głazy i olbrzymie kaktusy uniemożliwiały jazdę. Zostawił samochód i ruszył pieszo, prawie biegiem, w stronę światła, mając nadzieję znaleźć tam kogoś lub coś. Odpowiedź? Schronienie? Nawet walkę. Cholera, pomyślał, nawet coś przerażającego i strasznego byłoby lepsze niż takie bląkanie się i stopniowa zamiana w to, czym stał się Barry.

Obejrzał swoje stawy, szukając na skórze niezwykłych śladów; co jakiś czas dotykał penisa, żeby się upewnić, że wciąż go ma. Kiedy dotarł do domu, był zdyszany. Okazało się, że to sklep. Jediną rzeczą zagrządzającą wejście do środka były poobijane drzwi z moskitierą. Joaquin je otworzył.

- Halo? - zawołał. - Jest tu kto? Mogę wejść?

Cisza.



Spróbował jeszcze raz. Nic. Wszedł ostrożnie do środka i usłyszał dobiegającą z wnętrza rozmowę. Znów zawołał. Deski podłogi zaskrzypiały, słyhać było monotony głos... Śpiew? Kiedy podszedł bliżej, zobaczył na stole stare radio. Było nastawione na stację religijną. Głos należał do kaznodziei, prawiącego kazanie o bożejchwale i o tym, że zbawienie można osiągnąć jedynie, przyjmując pananaszegojezusachrystusa jako swojegojedynegozbawiciela.

- Przyjmujecie go jako swojego zbawiciela? - spytał z lekkim azjatyckim akcentem.

Recytował modlitwy, straszyl dusze słuchaczy potępieniem, a potem podsumował całość ofertą:

- Żeby dostąpić zbawienia, dzwón na 1-900-ZBAWNIE! Żeby złożyć ofiarę, dzwón 1-900-ZLOTOPAN!

Według wygłoszonego następnie oświadczenia pastor nazywał się Yoong-Go Chung. Niestety dla pastora Chunga, pomyślał Joaquin, jestem tu tylko ja, nie ma żadnych lojalnych wiernych, zainteresowanych jego instrukcją odkupienia. Trudno o coś bardziej pasującego do tej pustyni niż odkupiciel, który prawi kazania w samotności.

Joaquin minął radio i zapukał do zamkniętych drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Ustąpiła. Przekroczył próg i stanął jak wryty, oszołomiony. Znalazł się w recepcji swojego motelu. Szybko cofnął się do sklepu. Ale to już nie był sklep, tylko biuro. Pobiegł do wyjścia, wyszedł na zewnątrz i znalazł się na parkingu z dwoma wielkimi kontenerami na śmieci i ścianą pomazaną graffiti. Jeden z napisów brzmiał: „Zabić, zabić biednych”. Jego samochód stał dokładnie tam, gdzie Joaquin go zostawił. Wrócił do recepcji i podszedł do kontuaru.

- Dobry wieczór. W pokoju wszystko w porządku? - spytał recepcjonista z entuzjazmem.

- Tak, w porządku - odparł Joaquin.

- Ma pan wiadomość, od panny... Algebry.

- Algebry?

Recepcjonista wyjął spod kontuaru kartkę.

- Nie, przepraszam, A-lon-dry. Pani, która zostawiła tę wiadomość, ma na imię Alondra.

Joaquin wziął kartkę i poszedł do swojego pokoju.

**Pokój** wyglądał zupełnie inaczej, niż Joaquin zapamiętał. Próbował ustalić, ile minęło czasu od telefonu Gabriela. Co najwyżej piętnaście minut. Może mniej. Chociaż nie wyszedł dalej niż na parking, czuł dziwną, niemą euforię na myśl o tym, że wrócił i nie zmienił się w coś na kształt Barry'ego, i że nie jest już na pustyni. Chciał wierzyć, że to był sen. Właściwie dotyczyło to dużej części jego życia. Kto by nie chciał? Joaquin z radością powitał tę przyjemną myśl. Uspokoila go. Ale nic nie zmieniła.

Jego życie wciąż było pogrążone w chaosie. Pytania pozostawały bez odpowiedzi. A chwila spokoju, jak wszystkie inne w ostatnich kilku dniach, szybko minęła.

Co się stało? Co się wciąż działo? Może zabląkał się w krainę pośrednią między snem a jawą. Kraina pośrednia między snem a jawą? Co to niby znaczyło? Każda zagadka zmieniała się w kolejną zagadkę. Ile jeszcze mógł znieść? Czy poradziłby sobie w życiu, w którym rzeczywistość byłaby zmienna jak sen? Mimo nieludzkiego zmęczenia zadzwonił do Alondry.

- Cześć, słyszałem, że dzwoniłaś.
  - W końcu. Czekałam, aż się odezwiesz.
  - Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?
  - Telepatia, jasnowidzenie, satelity szpiegowskie. Czy raczej z twojego SMS-a.
  - Mojego SMS-a.
  - Tego, który mi wysłałeś.
  - Nie... Jesteś pewna?
  - Oczywiście, że jestem pewna. Dwie godziny temu dostałam SMS-a z twojego telefonu.
  - Z mojego telefonu, ale nie tego, z którego dzwonię. Z tego drugiego. Zgadza się?
  - Tak, ze starego. Znalazłeś go?
  - Znalazłem.
- Joaquin wiedział, kto wysłał Alondrze namiary, ale nie chciał tłumaczyć tego przez telefon.
- Kilka razy wybierałam oba numery, ale bez skutku.

- Tak. Nie było zasięgu.
- Znalazłeś to, czego szukałeś?
- Czego szukałem?
- Joaquin, śpisz? Słuchasz mnie w ogóle?
- Jasne, jasne. Jestem tylko wykończony.
- Dobra, dajmy spokój, pogadamy rano. Jest późno.
- Nie, nie rozłączaj się jeszcze. Nie znalazłem, czego szukałem... -

Joaquin zaczął mówić, ale w tym momencie włożył rękę do kieszeni i wyjął kasetę ukradzioną Winklerowi. To był najlepszy dowód, jakim dysponował. - Właściwie coś znalazłem. Nie wiem, co mi to da, ale podróż nie okazała się zupełną klapą.

- No, to dobrze.

- Słuchałem programu. Usłyszeć twój głos to była najlepsza rzecz, jaka mnie dziś spotkała. - Joaquin chciał, żeby to zabrzmiało bardzo ciepło.

- Dziś nie nadawaliśmy. To musiała być powtórka. Ale myślałam, że nikt nas nie puszcza w niedziele. Wiesz, religijne pierdoły. Sprawdzę to. Kiedy wracasz?

- Pierwszym dostępnym lotem.

- Dobrze.

Joaquin słuchał jej oddechu. Wyczuwał, że chciała powiedzieć coś jeszcze.

Potrzebował czegoś bardziej czułego niż zwykle „do widzenia”. Chciał jej opowiedzieć o wszystkim, co się stało. Chciał się z nią podzielić tym, gdzie był i ostrzec przed tym, co mogło ich czekać w przyszłości. Ale co ich czekało? Nie miał pojęcia. To, że nie nadawali programu tego dnia, nawet go nie zaskoczyło. Rzeczywistość zmieniła się w układankę, której elementy zostały zdeformowane i przestały do siebie pasować.

- Do zobaczenia niedługo.

- Tak. Jutro. Dobranoc.

Rozłączyli się.

Oschłe pożegnanie jeszcze bardziej zepsuło Joaquinowi nastrój. Był obolały i zmęczony. Rozebrał się, włączył telewizor i położył się do łóżka. Potrzebował snu, ale nerwy nie pozwalały mu zasnąć; skakał po kanałach, oparty o poduszkę. Na jednym kanale trafił na pastora Yoong-Go Chunga, teleewangelistę, który wciąż zawodził o chwalepana, panuszmyjesusiechryście i twoimjedynymzbawicielu. Przełączył program

i na ekranie pojawił się J. Cortez. Joaquin wyskoczył z łóżka. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Cortez siedział w wielkim, biurowym fotelu; tło stanowiły azteckie, majańskie i inne prekolumbijskie symbole, pomieszczone bez składu i ładu. Napis wyjaśniał, że jest to Pastor Cuahtémoc Illucamina: 1-900-Chamani. Pastor był właśnie w samym środku kazania o ścieżce tolteckiego wojownika.

- Rzeczywistość to tylko złudzenie - mówił - kolaż spostrzeżeń, emocji i miraży.

W innych okolicznościach Joaquin uznałby te niespójne bzdury za zabawne. Uznałby Corteza za jeszcze jednego fałszywego kaznodzieję, który bogaci się na ludziach z bezsennością i osamotnionych - przybitych i zdesperowanych.

Ale dziś go to uspokajało.

Słuchał z uwagą.

- Materia rzeczywistości jest spajana napięciem, jakie jest między domenami żywych i umarłych. Obie są biegunami wszechświatowego dynama, generując energię, która utrzymuje świat w równowadze. Choć są rozdzielne, można się między nimi przemieszczać przez portale, zakłócenia porządku rzeczy wywoływane przez najrozmaitsze czynniki, Joaquinie.

Co? Czy pastor właśnie wymówił jego imię?

- Czynniki takie, jak ludzie na łożu śmierci, na przykład, albo cierpiący na ciężką nekrofilję, albo tacy, którzy przeżyli śmierć kliniczną.

Śmierć kliniczna? To od tego się wszystko zaczęło?

- Jeśli żywi i umarli mają coś wspólnego, jest tym radio. Radia można słuchać w drugiej domenie, tak samo jak w naszej.

- Już mi to wytłumaczono - powiedział z sarkazmem Joaquin. Jeśli telewizja mówiła do niego, czemu on miałby nie odpowiadać?

- Czego ci jednak nie wytłumaczono - odparł telewizyjny szaman - to tego, że w pewnych okolicznościach same stacje radiowe mogą otwierać przejścia między domenami.

Joaquin nie potrzebował takich wyjaśnień. Wiedział, co się wydarzyło tamtej nocy w stacji radiowej, a przynajmniej tak mu się wydawało. Znaki były wszędzie. Nawet jeśli nie do końca rozumiał, jak to się stało, wiedział, że tamtej nocy przekroczył próg. Przeszedł za cienką zasłonę, na tamten świat.

- Żeby jednak w pełni zrozumieć, co się stało - ciągnął Cortez, nie patrząc w kamerę, jakby czytał - powinieneś pojechać na Nyqvist Drive 123

i zabrać parę pamiątek, które po drodze zgubiłeś. Powinieneś tam trafić bez problemu.

Joaquin wiedział, o czym mowa. Pod tym adresem znajdował się stary budynek przemysłowy, w którym on i Gabriel mieszkali jako squarтери tuż przed wypadkiem w radiu. Nigdy nie zapomniałby tego adresu. Po wypadku już tam nie wrócił. Po co? Niemożliwe, żeby cokolwiek tam zostało. Nawet jeśli inni squarтери wszystkiego nie rozkradli, budynek miał już pewnie legalnych mieszkańców.

- A jeśli chcesz dalej kroczyć ścieżką tolteckiego wojownika, zadzwoń i przekaż donację na Świątynię Chrześcijańskiego i Tolteckiego Odkupienia. Dalej, Joaquin, nie bądź skąpym draniem. Zadzwoń.

Joaquin wstał. Było późno, ale musiał przekonać się, co czekało na niego na Nyqvist Drive 123. Szybko się ubrał, zebrał rzeczy i wyszedł z pokoju. Potrzebował snu, ale nie mógł spocząć, dopóki nie rozwiąże tej zagadki.

Nie mógł spocząć ani na chwilę.

Dawne wspomnienia i nieznane obrazy wirowały mu w głowie, kiedy szedł na parking. Jechał jak opętany; dotarł do celu nieświadom samej podróży. Piętrowy, ceglany budynek w kolorze ochry z czarnymi kratami wyglądał dokładnie tak, jak Joaquin go zapamiętał, nie zmienił się ani trochę przez ponad dwadzieścia lat.

Zapukał do drzwi, nie wiedząc, co powiedzieć, kiedy ktoś otworzy. Czy to w ogóle było prawdopodobne? O tej porze? Kto by ryzykował? Mógłby przecież zastać na progu wariata. I stał.

Potem przypomniał sobie, jak Gabriel otwierał drzwi, kiedy zapomnieli klucza. Joaquin zszedł ze schodów i rozejrzał się po ziemi. Potrzebował kawałka drutu, cienkiego, ale twardego. Nic. Wyszedł na chodnik, zajrzał do rynsztoka.

Tam znalazł kawałek cienkiego miedzianego drutu, akurat odpowiedniej grubości. Akurat odpowiednio twardy. Ktoś go tu dla niego zostawił?

Wziął kamień i podszedł z powrotem do drzwi. Wsunął drut w dziurkę od klucza i postukał w niego kamieniem. Poruszył klamkę; po trzeciej próbie drzwi ustąpiły. Zanim zdążył dać krok do środka, w futrynę rąbnęła patelnia, parę centymetrów od jego twarzy.

Jakaś kobieta wrzeszczała; mężczyzna rzucił się na drzwi, żeby je zatrzasnąć. Joaquin odepchnął je z całych sił, a mężczyzna, niski, krępy gość z dreadami na głowie, potoczył się po podłodze. Kobieta, wciąż

krzyżąc, cisnęła w Joaquina kuchennym nożem; trafiła go w ramię, na szczęście rączką, nie ostrzem.

- Spokojnie! Nic wam nie zrobię! - wrzasnął Joaquin.

- Zabij go, Dash! Zabij go! - darła się kobieta. Ale Dash nie mógł pozbierać się z podłogi.

- Wynos się z mojego domu! - krzyknął bez przekonania.

Joaquin podniósł z podłogi nóż i machnął nim.

- Spokojnie, nic wam nie zrobię. Chcę was tylko o coś zapytać.

Kobieta rzucała w niego wszystkim, co jej wpadło w ręce. Joaquin uchylał się przed gradem przedmiotów z różnym skutkiem, aż w końcu chwycił nóż i przytknął czubek do szyi Dasha.

- Przestań albo urżnę Dashowi łeb!

Kobieta zamarła. Dash jęknął coś w rodzaju: „Nie, proszę, nie”.

- Nie przyszedłem tu robić nikomu krzywdy. Szukam tylko swoich rzeczy. Dawno temu tu mieszkałem i wszystko zostawiłem.

Rozejrzał się po salonie, wskazując różne rzeczy.

- Te półki, ten stół, te obrazy, graffiti na tamtej ścianie, to wszystko moje. Chcę zabrać tylko trochę drobiazgów, rzeczy, które nie mają dla was żadnej wartości.

Czego dokładnie szukał? Nie miał pojęcia.

Kiedy zobaczył, że ochłonęli i go słuchają, opuścił nóż i pomógł Dashowi wstać.

- Zaraz sobie pójde. Proszę, dajcie mi tylko poszukać moich rzeczy.

- Tak, to on, Lizzy. - Dash pokiwał głową z przekonaniem.

- Poznałam go - odparła.

- O czym wy mówicie? - zdziwił się Joaquin. Byli fanami *Radia duchów*?

- Jest tu takie pudełko ze zdjęciami i innymi śmieciami. Trzymaliśmy je na wypadek, jakby ktoś go szukał. Jesteś na większości zdjęć. Od razu cię poznałem. No, kiedy się przekonałem, że nie jesteś psychopatycznym mordercą.

- O to mi właśnie chodzi.

- Przyniosę - powiedziała Lizzy.

- Przepraszam, że tak wtargnąłem. Ale te rzeczy są mi bardzo potrzebne.

- Myśleliśmy, że jesteś z miasta. Przychodzili kilka razy, próbowali nas eksmitować.

Kobieta wręczyła Joaquinowi pudełko po butach pełne zdjęć, papierów, kopert i różnych innych przedmiotów.

Nadchodził świt.

Joaquin wyjął garść starych, wyblakłych polaroidów. Wspomnienia Gabriela, świadectwa jego przeżyć i przygód, były nieuchronnie wymazywane. Wśród zakurzonych papierów znajdowała się koperta, wyraźnie nowa. Joaquin ją wyjął. Zaadresowana do niego; rozpoznał charakter pisma Gabriela.

- To jedyna nowa rzecz - zauważył Dash.

- Tak, przyniósł ją twój kumpel kilka dni temu - dodała Lizzy.

- Jaki kumpel?

- Ten gość. - Dash wskazał zdjęcie, które Gabriel zrobił samemu sobie. - Zostałem go, jak siedział pod domem na chodniku. Mówił to samo co ty, że tu mieszkał i zostawił dużo rzeczy. Myślałem, że będzie chciał to wszystko zabrać, więc powiedziałem, że kiedy się sprowadziliśmy, lokal był pusty. Ale on wskazywał na te graty, które odziedziczyliśmy, twierdząc, że są jego. Potem mnie zapewnił, że nie ma się czym przejmować, że mogę to sobie zatrzymać. Ale poprosił, żebym ci przekazał tę kopertę, razem ze wszystkim, co jest w pudełku, kiedy tylko się pojawisz.

Joaquin przyjął to bez mrugnienia okiem. Nie był już zdolny do odczuwania zaskoczenia. Pod ciekawskimi spojrzeniami Dasha i Lizzy opróżnił zawartość koperty na stół.

Uśmiechnął się. Powiew z przeszłości: zdjęcia, rysunki i notatki, dokumentacja ostatniego dnia Gabriela na tym świecie. Joaquin patrzył długo na plan stacji radiowej, przypominając sobie dzień, w którym Gabriel pokazał mu ją po raz pierwszy. Z szeroko otwartymi oczami opowiadał mu, że zostaną legendami pirackiego radia.

Ale potem jego uśmiech zbladł. Jedna rzecz nie pasowała do reszty. Zdjęcie. Podniósł je wolno, drżącymi rękami, i poczuł nieprzyjemny dreszcz.

Nie, powiedział sobie w duchu, to niemożliwe... To po prostu niemożliwe.

Ręce miał niewładne. Zdjęcie wysliznęło mu się z palców i spadło na podłogę. Na czole wystąpił mu pot, kolana się pod nim ugięły. Chwycił się krzesła, żeby nie upaść.

Na zdjęciu Joaquin i Gabriel stali uśmiechnięci ramię w ramię. A po prawej stronie Joaquina garbiła się z bardzo poważną miną Alondra.

# 48

TELEFON 1288, PONIEDZIAŁEK, GODZ. 02.13  
JABŁKO LUCY

**J**ak ci na imię? - spytał Joaquin.

- Nell.

- Skąd dzwoniisz, Nell?

- Z San Francisco.

- No to opowiadaj swoją historię.

- Słyszałam ją od dwóch pań rozmawiających na przystanku autobusowym i opowiedziałam koleżankom ze szkoły. Niektóre dziewczyny dostały na tym punkcie obsesji. Dlatego ludzie mówili, że to ode mnie wszystko się zaczęło.

- Co się zaczęło?

Historia, którą usłyszałam, była o tym, że możesz się dowiedzieć, za kogo wyjdiesz za mąż, jeśli zjesz zielone jabłko z długim ogonkiem przed lustrem o północy. Nie wiem, ile moich koleżanek tego próbowało, bo nigdy by się nie przyznały. Najważniejsze jest to, że choćby nie wiadomo co się działo, nie wolno się odwrócić. W każdym razie któregoś wieczoru byłam z moją kuzynką Lucy. Jak zwykle gadałyśmy o chłopakach. Mama mówiła, że zwariowałyśmy na ich punkcie.

Lucy bardzo chciała dowiedzieć się, za kogo wyjdzie. Strasznie się tego uczepiła. Wiesz, czy znajdzie właściwego faceta, czy ktoś ją pokocha i tak dalej. Nawet czy będzie mieć eleganckie wesele. Nie mówiła o niczym innym. Kupiła zielone jabłko i zaczęła do północy, kiedy jej mama, tata i bracia spali, a potem poszła z nim do łazienki. Stała przed lustrem, skupiła się mocno na tym, za kogo wyjdzie, i zaczęła jeść jabłko. Jadła je długo, aż zjadła całe, nie odrywając wzroku od lustra. Powiedziała mi, że zaczęła widzieć w lustrze chłopaka, kiedy coś za sobą poczuła, jakies szuranie czy coś takiego. Wcześniej zamknęła drzwi na klucz, więc nikt nie mógł do niej wejść. Jak mówiłam, ta zabawa ma jedną zasadę: nie wolno odwracać się od lustra i oglądać za siebie, nieważne, co się dzieje. Jeśli się odwrócisz, mężczyzna, za którego miałaś wyjść za mąż, umrze.

Do końca życia będziesz sama. Stara panna. Lucy to przerażało. Ale nie mogła się powstrzymać. Bała się tego odgłosu. Odwróciła się. Co



zobaczyła...? Mówiła, że to była ciemna sylwetka, jak „rozmyty człowiek” czy coś takiego. Przeraziła się.

Wrzasnęła, a kiedy jej rodzice wyważyli drzwi, zastali ją samą. Powiedziała im, że siedziała na toalecie, zasnęła i przyśnił się jej koszmar. Resztę nocy nie spała. Kiedy następnego dnia przyszła do szkoły, panowało tam duże poruszenie. Wszystkie dzieciaki do siebie szeptały. A nauczyciele byli bardzo poważni. Spytała, co się dzieje, a jej najlepsza przyjaciółka powiedziała jej, że jeden z chłopaków w klasie 4D, Mark Spencer, umarł w nocy. Ni z tego, ni z owego. Nie chorował ani nic. Znaleźli go w łóżku martwego, z otwartymi oczami, wpatzonego w sufit. Lekarze nie potrafili powiedzieć, co go zabiło. Kiedy rodzice przyszli opróżnić jego szafkę w szatni, znaleźli zdjęcie Lucy. Okazało się, że się w niej kochał i cały czas próbował zdobyć się na odwagę, żeby się z nią umówić.

## 49

### WSPOMNIENIA O COLETT

**K**iedy zobaczyłem to zdjęcie, załąły mnie wspomnienia dziewczyny, którą poznaliśmy tamtego dnia na pustyni.

Przypomniałem sobie Colett.

Przypomniałem sobie, jak wchodziliśmy z nią do studia.

Przypomniałem sobie, jak mastiff prawie odgryzł mi nos.

Przypomniałem sobie grozę psów rozszarpujących Gabriela, kiedy sanitariusze próbowali wznowić mi akcję serca.

Zdjęcie Gabriela wywołało krwotok wizji, wspomnień i sprzecznych uczuć. Dawno zapomnianych. Ale obrazy wyglądały na prawdziwe. Znamo. Co więcej, odbierałem je jak prawdziwe. Były prawdą - a o niewiele rzeczach można by tak powiedzieć w ostatnich dniach.

Obudziły we mnie coś, co leżało uśpione latami, jakby pękł czar, jakbym obudził się po stuletnim śnie. Byłem zmieniony, inny. Nic nie miało być już takie samo.

Ale to zdjęcie Colett nie było zdjęciem Colett. Przedstawiało Alondrę.

W innych okolicznościach, w innym czasie, świecie, uznałbym to za fałsz. Photoshopową podróbkę. Ale ja nie kierowałem się już rozsądkiem i logiką. To była pewność. Musiałem się z nią pogodzić.

Nie mogłem się poruszyć. Ściany oddychały, słyszalnie i hipnotycznie, jak wielki kot, który mruczy, zasypiając.

Otoczała mnie przeszłość: przedmioty znajome i bliskie. Kanapa, która zachowała kształt mojego ciała, półki, na których stały kiedyś moje ulubione książki, stoły z kólkami po dawno zapomnianych kawach i szklankach tequili. Gdzieś pod szokiem i strachem spoczywało inne uczucie: wrażenie, że coś mnie przyzywa. Przeszłość zdawała się do mnie mrugać; mogłem odprężyć się, spocząć w niej, a dziesięciolecia by zniknęły.

Och, jak ja pragnąłem to zrobić. Pozwolić, żeby terażniejszość po prostu ze mnie opadła. Zapomnieć o swoim życiu, swoich związkach, swojej pracy. Zapomnieć o Internecie, komórkach, DVD, TiVo, *Idolu* i wojnie z terrorem. Zapomnieć o wszystkich cierpieniach i radościach. Żeby to spiralą uszło w eter, ścigając zagubione sygnały radiowe w niebie. Wydawało się to tak bliskie, tak możliwe.

Ale wrażenie zniknęło, kiedy zauważyłem, że Dash i Lizzy przyglądają mi się jak zahipnotyzowani.

- Słuchaj, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale masz już swoje pudełko, a my jesteśmy zmęczeni.

- Tak, muszę iść - powiedziałem. - Rano lecę do domu.

Ale wciąż nie mogłem się ruszyć.

Moje pragnienie powrotu do przeszłości rozplynęło się, zniknęło, niewytłumaczalny entuzjazm przemienił się w wątpliwość. Od chwili rozmowy, którą odbyłem na antenie z człowiekiem przypominającym mi Gabriela, miotalem się między strachem a ciekawością, między sceptycyzmem a chęcią doświadczenia na sobie tego, co codziennie opowiadały mi w programie dziesiątki ludzi. Przedtem, oczywiście, wierzyłem, że duchy istnieją tylko w wyobraźni. Nie były przez to wcale mniej prawdziwe, ale odcinało je to od nawiedzonych domów, więzień, ciemnych zaułków czy w ogóle jakiegokolwiek przestrzeni fizycznej. Wiedziałem, że Gabriel czyjego duch, czy cokolwiek mi się ukazało, zawsze istniał w mojej głowie; niczym superego bezustannie zaglądał mi przez ramię, oceniał moją każdą decyzję, wytykał każdą słabość. Rozmowa z nim była po prostu innym sposobem prowadzenia wewnętrznego dialogu. Innym sposobem myślenia.

Ze wszystkim tym prawie mogłem się pogodzić. Prawie.

Ale zdjęcie Colett/Alondry to coś innego.

Czy Alondra i Colett mogły być jedną osobą? Przypomniałem sobie ten wieczór, kiedy spotkałem Alondrę, na tamtej imprezie w Meksyku; odtworzyłem w myślach naturalny sposób, w jaki do mnie podeszła, jak rozmawialiśmy o tym głupim komiksie o zombie, jak wyszliśmy coś zjeść i zrobiliśmy pierwszy chwiejny krok w stronę miłości. Próbowałem ustalić, czy cokolwiek tamtej nocy było jakimś znakiem. Czy jakieś jej słowa czy gesty mogły stanowić podpowiedź, która pozwoliłaby wszystkim kawałkom układanki wskoczyć na swoje miejsce.

Mój tatuaż. Zaintrygował ją. Podwinąłem rękaw i popatrzyłem na niego, w nadziei, że coś mi podpowie.

Ale nie podpowiedział. Może nie umiał.

Głos Gabriela rozbrzmiewał mi w uszach, wydobywając wspomnienia, ukryte w najciemniejszych kątach umysłu.

„Dla ciebie wspomnienia to coś osobistego, kruchego”.

Miał rację. Były kruche. Kruche jak papier ryżowy.

W końcu chwiejnie ruszyłem do drzwi. Kręciło mi się w głowie. Kiedy ostatnio jadłem? Spałem?

- Wszystko w porządku, stary? - spytał Dash.

- Tak, muszę tylko odpocząć.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, wstawał świt.

W drodze na lotnisko wyobrażałem sobie konfrontację z Alondrą. Co miałem powiedzieć? Oskarżyć ją, że przez te wszystkie lata kłamała? Wywrzeszczyć, że należy do spisku przeciwko mnie? Zmusić, wszelkimi sposobami, do wyjawienia szczegółów tego okrutnego oszustwa? A może lepiej byłoby wydobyć z niej prawdę delikatnie, jakimś podstępem. Może mógłbym spróbować porozmawiać z nią szczerze, wyjaśnić, co odkryłem, pokazać dowód i spróbować wywnioskować z jej reakcji, czy brała udział w tej paranoi-dalnej komedii pomyłek, czy tak jak ja padła ofiarą czegoś niewytłumaczalnego?

Z drugiej strony, może lepiej zniszczyć zdjęcie i wmówić sobie, że wszystko, co przeżyłem, to jakieś delirium wywołane zmęczeniem i stresem. Podało mi się takie wyjście. Ale nie mogłem pozbyć się świadomości, że sens całej tej wyprawy był taki, żebym to zdjęcie odkrył. Czulem się prawie tak, jakby moje działania z ostatnich kilku tygodni zostały drobiazgowo zaprogramowane i poprowadzone jak jakiś show, jakbym nieświadomie odgrywał scenariusz, w którym zapisano każdy mój krok,

decyzję i słowo. Jadąc, odtwarzałem sobie to wszystko w głowie i nieważne, ile razy bym sobie powtarzał, że nie jestem idiotą, zawsze dochodziłem do tego samego wniosku.

Nie mogłem się skupić na drodze. Ciągłe przejeżdżałem przez linię środkową, jechałem za szybko, to znów za wolno. Mój wzrok przyciągało pudełko ze zdjęciami i pamiątkami na fotelu obok. Naprawdę nie chciałem znów oglądać tego zdjęcia, ale wiedziałem, że muszę. Musiałem mieć pewność; nie mogłem nic zrobić, dopóki nie potwierdziłbym tego, co widziałem. Colett była wyraźna w moich myślach, widziałem ją, jak idzie do studia, siada za konsolę, je tacos obok mnie, bierze kwiat, który narysowałem.

Ale w moich wspomnieniach brakowało spójności; postacie zmieniały się, miejsca różniły, słowa wypaczały, nigdy nie powtarzając się dwa razy tak samo. Moje rozkojarzone prowadzenie nie poprawiło się; inni kierowcy robili gwałtowne uniki albo trąbili wściekle. W końcu na horyzoncie niczym oaza pojawiło się lotnisko.

Minąłem kawiarnię, którą widziałem, kiedy przyjechałem do Houston. Świtało, ale wokół radia wciąż tkwiła grupka ludzi, uważnie słuchając. Nikt się nie poruszał; wyglądało to jak jakaś wystawa. Tym razem zwolniłem i opuściłem szybę. Wystarczyło, że usłyszałem kilka słów; to było *Radio duchów*. Podniosłem szybę najszybciej jak mogłem i popędziłem w stronę lotniska - i do domu.

W terminalu tłoczyły się hordy ludzi, głównie biznesmenów - ci ciągnęli za sobą małe walizki, rozmawiali przez telefony albo stukali kciukami w guziki blackberrych. Dostałem miejsce w najbliższym locie. Miałem prawie godzinę czasu do zabicia, ale tak naprawdę chciałem zabić głos, który wciąż trajkotał mi w głowie. Kupiłem małą walizkę na pudełko swoich odzyskanych wspomnień. Kusilo mnie, żeby pozbyć się tego wszystkiego, wyrzucić do kosza albo zostawić przed bramką. Ale nie mogłem opędzić się od obrazu saperów, w ich niezgrabnych, pancernych skafandrach, otoczonych psami i robotami, którzy paraliżują całe lotnisko, żeby zniszczyć walizkę z pamiątkami, a potem oglądają nagrania z kamer, żeby znaleźć terrorystę, który ją tam zostawił.

Nie było sensu nawet próbować zasnąć; za każdym razem, kiedy zaczynałem się odprężyć, wewnętrzny monolog eksplodował obrazami i propozycjami, donosami i oskarżeniami. Kręciło mi się w głowie. Wszedłem do jedynej otwartej kafejki, usiadłem przy barze i zamówiłem sok pomarańczowy.

Czekając na kelnerkę - ładną, młodą kobietę o ciemnych włosach, być może Latynoskę - wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Watta. Nie czułem się jeszcze gotowy rozmawiać z Alondrą, ale chciałem się upewnić, że nic się jej nie stało przez ostatnich kilka godzin, że samo istnienie zdjęcia w mojej walizce nie unicestwiło jej, nie zmieniło w J. Corteza, Dasha czy nie wiadomo kogo.

- Halo?

Głos Watta był stłumiony. Zapomniałem, że jest tak wcześnie.

- Watt, to ja.

- Kto?

Serce mi się ścisnęło. Czy to był kolejny dziwny sen na jawie, taki, w którym nie istniałem?

- To ja. Joaquin.

- A, Joaquin. Cześć. - Ziewnął. - Co tam? Alondra mówiła, że wyjechałeś z miasta.

- Przepraszam, że cię budzę tak rano, Watt. Zastanawiałem się tylko, czy rozmawiałeś z nią wczoraj wieczorem.

- Z Alondra? Pokłóciliście się, czy jak?

- Nie, mam tylko złe przeczucia.

W jego głosie pojawiło się napięcie. Był poirytowany.

- Dzwonisz do mnie przed siódmą w mój wolny dzień, bo masz złe przeczucia? Odbija ci, Joaquin? Nie, nie miałem okazji z nią pogadać. Na pewno nic jej nie jest. Wspominałem już, że jest przed siódmą?

- Dobrze, dobrze, przepraszam.

Przeszłoby mu; na dłuższą metę miał wysoką tolerancję na moje wysoki. Teraz bardziej martwiłem się o siebie. Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

- Hej, Watt, znasz się na falach radiowych, prawda? Rozmawiałem z... - Przerwałem na chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. - Z kimś. Rozmawiałem z kimś, kogo tu spotkałem, i ten ktoś miał teorię na temat naszych audycji. Że mogą jakoś sięgać poza nasz świat, do... no, wiem, że to brzmi głupio, ale do świata duchów. Do zaświatów.

Watt trochę się ożywił, chociaż nie rozchmurzył.

- Wciąż nie wiemy mnóstwa rzeczy o elektromagnetyzmie, Joaquinie.

Stopniowo uświadamiałem sobie, jakie to dziwne, słyszeć głos Watta z odległości setek kilometrów. Prawie jakby Watt wydestylował się w fale, o których rozmawialiśmy, i wysłał przez powietrze, przez eter, przez

przestrzeń i czas. To nie była taka znów absurdalna koncepcja, ale uderzyła mnie z siłą młota. Powietrze wokół mnie, zrozumiałem nagle, przepełniały głosy. Każdy człowiek na lotnisku, który rozmawiał przez telefon. Każdy prezenter wiadomości w telewizji, każde radio kierowców, każdy ochroniarz z krótkofalówką. Co te fale nam zabierały? Siedziałem przed mikrofonem i wysyłałem swój głos na cały kraj pięć godzin dziennie - co zabierały mnie?

- Kiedy mowa o falach, które nie potrzebują powietrza czy wody jako ośrodka, sygnałach, które potrafią pokonywać próżnię, sygnałach czystej energii, kto wie gdzie mogą trafić? - mówił Watt. - Jeśli zaczekamy odpowiednio długo, cztery czy pięć lat, Obcy w innym układzie gwiazdnym będą mogli słuchać *Radia duchów*. Cholera, znając nasz program, niektórzy z nich mogą nawet do nas dzwonić.

Musiałem się uśmiechnąć, chociaż wciąż mnie mdliło.

- Masz rację. Słuchaj, przepraszam, że cię obudziłem. Wracam za kilka godzin. Zrób mi przysługę i sprawdź, co u Alondry, kiedy będziesz miał chwilę.

- Jasne. Nie myśl tylko o tym za dużo, Joaquin. Kogo obchodzi, dokąd trafia nasz sygnał? Martwimy się o ciebie.

Rozłączył się.

Kelnerka wróciła z moim sokiem; przez chwilę usiłowałem nawiązać z nią rozmowę, ale chyba czuła się zbyt zmęczona, żeby chociaż udawać zainteresowanie. Widziałem, że zagadywanie ją irytuje, ale nie mogłem przestać. Miałem wrażenie, że właśnie wzięłem spida i jestem obojętny na otoczenie. Było oczywiste, że ta pracująca za minimalną stawkę kobieta nie potrzebuje tego, spełniając zachcianki pół tuzina biznesmenów, którzy zamawiają kawę, kanapki, croissanty, jogurty i nie odrywają się od swoich komórek.

Zacząłem opowiadać o głupich środkach bezpieczeństwa, te, moim zdaniem, utrudniały podróżowanie, a nikomu nie służyły, i rozwodziłem się, jak automat z banałami, nad niekompetencją kontrolerów bagażu. Nikt nie zwracał uwagi na moje wywody. Kelnerka włączyła radio za ladą i podkreśliła głośność. Słowa zamarzyły mi w ustach, kiedy rozpoznałem głosy. To było *Radio duchów*.

- To ja - zaczęłam kelnerkę, kiedy mnie mijala.

- Kto? - Odgarnęła z twarzy włosy wierzchem dłoni.

- Ten facet w programie, w *Radiu duchów*.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- W programie, którego pani słucha. Ja tam pracuję.  
- Och tak? A co pan tam robi? - spytała ze znużoną ciekawością.  
- Jestem Joaquin, prowadzący.  
- Nie ma tam nikogo o takim imieniu, a słucham radia od lat - powiedziała i odeszła.

Może chciała w ten sposób okazać obojętność albo ustawić aroganckiego klienta do pionu - bez wątpienia spotykała ich dziesiątki - a może mówiła prawdę. Posłuchałem głosów w radiu, ale mogłem zidentyfikować tylko Alondrę. Był tam męski głos, który mógł należeć do mnie, ale nie słyszałem go wyraźnie. Kiedy kelnerka znów mnie mijiała, zaczępiłem ją.

- Mówi mi pani, że nie zna Joaquina z *Radia duchowi* Naprawdę?

- Co mam powiedzieć? Dobra, w porządku, znam Joaquina z *Radia duchów* - odparła.

Odgarnęła znów włosy wierzchem dłoni i poszła dalej podawać bezkofeinową i jedzenie owinięte w folię. W końcu wróciła za ladę. Nie mogłem się powstrzymać.

- Przepraszam, ale chodzi po prostu o to, że to ja jestem Joaquin. To ja. To ja stworzyłem ten program.

- Chodzi panu o Gabriela. - Spojrzała na mnie twardo. - Gabriel jest prowadzącym *Radia duchów*. Nazywa się Gabriel, a nie Joaquin.

Jakby zapadła się pode mną podłoga.

Kelnerka poszła karmić nowych głodnych, zaspanych biznesmenów. Kiedy odeszła, rozpoznałem głos w radiu - mój. Na pewno. Gadała bzdury. To był program sprzed kilku miesięcy, jeden z dzwoniących twierdził, że łowił *chupacabras*. Watt tak się z tego śmiał, że naciągnął sobie mięsień w brzuchu. Chciałem podyskutować z kelnerką, powiedzieć jej, że się myli, że w programie nie ma żadnego Gabriela i że jeśli miała dostęp do moich koszmarów, powinna mi zrobić przysługę i się odpieprzyć. Ale ona już zniknęła za drzwiami z napisem: „Tylko dla personelu”.

Zapłaciłem rachunek, wziąłem walizkę i ruszyłem do wyjścia, a potem zatrzymałem się i wróciłem do lady. Wytężyłem słuch, żeby usłyszeć radio przez gwar kawiarni. Chciałem jeszcze raz usłyszeć głos Alondry. Ale ku mojemu zaskoczeniu leciał lokalny program poranny. Prowadzący, w stylu Howarda Sterna, sugerował młodej aktoreczce porno, że czułaby się może swobodniej nago. Uwagę nagrodziły salwy śmiechu. Zatrzymała się przede mną rudowłosa kelnerka w okularach i spytała, czy czegoś potrzebuję.

- Nie, dziękuję, wychodzę. Ale ktoś właśnie zmienił stację. Może ją pani przełączyć na tę, która była poprzednio?

- Nikt nie zmieniał stacji od lat. Niech pan popatrzy. - Wskazała gałkę radia, której brakowało.

- Ale chwilę temu tam było *Radio duchowi* - wykrzyknąłem. - Ta dziewczyna, która mnie obsługiwała, mówiła, że zna ten program bardzo dobrze.

- *Radio duchów?* Leci w nocy, bardzo późno.

- Tak, wiem, ale ta druga kelnerka, ta z ciemnymi włosami, powiedziała. ..

Wszedłem za ladę i otworzyłem drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”, jak się okazało, prowadziły do maleńkiej spiżarni.

- Proszę pani! - zawołałem.

Czyjaś ręka chwyciła mnie mocno za ramię i wyciągnęła. To była rudowłosa kelnerka, wściekła.

- Czego pan tam szuka?! Klientom wstęp wzbroniony! Zaraz wezwę ochronę.

- Przepraszam. Chciałem tylko zapytać o coś pani koleżankę, tę młodą panią, która mnie obsługiwała.

- Nikogo tam nie ma, a ja nie mam żadnej koleżanki. Tylko ja mogłam pana obsługiwać, bo tylko ja tu jestem. Proszę stąd wyjść, nie widzi pan, że nie mam czasu?

- To była młoda kobieta z ciemnymi włosami... - powtórzyłem tępo.

- Tylko ja. - Patrzyła na mnie agresywnie i popchnęła w stronę wyjścia.

Biznesmeni przerwali swoje telefoniczne rozmowy, przestali wgrzyzać się w pączki i drożdżówki, odłożyli teczki i palmtopy. Patrzyli na mnie z niesmakiem, jakbym przyniósł wstyd całej społeczności podróżnych, domagając się od kelnerki czegoś innego niż jedzenia. Próbowałem zignorować ich spojrzenia i dyskretnie usunąć się z ich pola widzenia, ale czułem je na sobie, gdy wychodziłem. Zapowiedziano przez głośnik mój lot. Zmusiłem się, żeby zlekceważyć fakt, że głos spikera brzmiał jak głos Gabriela.

Kiedy siadałem na swoim miejscu, stanęła mi przed oczami Colett—przeskakiwała przez płot stacji w swoich głanach, była skupiona na mikroszerze, piła, jadła, uśmiechała się i odgarniała włosy wierzchem dłoni.



**Powrotna podróż Joaquina nie była przyjemna.**

Epizod z kawiarni na lotnisku za bardzo go wzburzył, żeby mógł zasnąć. Zastanawiał się, czy w ogóle jeszcze kiedyś zaśnie. Czy będzie jeszcze kiedyś racjonalnie myślał. Czy będzie... O Boże, lista ciągnęła się bez końca. Nawet perspektywa powrotu do domu nie pocieszała. Co się miało stać, kiedy już by tam dotarł? Jaki byłby dzień? Którego tygodnia? Którego miesiąca? Którego roku? Przerazały go te myśli. Samolot przygotowywał się do startu, a Joaquin czuł, że popada w obłęd.

Walczył, żeby nadać sens wydarzeniom. Może mógłby znaleźć racjonalne, nawet naukowe wytłumaczenie tego, co mu się przytrafiło. Ale gdzie? Jak?

Ścisnął poręczę fotela; przegrywał walkę o logikę. Trafił do jakiejś fałdy czasowej, czasoprzestrzennego skrzyżowania, w którym przecinały się różne etapy jego życia, przyszłość, przeszłość i teraźniejszość - wszystkie w zasięgu ręki, wymieszane. Fizyka kwantowa sugerowała możliwość takich rzeczy. Prawda? Żadna hipoteza nie była bardziej wiarygodna czy choćby prawdziwsza niż kolejna. Joaquin pożałował, że nie wie więcej o intelektualnych labiryntach i logicznych sprzecznościach podróży w czasie i wymiarów równoległych, ale pomyślał, że w tej chwili i tak nic nie poprawiłoby mu nastroju.

Nigdy przedtem nie doświadczył takiego chaosu; kiedy samolot kołował w stronę pasa startowego, Joaquin czuł się, jakby wjeżdżał na salę operacyjną, przygotowując się do ciężkiej operacji. Kiedy jednak usłyszał rutynowe komunikaty, że podczas startu nie wolno korzystać z komputerów ani odtwarzaczy CD, a na resztę lotu należy wyłączyć telefony komórkowe, zrozumiał, że znajduje się w swego rodzaju kapsule izolacyjnej, przestrzeni wolnej od sygnałów radiowych. Jeśli można wierzyć Gabrielowi, fale radiowe były słyszalne poza światem żywych, ale nie mogły osiągnąć tego samolotu. Na niebie był bezpieczny przed *Radiem duchów*, bezpieczny przed swoim przeciwnikiem, bezpieczny przed demonami w głowie, które burzyły jego zdrowy rozsądek. W końcu jednak musiałyby wylądować i stawić czoło słuchaczom i ich telefonom, wizjom i zjawom. Może powinien odejść z programu. Może to pozwoliłoby mu się

pozbyć duchów, hipotetycznych podróży w czasie i tego bezustannego stanu lunatykowania na jawie. Co ważniejsze, może rozwiąłoby opar niejasności, spowijający jedyną część życia Joaquina, z której nie chciał rezygnować: Alondrę.

Usiadł wygodniej w fotelu i spróbował zasnąć. Poczł dłoi na ramieniu.

- Przepuści mnie pan? To moje miejsce.

Wzdrygnął się, przestraszony; myślał, że drzwi samolotu juź zostały zamknięte. Podwinął nogi, potarł oczy i przepuścił nieznanomego. Ale kiedy podniósł wzrok... To był Gabriel.

- Co za zbieg okoliczności. Taki wielki samolot, a my dostajemy miejsca obok siebie.

Gabriel uśmiechnął się od ucha do ucha, pokazując Joaquinowi swoją kartę pokładową, i usiadł na fotelu przy oknie.

- Nie sądziłem, że akurat ty tego potrzebujesz, żeby móc latać - powiedział Joaquin.

- Nie chciałem przegapić sposobności pogadania. Tyle mamy do omówienia.

- Czego ode mnie chcesz?

- Niewiele, przyjacielu. Nie masz duzo do zaoferowania. To ja ci daję różne rzeczy, na przykład te pamiątki w twoim bagażu. Szczęśliwe dni, co?

Znów się uśmiechnął. Złośliwie.

- Nie rozmawiajmy, dobrze? Muszę się przespać.

Gabriel wyciągnął pismo z kieszeni fotela przed sobą i pobieżnie je przekartkował.

- Myślałem, że możesz mieć jakieś pytania - rzucił od niechcenia.

Joaquin milczał.

- Na przykład o Alondrę.

- Co z Alondrą? - spytał Joaquin, nie mogąc się powstrzymać.

- Powiedziałem „Colett”. Chyba ci się mylą te imiona, co?

- Powiedziałeś „Alondra”. Słyszałem wyraźnie.

- Mam cofnąć czas i pokazać ci, co powiedziałem? Potrząsnął piśmem i wypadło z niego zdjęcie Colett. Podniósł je i obejrzał.

- - Hm... Skąd to się wzięło?

Joaquin zmrużył oczy ze złości.

- Chcesz je z powrotem? - Podał je Joaquinowi.

Joaquin sięgnął po zdjęcie, ale Gabriel je wyszarpnął. Potem odwrócił i popatrzył na tył.

- Dziwne, myślałem, że to zdjęcie Alondry. Patrz, co tu jest napisane.

Joaquin spojrział na tył zdjęcia; czarnym flamastrem wypisane tam było imię „Colett”.

- „Colett” - powiedział tępo.

- Nie, nieprawda. Spójrz jeszcze raz.

Spojrział jeszcze raz. Na jego oczach litery zmieniały kolejność, aż ułożyły się w inne słowo. Słowo „Toltek”.

- Co to ma znaczyć? - Oddał Gabrielowi zdjęcie. - Chcesz mi powiedzieć, że Colett jest Toltekiem?

- Colett? A kto to?

Gabriel pokazał mu znów tył zdjęcia. Teraz było napisane „Alondra”.

- Naprawdę chcesz tak żyć, ślepy, narażony na przeszłość, której nawet nie pamiętasz? Przeszłość czającą się w ciemności, gotową skoczyć i dziabnąć cię w tyłek?

- Biorę na siebie wszystko, co możesz zaserwować. Zawsze mogłem.

- Można cię nabrać, przyznaję.

Uroczo. Ale Joaquin nie pozwolił, żeby go to uraziło. Potem do głowy przysła mu pewna myśl. Obfita, soczysta myśl. I po raz pierwszy od wielu godzin się uśmiechnął.

- Dobra, mam do ciebie kilka pytań.

- Aha - mruknął Gabriel, zaglądając do pisma.

- Mówiłeś, że po tamtej stronie nas nie słyszycie, nie słyszycie nic, tak?

Gabriel kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

- To jak rozmawiamy?

- Napisali tu, że Lindsay Lohan jest otwarta na sceny rozbierane, jeśli są „integralne z fabułą”. A to niespodzianka, co?

- Słyszałeś mnie?

- Nie to jest niespodzianką, że zagrałaby rozbieranki, ale że zna słowo „integralny”. - Zaśmiał się pod nosem.

- Zadałem ci pytanie.

- Wiem. Słyszałem.

- I?

- Jeszcze na to nie wpadłeś?

Joaquin odetchnął głęboko.

- Niepotrzebnie ci je dałem - stwierdził Gabriel.

- Co mi dałeś?
- *Radio duchów*.
- Nie dałeś mi *Radia duchów*. Ja je stworzyłem. Stworzyłem je bez ciebie.
- Stworzyłeś je? Nawet nie wiesz, czym ono jest.
- To program radiowy.
- Nie, Joaquin, *Radio duchów* to nie program radiowy. To nigdy nie był program radiowy. To maszyna.

## 51

### DUCH W MASZYNIE

Joaquin nagle się ocknął. Rozejrzył się. Gabriel zniknął.

Jego uwagę zwróciła stewardesa, przechodząca między rzędami foteli.

- Czy to miejsce jest zajęte? - spytał.
- Nie, proszę pana, wszyscy są na pokładzie, a drzwi są zamknięte. Ma pan szczęście, będzie pan mógł wyciągnąć się i przespać.
- Widziała tu pani kogoś przed chwilą?
- Nie. Tylko pana.
- Przepraszam - powiedział Joaquin i wstał.
- Proszę pana, startujemy. Musi pan zostać na swoim miejscu.
- To nagły wypadek.

Ruszył szybko przejściem, przyglądając się wszystkim pasażerom. Wiedział, że nie znajdzie Gabriela, ale wypatrywał czegokolwiek podejrzanego, jakiegoś znaku. Gdzieś w głębi ducha wciąż uparcie nie chciał wykluczyć, że to czyjś głupi dowcip. Wiedział, że to niemożliwe, by komukolwiek udał się dowcip aż tak skomplikowany, ale nie mógł, czy nie chciał, porzucić tej myśli.

Stewardesa nerwowo szła za nim.

- Proszę pana, proszę wrócić na miejsce.

Joaquin ją zignorował i szedł dalej szybkim krokiem, przyglądając się twarzom zaskoczonych pasażerów. Niektórzy z nich już widzieli go upokorzonego i wyproszonego z kawiarni za dziwne zachowanie;

rozpoznawał ich wystraszone miny i osądzające spojrzenia. Miał to gdzieś. Dotarł do końca samolotu i zaczął otwierać jedne po drugich drzwi wszystkich łazienek, mając nadzieję znaleźć tego, kto podszywał się pod Gabriela. Do pościgu przyłączyła się druga stewardesa.

- Proszę pana, jeśli pan nie usiądzie, będziemy musieli opóźnić start.

- Mówiła rozmyślnie głośno, żeby pasażerowie usłyszeli i zaczęli naciskać na Joaquina.

- Siadaj pan, do cholery! - krzyknął ktoś.

- Wyrzućcie go z samolotu. To wariat - dodał starszy mężczyzna, z daszkiem na gumce na głowie.

Joaquin dotarł do aneksu kuchennego, gdzie dwie inne stewardesy chórem kazały mu wracać na miejsce. Rozejrzał się szybko, a potem ruszył z powrotem, napotykać pościg.

- Już idę, już idę. - Odsunął stewardesy z drogi.

Ale zamiast wrócić na miejsce poszedł dalej i przypatrywał się pasażerom. Kiedy doszedł do zasłony oddzielającej pierwszą klasę, czyjeś ramię chwyciło go za szyję i ścisnęło, odcinając mu oddech, a w skroń wbiła się lufa pistoletu.

- Nie ruszaj się, sukinsynu! Straż powietrzna! - ryknął mu ktoś do ucha.

Straż powietrzna, tego mi było trzeba, pomyślał Joaquin. Jeszcze jedna rzecz, która się zdarza tylko na filmach.

Usłyszał krzyki, a potem wzbierający ocean głosów. Próbował się wyrwać, ale uchwyt za szyję całkowicie go sparaliżował. Kiedy tylko próbował złapać oddech, policjant wzmacniał ucisk.

Joaquin wiedział, co to jest: chwyt usypiający. Nowojorscy gliniarze przestali go stosować w latach osiemdziesiątych: za dużo ludzi umierało.

Rozluźnił się, mając nadzieję, że strażnik poluzuje uchwyt. Nie chciał zostać kolejną liczbą w statystykach.

Nie pomogło. Wciąż nie mógł złapać tchu. Pole widzenia zaczęło się rozmazywać.

W głowie rozbrzmiewały mu głosy stewardes, które prosiły podróżnych, żeby wracali na miejsca. Pasażerowie nie chcieli, głośno wyrażali różne obawy. Joaquin kilka razy usłyszał wyraźnie słowo „bomba”. Przez głośniki podano komunikat, że został zatrzymany człowiek zachowujący się podejrzanie.

- Nie ma powodu do niepokoju - uspokajał pilot - ale będziemy musieli cofnąć się do bramki.

Pasażerowie denerwowali się, chcieli wyjść z samolotu. Joaquin czuł na sobie podejrzliwe spojrzenia. Wzięli go za Araba? Z Latynosami czasami tak bywało.

- Proszę mnie puścić - wykrztusił w końcu. - Nie jestem terrorystą. Szukam kogoś.

- Powiesz to FBI.

Joaquin usłyszał, że drzwi do samolotu się otwierają. Przejściem między fotelami nadeszło kilku agentów, skuli go i wyprowadzili z pokładu do małego pomieszczenia ze stołem i dwoma krzesłami. Kiedy tylko go posadzili, spróbował opisać, co się stało, najspokojniej jak mógł. Ale nawet on sam był świadom, jak idiotycznie to brzmiało.

- Szukałem tylko kogoś, kto chyba mnie szantażuje. Był na pokładzie samolotu, ale coś odwróciło moją uwagę i zniknął.

- Jest pan pewien? Jak się nazywa ten człowiek? Co was łączy? Jakie ma motyw?

Każde wyjaśnienie brzmiało głupiej niż poprzednie, zmęczenie też nie pomagało. Wszystko wskazywało, że łatwo się z tego nie wykręci. Noc w areszcie wydawała się pewnikiem.

Patrzył, jak agenci przeszukują jego walizkę. Obejrzeni zdjęcia Gabriela i inne pamiątki.

- Co to jest?

- Moje życie... na zdjęciach - powiedział Joaquin, zmuszając się do szerokiego uśmiechu.

Agentów FBI to nie rozbawiło.

To że Joaquin miał tylko ten bagaż, budziło podejrzenia. Wyjaśnił już, że zaszła pomyłka, bardzo mu wstyd, że zachował się niewłaściwie, przysiągł, że nigdy to się nie powtórzy; chce tylko wrócić do domu. Agenci słuchali jak roboty, powtarzając w kółko te same pytania.

- Jest pan powiązany z organizacjami terrorystycznymi? Zamierza pan popełnić jakies przestępstwo wymierzone w obywateli Stanów Zjednoczonych?

I tak dalej.

Jednemu z nich zadzwonił telefon, agent wyszedł porozmawiać. Joaquin i drugi agent siedzieli w milczeniu, czekając na jego powrót.

- Pana wersja się potwierdziła. Wyślemy pana najbliższym lotem. Proszę się uspokoić.

Joaquin nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jak mogli mu ot, tak darować zakłócenie lotu? Jak mogli zignorować fakt, że zachował się jak

wariat i tym samym zmusił strażnika powietrznego do ujawnienia tożsamości? Jego zachowanie mogło ich kosztować tysiące, dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy dolarów. Ale nie zamierzał sprzeciwić się jedynym przyjaznym słowem, jakie słyszał przez cały dzień czy właściwie przez całą swoją podróż. Dlatego podziękował przesłuchującym, kiedy zdjęli mu kajdanki.

- Jeśli to się powtórzy, będziemy musieli postawić panu zarzuty.

Agenci odeskortowali Joaquina do bramki. Jeden poczęstował go xanaxem, żeby „trochę się wyluzował”. Joaquin wziął pastylkę, na wszelki wypadek, i schował do kieszeni koszuli. Byłaby to jakaś opcja, gdyby znów zrobiło się niewesoło.

W milczeniu czekał w hali odlotów, agenci siedzieli po jego obu stronach. Po godzinie zaczęto wpuszczać na pokład. W końcu głowę Joaquina wypełniła tylko cisza. Jeden z agentów pożegnał się z nim chłodno i wysłał do samolotu ze złowrogim ostrzeżeniem.

- Jeśli to się wydarzy jeszcze raz, osobiście zaniknę cię w pierdlu.

- Nigdy więcej się nie spotkamy - obiecał Joaquin. Miał nadzieję, że to prawda.

Znalazł swoje miejsce w nowym samolocie. Słyszał mnóstwo opowieści o ludziach, których dziwne zachowanie podczas lotu wpakowało ich w sytuacje rodem z książek Kafki, byli przetrzymywani miesiącami, nawet latami tylko dlatego, że mieli atak paniki albo zachowywali się podejrzanie. On zachował się jak kretyn i gdyby zechcieli, mogliby go wysłać nawet do Guantanamo. Klapnął z ulgą na fotel i zapiął pas; czuł się dziwnie świeżo, jakby wziął prysznic po dobrze przespanej nocy. Wtedy zadzwonił telefon zamontowany na oparciu fotela przed nim. Szaleństwo się jeszcze nie skończyło.

Joaquin wcisnął przycisk uwalniający słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Tym razem chcę ci tylko życzyć przyjemnej podróży.

Taki głos miał Gabriel.

Joaquin się rozłączył.

Rozejrzał się dookoła; samolot wyglądał identycznie z poprzednim. To akurat nie było nic dziwnego, wszystkie 767 są podobne. Ale Joaquin rozpoznawał twarze ludzi z kawiarni i kilka z poprzedniego lotu. Patrzyli na niego chłodno, bez wrogości, bez zaciekawienia. Mieli znużone, zaniepokojone miny podróżnych i nic więcej. Stewardesy były tak samo znużone. Jedna zatrzymała się obok Joaquina i uśmiechnęła.

- Chciałbym przeprosić. - Ryzykował, że znów ściągnie na siebie kłopoty.

- Za co, proszę pana?

- Za moje poprzednie zachowanie.

- Przykro mi, ale nie wiem, o czym pan mówi.

- Pomyliłem się, wziąłem panią za kogoś innego - powiedział szybko.

Stewardesa zmarszczyła brwi ze zdziwieniem i poszła zajrzeć do pasażerów, którzy właśnie wsiedli. To był jeszcze jeden sen. Joaquin zaśmiał się, przypominając sobie słowa Gabriela: - „Naprawdę nie rozumiesz snów”.

Dotknął kieszeni koszuli. Xanax wciąż tam był. Joaquin patrzył przez chwilę na pigułkę, a potem połknął ją bez popijania.

## 52

KIEDY SAMOŁOT WYLĄDOWAŁ, JOAQUIN SPAŁ

Stewardesa poprawiła spódnicę i nachyliła się nad Joaquinem.

- Proszę pana, wylądowaliśmy.

Wszyscy pasażerowie już wysiedli. Westchnęła.

- Proszę pana, musi się pan obudzić. Wylądowaliśmy.

Nic.

Może umarł, pomyślała. To by nie był pierwszy raz. Zmartwiło ją to. Wiedziała, co się z tym wiązało - policja, karetki, morze papierów. Potrząsnęła Joaquinem.

- Pobudka! Proszę wstawać!

Inne stewardesy podeszły do nich z zatroskanymi minami.

- Nie reaguje? Mamy wezwać karetkę? - spytała jedna z nich.

- Miałam co do niego złe przeczucia, od kiedy wsiadł - zauważyła pierwsza, a potem wrzasnęła: - Hej, obudź się!

- On oddycha?

Stewardesa podsunęła Joaquinowi dłoń pod nos. W końcu otworzył oczy.



Pigułka miała cudowne działanie; czuł się wypoczęty i gotowy stawić czoło wszystkiemu, co go czekało. Rozejrzył się, odrobinę skołowany. Trzy stewardesy przyglądały się mu z przejęciem. Rozbawiło go to.

Panował cudowny brak niewyjaśnionych zjawisk i halucynacji. Sny Joaquina nie wkraczały w jego życie na jawie. Dobrze.

Dotknął fotela przed sobą, potem swojego, potem pomacał bagaż. Normalność przedmiotów wywołała w nim falę przyjemności. Przeciągnął się i roześmiał radośnie, chociaż wiedział, że jeszcze nie koniec problemów. Zerwał się, chwycił torbę i wysiadł z samolotu najszybciej jak mógł. Głos w głowie powiedział mu, że osiągnął punkt zwrotny. Samochód czekał na niego na parkingu. Znajomy zapach skórzanej tapicerki i dotyk kierownicy pod palcami dodawały otuchy. Popędził prosto do domu. Samochody jeździły ulicami, kierowcy rozmawiali przez komórki, dzieci tarmosiły się na tylnych fotelach. Słońce jasno świeciło na niebie. Joaquina to wszystko oszałamiało, do tego stopnia, że prawie przejechał swój zjazd z autostrady.

Nie mógł się wyprzeć tego, co przeżył podczas podróży. Każda dziwna sytuacja, każde spotkanie, każdy cios i groźba wciąż ciążyły mu niczym młyńskie kamienie. Jeśli to nie była rzeczywistość, to nic nianie było.

Ostatnich kilka dni wyglądało jak wyjęte z horroru, i to klasy B. Joaquin widział dziesiątki, setki, może tysiące horrorów i miał wrażenie, jakby odgrywał główną rolę w zlepku najróżniejszych historii, potpourri scen i klisz. Zupełnie, jakby jego pamięć odkrywała poskładaną byle jak kompilację filmowych motywów, które nosił w głowie. Wszystkie pojawiania się i znikania, gry z tożsamością, skoki przez przestrzeń i czas można było powiązać z konkretnymi scenami z filmów - nie tylko horrorów, ale wszystkich filmów, jakie oglądał.

Zastanawiał się nad grozą życia nieliniowego, życia w zawieszeniu. Śmierć była brakiem narracji, a nic nie odzwierciedlało tego lepiej niż perwersja osobistych przeżyć wplecionych w wątki pożyczone z rozrywki masowej.

Może wciąż mógł zatrzymać maszynę chaosu, siły rozmontowujące rzeczywistość, przez napisanie od nowa swojej historii, jakakolwiek by była.

Joaquin myślał o tym wszystkim, kiedy dotarł do swojego domu, przyjemnej, przesadnie strzeżonej poczwarki, w której miał nadzieję znaleźć Alondrę. Osobę, którą najbardziej pragnął zobaczyć i której

najbardziej się bał. Wszystko zależało teraz od niej. Jeżeli jego rzeczywistość zmieniała się razem z nią, to koniec. Nie byłoby już powrotu do normalnego istnienia.

Z drugiej strony, jeśli pozostała tą samą osobą, jak miałyby wyjaśnić zdjęcie? Niezwykłe podobieństwo? Zbieg okoliczności? Czyjego chaotyczna, gorączkowa podróż do Houston stałaby się tylko anegdota, którą mógłby opowiedzieć w swoim programie? Nie miał aż takich nadziei.

Zamknął samochód i poszedł do swojego mieszkania.

Po odpowiedzi.

## 53

### KONFRONTACJA

Joaquin wszedł do mieszkania, ostrożnie, jakby drewniana podłoga mogła się pod nim nagle zapaść. W rękę ścisnął rączkę swojej małej walizki, bojąc się, że zniknie albo się otworzy, a zdjęcia wysypią się i zarażą wszystko jak wirus. Alondra wyszła z sypialni i zarzuciła mu ręce na szyję, czego nie robiła zbyt często. Żadne z nich się nie odzywało. Alondra przyciskała Joaquina do siebie; czuł, jak rozluźniają się mięśnie jej pleców. Pocałowali się, mocno i z przyjemnością zabarwioną desperacją. Minęło kilka minut, zanim wyartykułowali jakieś słowa. Patrzyli sobie w oczy, dotykali się delikatnie opuszkami palców, jakby byli czymś kruchym, co może się rozpaść. Alondra jakby wiedziała, co się działo z Joaquinem. Nie musiał jej mówić, co się wydarzyło ani o czym myślał; to było tak, jakby rozumiała głębię jego wątpliwości i obaw.

Coś go w tym jednak przerażało. Czy naprawdę Alondra była Colett? Czy była Toltekiem, odciągającym go od zmyślonej prawdy do brutalnych mechanizmów codzienności? A może podpora, która podtrzymywała jego rzeczywistość? Joaquin wiedział, że nie umie odpowiedzieć na te pytania. Zastanawiał się, czy może je zadać Alondrze. Zażądać, żeby odpowiedziała. Nie miał pewności. Musiał opisać wszystko najlepiej jak umiał, a potem spytać ją, czy błagać, żeby nadała tej tajemnicy jakieś znaczenie. Żeby potwierdziła jego spostrzeżenia.

Alondra zawsze witała go czule, ale to powitanie było czymś więcej. Joaquin miał wrażenie, że coś tu nie gra. Ta kobieta, która nigdy nie traciła opanowania, reagowała histerycznie. Nie wiedział, od czego zacząć, a pustka w piersi nie pozwalała mu wypuścić powietrza.

- Wszystko będzie dobrze. - Alondra przerwała przedłużając się ciszę.

Jej słowa nie niosły pocieszenia. Były deklaracją. Żołnierskim wyzwaniem. Ale kiedy zawisły w powietrzu, stały się pytaniem.

- Co się stało?

- Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem.

- Cały czas miałam wrażenie, że nie wrócisz, że coś się zepsuło, czego nie możemy naprawić.

Zaskoczyły go te słowa.

- No, ale wróciłem. Sam nie wiem, co się dzieje, a przynajmniej co się dzieje ze mną, ale wiem, że musi być jakiś sposób, żeby to zatrzymać, odwrócić bieg spraw.

- Wyjaśnij mi to. Będę słuchać.

- Czuję się, jakby rzeczywistość wokół mnie się waliła. Jakby przeszłość, teraźniejszość i przyszłość splątały się w jakąś wstęgę Moebiusa.

Nie wspominał nawet o najdziwniejszych zjawiskach, jak pojawienie się Gabriela czy dziwna podróż przez pustynię, ale kiedy wrócił do domu, zrozumiał, jak niedorzecznie by to zabrzmiało.

- Nic nie rozumiem.

- Wiem, ale coś dziwnego dzieje się z moimi zmysłami. Może z twoimi też.

Otworzył walizkę i dotknął zdjęcia Colett. Znieruchomiał, oblany falą strachu. Naprawdę mógł pokazać to zdjęcie? Co by się stało? W tej chwili wszystko było możliwe: implozja wszechświata, zniknięcie Alondry, rozdarcie kontinuum czasoprzestrzennego.

- Co tam masz? - spytała Alondra.

- Stare, niechciane wspomnienia. Nic ważnego.

- Pokaż.

- Później.

- Nie, chcę zobaczyć teraz, jeśli szukamy znaków i śladów.

- Wolalbym na razie to zostawić.

- Dlaczego? Co tam jest?

- Zdjęcia i pamiątki. Ale tu mam jeszcze jeden interesujący kawałek układanki. - Przypominał sobie o kasecie.

Wyjął ją z kieszeni.

- Kasetę?

- Tak. Nagranie *Radia duchów*, ale z datą 1983 roku.

- No dobrze...

- To musi być ta audycja, której słuchałem z Gabrielem, kiedy byliśmy w szpitalu, opowiadałem ci, ta, która mnie zainspirowała do stworzenia naszego programu.

- Nie wiedziałam, że tak samo się nazywała. Skopiowałeś ją?

- Nie pamiętałem, jak się nazywała, zapomniałem.

- A dlaczego kasetę z nagraniem starej audycji radiowej jest teraz taka ważna?

- Bo to my występujemy w tym programie, nagrany podobno dwadzieścia lat temu.

- Dwadzieścia lat...?

Opisał swoją wizytę w archiwum Winklera.

- Straciłem głowę i zaprzepściłem szansę zrobienia z tym czegoś więcej. Facet był trochę dziwny, to na pewno, ale nie miał powodu mnie oszukiwać, do tego nie mógł być aż tak nieuważny, żeby błędnie oznakować dziesiątki nagrań, i to akurat tych, które mnie interesowały.

Alondra upierała się, że można to wytłumaczyć na wiele sposobów. W archiwach takie rzeczy działy się bez przerwy. Rzuciła kilkoma przykładami źle skatalogowanych dokumentów, nawet w bibliotekach cieszących się reputacją najlepszych na świecie. Joaquin cierpliwie słuchał.

Potem opowiedział jej o przerwie na wiadomości.

To ją znokautowało. Chwyliła się oparcia krzesła i wzięła kilka głębokich wdechów.

- Rzeczywiście dzieje się coś dziwnego, ale wiesz, że wyobrażenia często nas ponosi. Roztrząsamy wszystko tak długo, aż się pomiesza i skomplikuje.

- Gabriel ukazywał mi się kilka razy. Widziałem go i rozmawiałem z nim tak samo, jak teraz rozmawiam z tobą. To tak, jakbym łąpał jego stację duchowych fal. Nie przychodzi mi do głowy żadne inne wytłumaczenie, chyba że naprawdę zwariowałem.

- Sny?

- On tak mówi. Ale jeśli to sny... no, to takich snów jeszcze w życiu nie miałem.

- Czego on chce?

- Nie wiem. Mówi, że zmarnowałem życie, że to nie fair, że ja przeżyłem, a on nie.

Joaquin nie chciał zagłębiać się w szczegóły; czuł się dziwnie, rozmawiając o tym.

- Chcesz powiedzieć, że Gabriel chce cię skrzywdzić?

- Nie jestem pewny. Nie wiem.

- Ale z nim rozmawiałeś. Nie było dla ciebie jasne, o co mu chodzi?

- Nie. Chociaż wyraził pewne zainteresowanie tobą.

- Co takiego? To jakiś żart?

- Nie.

- Spełnił mi się sen każdej gotki: wielbiciel z za grobu.

- To nie wszystko - powiedział Joaquin; Alondra była otwarta na jego opowieść. - Spójrz na to zdjęcie.

Wyjął fotografię, gdzie stał obok Alondry/Colett, na godzinę czy dwie przed śmiercią Gabriela.

- Wiele lat temu, pewnej bardzo ważnej nocy, poznałem tę dziewczynę, bardzo podobną do ciebie.

Zawahał się, a potem pokazał zdjęcie Alondrze. Znów się uśmiechała. Cokolwiek ją wystraszyło czy zmartwiło podczas nieobecności Joaquina, mijało. Wzięła zdjęcie, ale kiedy na nie spojrzała, wyraz jej twarzy się zmienił; kąciki ust opadły, a w oczach wezbrały łzy.

- Niesamowite podobieństwo, prawda?

Nie odpowiedziała. Tkwiła nieruchomo, jakby go nie słyszała. Z trudem łąpała oddech. Joaquin zerwał się na nogi i chwycił ją. Zbladła, miała słaby puls, oczy uciekły jej pod czaszkę. Joaquin zawołał ją cicho i delikatnie nią potrząsnął. Polaroid wypadł jej z rąk. Joaquin schylił się i podniósł go z podłogi. Na zdjęciu, nadzwyczaj wyraźnie jak na tak starą fotografię, widać było Alondrę/Colett leżącą z wywróconymi oczami na podłodze studia radiowego. Wyglądała na martwą.

Ale nie była ubrana jak gotka. Miała na sobie starożytne mezoameerykańskie szaty tolteckiej kapłanki.

Joaquin położył Alondrę na kanapie i próbował zebrać myśli. Życie Alondry uchodziło z niej z każdą sekundą; nic dziwnego, skoro zobaczyła dowód swojej śmierci. Wykręcił numer alarmowy i wtedy zobaczył Gabriela, stał w salonie obok okna.

- Nie marnuj czasu - odezwał się spokojnie. - Lekarze nic jej już nie pomogą.

- Coś ty jej zrobił, sukinsynu?! - wrzasnął Joaquin, ciskając słuchawkę na widelki. Zbliżył się groźnie do widma.

- Nic nie zrobiłem. Wciąż nie rozumiesz.

- Zostaw ją w spokoju! Ze mną rób co chcesz, ale ją zostaw!

- To nie tak, Joaquin. Musisz zrozumieć. Nie mam żadnej władzy nad Alondrą czy nad tobą, czy nad kimkolwiek. Mogę odstawić małe przedstawienia, robić sztuczki, wykorzystywać twoją łatwowierność. Mogę pokazywać ci ciekawe, tragiczne, straszne rzeczy. Ale to nie ja pociągam za sznurki. No, ale jeśli Alondra przejdzie do mojego świata, nic ci nie mogę obiecać.

- Co się z nią dzieje!? Dostała zapaści, kiedy zobaczyła zdjęcie, które mi dałeś. Wrobiłeś mnie!

- Ty widziałeś zdjęcie, które miałeś ode mnie. Ona zobaczyła coś innego.

- To co to zdjęcie przedstawia?

- W pewnych wypadkach obserwator wpływa na obserwowany fenomen samą swoją obecnością.

- Co?

- Wiesz, to efekt obserwatora, jak w tym eksperymencie Schrodingera z kotem: kot nie jest żywy ani martwy, dopóki ktoś go nie zobaczy. Czy, mówiąc tak, żebyś zrozumiał, sygnał radiowy nie istnieje, dopóki ktoś go nie usłyszy.

- Alondra umiera, a ty pieprzysz mi o fizyce?

- Fizyka bardzo mnie zainteresowała. Jest fascynująca.

- Co mam robić? Zrobię wszystko, żeby ją uratować.

- Mówię ci, to tak nie działa. To nie jest film Wesa Cravena. Nie mogę wpływać na tych, którzy sąpo drugiej stronie.

- Kłamiesz. Wyrwałeś mnie ze szpitala. Jeśli to nie jest interwencja w świecie żywych, to co?

Gabriel się roześmiał.

- To nie było tak.

- Więc kto to zrobił?

- Tamto było w twoich rękach, tak samo jak to teraz.

Joaquin wrócił do Alondry. Była zimna. Spojrzał na Gabriela, ale ten zniknął. Joaquin pomyślał o jego ostatnich słowach. „W moich rękach”, powtórzył, unosząc Alondrę w ramionach. Wykręcił numer Watta.

- Watt, jesteś mi potrzebny, przyjeżdżaj do mnie do domu. Alondra, jest z nią bardzo źle, pospiesz się. Użyj klucza, który ci zostawiłem.

Rozłączył się, zanim Watt zdążył zażądać wyjaśnienia czy w ogóle cokolwiek powiedzieć. Czas był cenny. Joaquin nie mógł zmarnować ani sekundy. Znów przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić po karetkę, ale wewnętrzny głos powiedział mu, że to bez sensu, że uratować ją może tylko on. W tej samej chwili przypomniał sobie mieszkanie szamana i dziwne podobieństwo panującego tam chaosu do pseudoreligijnego, punkowego ołtarza - ochrzczonego przez media „narkotyczno-satanistycznym” - który razem z Gabrielem ustawił w studiu radiowym. W końcu dziwne wrażenie, które miał w tamtym mieszkaniu, stało się jasne. Chwycił kluczyki do samochodu i wybiegł.

Jechał jak szaleniec, nie zwracając uwagi na inne samochody, przeciskał się po chodnikach i pod prąd jednokierunkowymi ulicami. O możliwości spowodowania wypadku nawet nie pomyślał. Po kilku minutach dotarł na ulicę, przy której znajdowało się mieszkanie-świątynia pastora Cuahtémoca, J. Corteza. Sam nie wiedział, jak tam trafił, ale wiedział, niemal jak przyciągany magnesem, że tam właśnie musi jechać. Zaparkował pospiesznie, wyskoczył z samochodu i pobiegł do budynku. Schody zdawały się ciągnąć bez końca. Zapukał do drzwi, najpierw z wahaniem, potem mocniej, rozpaczliwie. Nikt nie otworzył, ale ze środka dobiegały głosy. Joaquin nacisnął klamkę; otwarte. Mieszkanie wyglądało tak, jak je zapamiętał, tyle że nie było nigdzie śladu ciała J. Corteza. Grało radio; nadawano jakąś dyskusję, ktoś z wściekłością wykrzykiwał obelgi. Joaquin rozejrzał się po pozornym nieporządku. Przyglądał się przedmiotom z rosnącym poczuciem pewności. To były te same rzeczy, z których Gabriel zbudował swój ołtarz. Ale Joaquin nie pamiętał ich ustawienia.

„*Radio duchów* to nie program radiowy. To nigdy nie był program radiowy. To maszyna”.

Słowa Gabriela rozbrzmiewały mu w głowie. Maszyna, która uruchomiła wszystko to, co wydarzyło się przez ostatnie osiemnaście lat.

Ale jak ją zbudować? Jak zmusić do działania?

Kiedy te pytania krążyły Joaquinowi w głowie, po drugiej stronie pokoju włączył się odtwarzacz CD, a z głośników ryknęło *Kill the Poor Dead* Kennedys.

Śluchając słów, Joaquin zrozumiał, że ta piosenka mogłaby być bojowym zawołaniem Tolteków. Zabij biednych imperium, zabij ich fałszywym pojęciem szlacheckości, zabij ich w ich pogoni za technologią. Ich pogoni za maszyną.

Podbiegł do odtwarzacza, znalazł pudełko od płyty i wyciągnął wkładkę z tekstami. Tekst do tej piosenki musiał być wypowiedzią.

Wydajność i postęp znów należą do nas  
Teraz, kiedy mamy bombę neutronową  
Jest ładna, szybka, czysta i załatwia sprawę  
Precz ze zbędnym wrogiem  
Ale wartość nieruchomości nie spada  
Wojna nie ma sensu, ale w domu to ma idealny sens  
Słońce świeci na nowy dzień  
Nie trzeba już płacić zasiłków  
Nieładne slumsy znikają w rozbłysku światła  
Bezrobotne miliony wymiecione  
W końcu mamy dość miejsca do zabawy  
Cała naprzód, zabijmy biednych: dziś wieczorem  
Zabijemy, zabijemy biednych: dziś wieczorem  
Spójrz na bąbelki szampana  
Zniknęła przestępczość  
Znów można się czuć wolnym  
Dla ciebie życie to sen, panno Śnieżnobiała  
Jane Fonda na ekranie dziś  
Przekonała liberałów, że tak można  
Więc strójmy się i przetańczmy całą noc  
Kiedy oni:  
Zabijają, zabijają biednych dziś wieczorem.

Joquin długo wpatrywał się w te słowa. Ale nic nie rozumiał. Chodził w tę i z powrotem po mieszkaniu, wrzeszcząc, sfrustrowany całym tym szaleństwem. Jeszcze raz spojrzął na tekst. Wpatrywał się w niego intensywnie. I nagle zobaczył. Pierwsze litery dwóch pierwszych zwrotek. Spojrzął na swój tatuaż. Tak, były takie same, a wzór tatuażu podpowiadał kolejność.

Ale jaki przedmiot pasował do jakiej litery?

Popatrzył na pierwszy wers: „Skuteczność i postęp znów należą do nas”, i rozejrzał się po pokoju, szukając czegoś, co by do tego pasowało. W głowie błyskały mu obrazy ołtarza Gabriela. Wtedy to zauważył, wystające spod książki.

Gazeta z nagłówkiem: „Skuteczność i postęp kluczem do sukcesów Intermedia”. Chwył poźółkłą gazetę i położył ją na podłodze.



Teraz drugi wers: „Teraz, kiedy mamy bombę neutronową”.

- Bomba, bomba - mruknął do siebie, rozglądając się po porozrzucanych wokół przedmiotach.

Chwycił zabawkową raketę i umieścił ją pod gazetą. Oba przedmioty zaczęły się świecić; pędy światła wyciągnęły się między nimi, spajając je. Był na dobrym tropie.

Następny wiersz: „Jest ładna, czysta i załatwia sprawę”.

To proste. Złapał butelkę po płynie do czyszczenia i postawił ją pod raketą.

Na zewnątrz zajaśniała błyskawica. Ale nie zwyczajna - miała wyraźny czerwonawy poblask.

Czwarta linijka: „Precz ze zbytecznym wrogiem”.

Hm... zbyteczny wróg... zbyteczny wróg. Tu Joaquin miał problem. Co to znaczy „zbyteczny”? Nadmierny. Za dużo. Coś, czego masz już dość. Dodatkowy wróg. Dodatkowe nemezis. Jeden wróg za dużo.

Potał czoło.

Rozbłysk czerwonej błyskawicy rozświetlił pokój.

Joaquin chwycił klocek z literą alfabetu z pudełka stojącego na stole. Podrzucił go i łapał, głowiąc się nad zagadką. Podeszedł do okna, postawił klocek na parapecie i wyjrzał na zewnątrz.

Skąpany w sporadycznych eksplozjach krwistoczerwonych błyskawic świat był w ruchu. Dziwny deszcz zmywał samą materię rzeczywistości. Znaki na budynkach zmieniały się w inne, ulice zmieniały bieg.

Rodzina biegła ulicą, gazetami osłaniali głowy przed deszczem. Ciężarówka ochlapała ich wodą. Kiedy przejechała, rodzina zniknęła. Pozostał tylko ojciec. Osamotniony, truchtał ulicą, nie zważając na ulewę.

Uderzył go mocny powiew wiatru, a wraz z nim pojawiła się inna rodzina. Poprzednia żona była brunetką, ta - blondynką. A dwóch synów ojca zastąpiły trzy córki.

Joaquin pokręcił gwałtownie głową, ledwie wierzył własnym oczom. Ostatnia doba obfitowała w dziwaczne wydarzenia, ale to była zupełnie inna liga. Joaquin poczuł się jak obłąkany, ale ogarnęła go wielka radość.

Przeszedł ze znanego sobie świata do krainy nieograniczonych i przerażających możliwości.

Popatrzył na klocek z literą, który leżał na parapecie. Wymalowane na nim jaskrawe „E” odwzajemniło spojrzenie niczym oczy dziecka. Joaquin uspokoił się i skupił. Nagle budynek, a może cały świat się

zatrząsał. Joaquinem rzuciło przez pokój; zderzył się ze stołem, klocki spadły na podłogę. Z trudem utrzymał równowagę. Skupił się na klocku „E”. Spojrzał znów na parapet, na wciąż tam leżące drugie „E”. Wpadł na pomysł. Przyklęknął i znalazł dwie inne zdublowane litery: „N” i „M”. Ostatni wers był zmyłką. Nie chodziło o „zbędnych wrogów”, *excess enemies*, tylko o *excess N, M, Es* - „zbędne N, M, E”.

Porwał klocki i ułożył je pod płynem do czyszczenia.

Następna linijka: „Ale wartość nieruchomości nie spada”.

Też łąta, pomyślał, układając pod klockami broszurkę reklamową agencji nieruchomości. Teraz ostatni wers pierwszej zwrotki: „Wojna nie ma sensu, ale w domu to ma idealny sens”.

- Dom - szepnęła do siebie Joaquin, chwycił domek dla lalek i postawił go pod broszurką.

Cały szereg przedmiotów załśnił pięknym, błękitnym światłem. Pierwsza zwrotka była gotowa.

Pora na drugą: „Słońce świeci na nowy dzień”.

Rozejrzał się po przedmiotach i szybko znalazł ten, którego potrzebował - replikę azteckiego kamienia słonecznego, tego dziwnego połączenia kalendarza i mistycznej tabliczki, oddającej cześć bogu słońca Tonatiuhowi. Podniósł ją i położył na podłodze.

Budynek znów się zatrząsał, a przez okno strzeliła błyskawica, znikając w podłodze. Joaquin się zachwiał; próbował zrozumieć, co się dzieje.

Podłoga pod jego stopami pękała. Z szerokich szczelin wystrzeliły potężne słupy czerwonego światła. Joaquin wycofał się w kąt pokoju; cała podłoga zniknęła, zastąpiona oślepiającą poświatą.

Zamknął oczy, ale jasność przebijała się przez powieki, wypalała mu siatkówkę, wypalała mózg. Wrzasnął z bólu, a wtedy ściana za jego plecami ustąpiła i runęła, spadając i spadając.

Po kilku sekundach światło zgasło i Joaquin ostrożnie otworzył oczy. Pod sobą ujrzał dżunglę; starożytny, kipiący zielenią krajobraz ciągnął się jak okiem sięgnąć. Potem, kiedy się zbliżył, w burzy roślinności zobaczył miasto. Miasto piramid, zigguratów i wielkich kamiennych placów. Mezoamerykańskie miasto Tolteków.

Miasto pędziło mu na spotkanie, a on dostrzegał kolejne detale. Zobaczył wielki tłum, płynący falą w stronę centralnego placu, na którym olbrzymi przedmiot lśnił bladoniebieskim światłem. Jakieś trzydzieści metrów nad ziemią Joaquin zwolnił, a potem delikatnie wylądował na skraju placu.

Przeciskał się przez tłum w stronę niebieskiej poświaty, aż dotarł na środek. Przez niebieskie światło zobaczył jaskrawo odziane postacie, które budowały olbrzymią maszynę. Postacie dopasowywały do siebie lśniące metalowe elementy, a tłum wiwatował.

Wtedy Joaquin zauważył coś dziwnego. Chociaż wciąż widział tolteckich kapłanów i ich urządzenie, na obraz ten nakładał się obraz jego i Gabriela budujących swój ołtarz w zawilgłym studiu wiele lat temu. A na ten nałożony był jeszcze mniej wyraźny układ przedmiotów na podłodze pokoju, który właśnie opuścił.

Nagle znalazł się w nim z powrotem. Szybko dokończył konstrukcję. Stara moneta („Nie trzeba już płacić zasiłków”), latarka („Nieładne slumsy znikają w rozbłysku światła”), drucziana miotłka („Bezrobotne miliony wymiecione”), plakat z bawiącymi się dziećmi („W końcu mamy dość miejsca do zabawy”) i sama płyta CD („Cała naprzód, zabijmy biednych: dziś wieczorem”).

Cały pokój spowilo światło i Joaquin poczuł, że traci przytomność.

Watt siedział obok Alondry, która tarła oczy i uśmiechała się, jakby właśnie się obudziła. Joaquin do nich podszedł, ale w odległości kilkunastu centymetrów zatrzymał się, nie mogąc podejść bliżej. Nie mógł dotknąć Alondry. Nie słyszał ich i wiedział, że oni go nie widzą. Oddzielało ich od niego coś na kształt sklepowej witryny albo szyby terrarium z węzami w zoo. Stał nieruchomo i patrzył. Wszystko było całkowicie normalne, oprócz jednego: że przeszedł na drugą stronę.

## 54

### DRUGA STRONA

Zdezorientowany i zagubiony Joaquin błąkał się po labiryncie zmieniających się nieustannie korytarzy oraz tuneli, które wiły się wokół i za światem żywych. Szukał wyjścia, furtki która wypuściłaby go z tego znajomego, a zarazem całkowicie nieznanego świata. Miał wrażenie, że zagłębia do pozbawionego wody akwarium, gdzie ci, którzy odeszli, mogą

widzieć, co się dzieje na świecie, szpiegować chwile publiczne i prywatne, ale bezgłośni, niemi. I tak jak powiedział mu Gabriel, Joaquin słyszał kakofonię sygnałów radiowych. Wystarczyło przesunąć się odrobinę, żeby zgubić audycję i złapać inną. Niełatwo było pogodzić się z tą dziwną półsamtotnością, z myślą, że będzie zamieszkiwał tę ograniczoną, tymczasową przestrzeń na zawsze. Joaquin, który zrezygnował z wszystkiego innego, mógł przynajmniej pocieszyć się tym, że zawsze może posłuchać głosu Alondry przez bezcielesne transmisje *Radia duchów*.

Głos w słuchawce, który porwał słuchaczy i personel studia zdawałoby się na wieczność, umilkł. Prowadząca przerwała ciszę.

- Gabriel, muszę ci powiedzieć, że twoja historia wprowadziła nas wszystkich w trans. Dzięki. Niestety, nasz czas dobiegł końca. I tak, przyjaciele, zostawiamy was z tą opowieścią o prowadzącym audycję radiową, który został energetycznym wampirem i przerwał krąg śmierci, oddając swoje istnienie w zamian za życie kobiety. Wszystkim nocnym markom i tym, którzy właśnie obudzili się i zaczęli nas słuchać, dziękujemy za współudział w programie. Zapraszamy jutro, od północy do piątej rano, a teraz posłuchajcie porannych wiadomości.

- Miłego dnia.

## 55

### PO PROGRAMIE

Alondra wyłączyła mikrofon, uśmiechnęła się do Watta ze zmęczeniem i opadła na oparcie fotela. Gdzieś indziej w budynku ekipa porannych wiadomości przejęła pałeczkę, nadając informacje dla zabieganych dyrektorów, kucharzy i gospodyń domowych, których życie biegło zwykłym torem. Alondra i Watt dzielili to uczucie każdego ranka, ale nie miało to znaczenia: to była ogromna radość i ulga, ulga Szerpy, który zrzuca ładunek po wspinacze na strome urwisko, ulga jucznego konia wypuszczonego na pastwisko, kiedy jego pan rozbija namiot na noc.

Nawet w te noce, kiedy usłyszane historie pozostawiały w nich ziarno niepokoju, te ostatnie kilka minut wyłączania sprzętu napawały ich namacalnym uczuciem ulgi.

Prowadzenie programu w pojedynkę było wyczerpujące, to na pewno. Dzięki Bogu Watt znalazł się na swojej robocie. Alondra po raz tysięczny zastanawiała się, gdzie wyczłifował swoje umiejętności; miksował głosy dziesiątków dzwoniących każdej nocy i sprawiał, że brzmiały, jakby siedzieli w studiu razem z nią. Był w tym mistrzem.

- Niezła nocka, co? - zagadnęła.

- Jedna z lepszych, fakt.

- Nigdy bym nie wpadła, że tematem którejś z naszych opowieści może być DJ. - Zaśmiała się cicho, na wpół do siebie. - Może muszę zwracać większą uwagę na to, co się dzieje wokół mnie. Może siedzę w samym środku opowieści o duchach i sama o tym nie wiem.

Watt rzucił jej przebiegłe spojrzenie z ukosa, jak to czasami robił, kiedy był w dobrym nastroju.

- No, lepiej zamykaj na noc drzwi do pokoju, jeśli ta kobieta, która dzwoniła wcześniej, mówiła prawdę. Jej „demon pieścący uda” może chcieć cię dopaść.

Alondra parsknęła śmiechem, pobłażliwym, choć odrobinę nieswoim, i zebrała swoje rzeczy. Ruszyła do wyjścia i nagle się odwróciła.

- Co powiedziałaś?

Watt był zgięty wpół, sprawdzał kable pod stołem mikserским i niewiele brakowało, żeby prostując plecy, uderzył się w głowę.

- Co? Kiedy?

- Wydawało mi się, że coś mówiłeś.

- Nie. Nic nie mówiłem.

Alondra patrzyła na niego dziwnie, czując mrowienie skóry. Wydawało się jej, że usłyszała męski głos, intonujący jakby z niewyobrażalnie dalekiej oddali słowa: „W ciemnym zakątku myśli, pamiętaj o mnie”. Nie brzmiał jak głos Watta. Niepokojące wrażenie, że o czymś zapomniała, burzyło jej zmysły; miała to na końcu języka, gdyby tylko mogła znaleźć słowa.

Watt też na nią patrzył. On także coś wyczuł. Przez kilka chwil każde spoglądało w głąb siebie, szukając czegoś nieznanego, być może niepoznawalnego.

- Wszystko w porządku? - spytała w końcu.

- Tak. Déjà vu.

Pokiwała powoli głową, nie przytakując nikomu w szczególności, z dłonią wciąż na klamce.

- Do zobaczenia wieczorem. Wart mrugnął.

- Sam diabeł by mnie nie zatrzymał.

Pogrążona w myślach Alondra zamknęła za sobą drzwi i szła wolno korytarzem, jakby to była rzeka, a ona niestrudzenie płynęła pod prąd.